

A. Malowski
Śwint
mu-
rzyńsk



1550061

ŚWIAT MURZYŃSKI

NAPISAŁ

X. ALOJZY MAJEWSKI P. S. M.



XI D 6

468

WARSZAWA
WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW
1930



BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
w Toruniu

12 11667

D 200/14

SŁOWO WSTĘPNE.

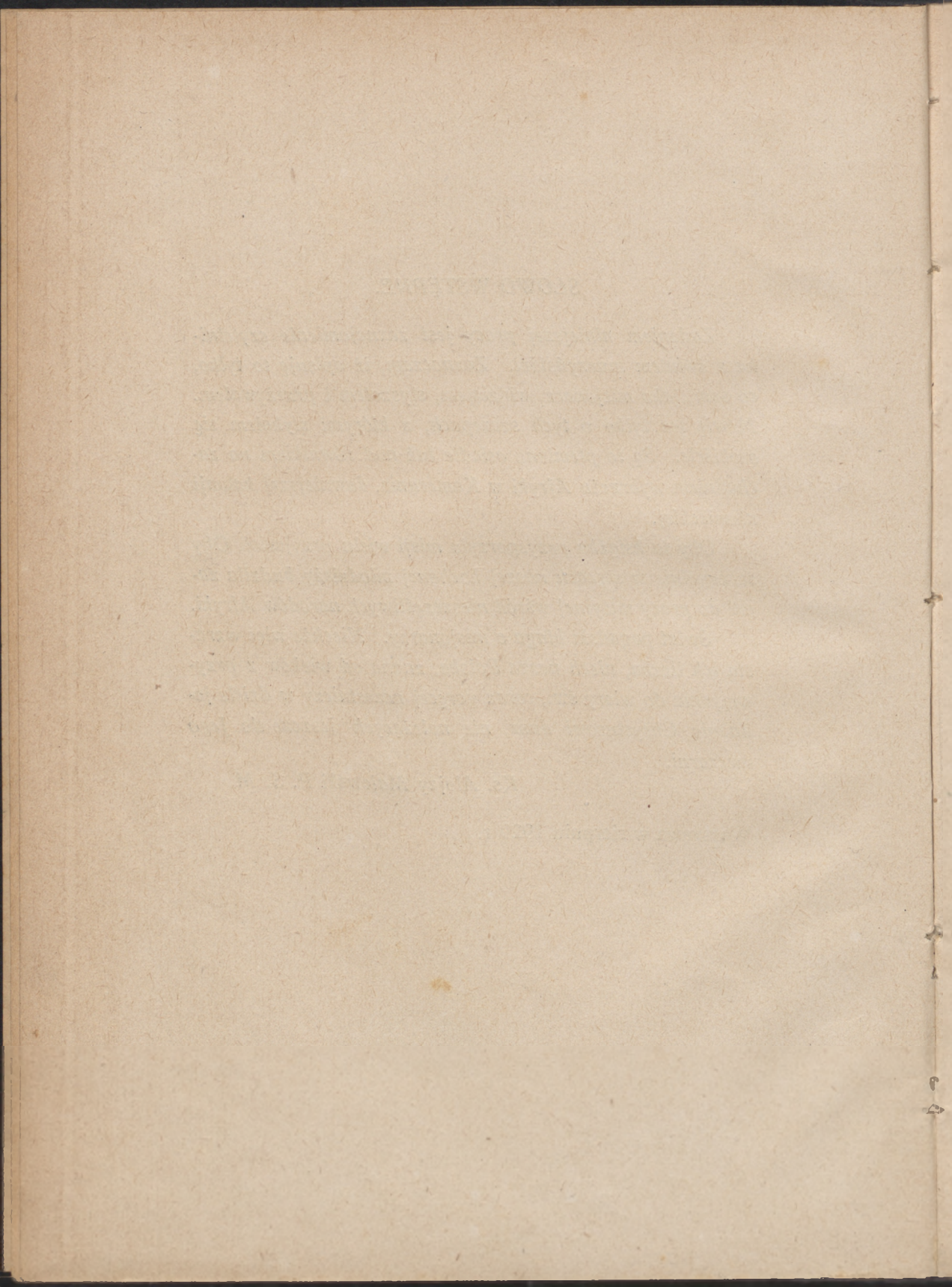
Zadaniem niniejszej pracy jest zaznajomienie czytelnika z światem murzyńskim. Zaznaczam, iż opisuję to tylko, co sam, jako misjonarz, widziałem, słyszałem i przeżywałem. Mówię też tylko o tych szczepach, z którymi stykałem się osobiście. Są to plemiona osiadłe tuż nad równikiem na zachodnim wybrzeżu Afryki w Kamerunie, dawniejszej kolonii niemieckiej.

Oby ta książka przysporzyła misji wielu przyjaciół. Oby szczególnie w sercach naszej kochanej młodzieży budziła zapal do pracy misyjnej wśród nieszczęśliwych narodów Afryki.

Świat pogański błaga o misjonarzy. Niechże więc wzrasta ich liczba, niech nasza Polska, znana od wieków z przywiązania do wiary św., coraz goręcej uczestniczy w dziele jednania Chrystusowi dusz, nie należących jeszcze do Jego owczarni.

Ks. Alojzy Majewski P. S. M.

Warszawa w sierpniu 1929 r.



CZĘŚĆ I.

RASY I WIERZENIA MURZYŃSKIE.—ZŁE DUCHY.
LUDOŻERSTWO.

I.

SZCZEPY — RASY — JĘZYK MURZYŃÓW.

*Odrębność szczepowa.—Legenda o ciemnej barwie ciała.—
Przygody murzynka. — Albinosi. — Czarne fryzjerki. —
I murzyn jest przystępny.—Narodowy strój murzynów.—
Narzeczka murzyńskie. — Czarni tłumacze.*

Afryka — to istna szachownica szczepów. Co kilka mil napotykamy szczep inny. Naprzykład w Kribi, wzdłuż południowego wybrzeża Kamerunu, osiedlił się szczep Batangów, ale już o 30 minut drogi poza obrębem stacji misyjnej mieszkają Mabeje.

Wszystkie szczepy posiadają wspólny całej rasie murzyńskiej czarny kolor skóry, lecz różnią się między sobą mową, zwyczajami, rysami twarzy, postawą, a nawet ruchami ciała. Różnice te są tak nieuchwytnie, iż Europejczyk, dopiero po dłuższym pobycie w Afryce, zdoła je rozpoznać.

Mentorem moim pod tym względem był nasz czarny nauczyciel Paweł. „Pawle”, pytałem go nieraz podczas wspólnych wycieczek do pobliskich wiosek, „prawda, że ten chłopiec należy do Batangów?” „Ale gdzież tam”, mówi, „popatrz się na jego nogi! To są nogi Mabeja. Batanga stawia nogi prosto, Mabeja i Ngumba trochę na lewo, Bakoko jeszcze więcej na lewo, Buli ma chód mocny, pewny”.

Pewien kupiec z Kribi miał u siebie na służbie dwóch murzynów z dalekich stron. Jeden z nich był z szczepu Jaunde, drugi z szczepu Bane. Z ciekawością obserwo-

wałem obydwóch. Jednaką mieli barwę ciała, jednaką odzież, ale pozatem w niczem do siebie nie byli podobni.

Jak u nas dzieci dziedziczą po swych rodzicach rysy twarzy, sposób noszenia się i t. d., tak w Afryce całe szczepy posiadają jedne i te same cechy charakterystyczne. Czem u nas rodzina, to tam szczep. Pochodzi to stąd, iż murzyni zachowują ściśle swą szczepową odrębność, nie tylko nie łączą się węzłem małżeńskim z kobietami innego szczepu, ale nawet nie utrzymują z sobą stosunków sąsiedzkich.

Poczucie odrębności szczepowej ujawnia się już w dzieciach. Przez dwa lata pracowałem nad tem usilnie, aby dziatwę Mabejów i Batangów zjednoczyć, aby usunąć z pośród nich wzajemną niechęć. Wszystkie moje zabiegi okazały się daremne. Mieliliśmy u siebie syna naczelnika szczepu Ngumba, osiedlonego o 10 mil od Kribi, imieniem Samba. Lubiliśmy go bardzo, bo chłopiec był pilny i posłuszny. Ale cóż? dzieci szczepu Batangów bojkotowały go na każdym kroku. W szkole siedział osobno, nie dopuszczano go do wspólnych zabaw, nawet w dzień pierwszej Komunii świętej żadne nie chciało iść z nim w parze.

O ciemnej barwie ciała taka krąży między murzynami legenda. Dawno, bardzo dawno, wszyscy ludzie byli koloru czarnego. A był to kolor piękny, tak głęboki jak noc w dziewiczych lasach. Pewnego razu zawołał Bóg trzech synów ojca winogrodu. Najstarszy stawiał się pierwszy. Rzekł do niego Bóg: „Oto na puszczy wytrysło źródło. Idź i wykop się w niem, a będziesz biały jako kwiaty polne”. On jednak bał się i nie poszedł. Po nim zgłosił się drugi, a usłuchawszy rozkazu Boga, zanurzył się w wodzie i wyszedł biały. Od niego pochodzą ludzie biali. Przybiegł i trzeci, lecz cudowne źródło posiadało już niewiele wody. Ledwie jej wystarczyło aby nadać ciału kolor nieco jaśniejszy — jak oliwa brunatny. Od niego pochodzą ludzie barwy oliwnej. Teraz i najstarszy wskoczył do źródła, ale



Typy młodych murzynów.



Ks. Jerzy Walter
z kongregacji
X X. Pallotyńców
z czterema murzyńskimi
chłopcami.

cóż? — wody już nie było. Zaledwie stopy jego i dłonie dotknęły wilgotnego mułu, a kilka kropel prysnęło mu w oczy. On to jest ojcem murzynów, którzy całe ciało posiadają czarne, a tylko dłonie, stopy i oczy mają białe.

Murzyn uważa białego za istotę wyższą, szlachetniejszą. „Czy ja więcej znaczę, aniżeli Akwa?”¹⁾ pytałem naczelnika wioski. „O tak”, odpowiedział, „bo ty jesteś biały”. Widok obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, który jak wiadomo wykonany jest w ciemnym tonie, nappełniał ich smutkiem. „To być nie może”, mówili, „Matka Jezusa i sam Jezus nie byli czarni, lecz biali”.

Chociaż tak poważają skórę aryjską, to jednak żaden murzyn nie chce zostać białym. Ilekroć razy proponowałem naszym służącym zamianę koloru czarnego na biały, zawsze otrzymywałem stałą odpowiedź: „Pozostaniemy czarnymi, jak nas Bóg stworzył”.

Pod tym względem murzyn jest zachowawczy. Kocha swój zewnętrzny wygląd i boleśnie odczuwa, gdy mu się kto przypatruje z odcieniem zdziwienia lub ironji i uważa go za istotę niższego rzędu.

Na ten temat powiedział mi jeden z naszych kapłanów Ks. Jerzy Walter, następujące zdarzenie:

„Przywiozłem z sobą do kraju murzynka, który znakomicie władał językiem niemieckim. Jechaliśmy raz obaj pociągiem. Wszyscy podróżni nadzwyczaj interesowali się mým towarzyszem. Oglądali go na wszystkie strony i pytali o najrozmaitsze rzeczy. Chłopiec odpowiadał z wielką cierpliwością, lecz zauważywszy, że mu te wywiady sprawiają przykrość, poradziłem mu, aby się nie odzywał do nikogo. Tymczasem pasażerowie, którzy z nim rozmawiali, opuścili wagon, a przybyli nowi. Znowu rozpoczęła się indagacja, atoli murzynek stosując się do mej rady młczał jak grób. Sądzone ogólnie, iż nie rozumie co się do niego

¹⁾ Akwa był jednym z najpotężniejszych władców Kamerunu.

mówi i rozpoczęło pod jego adresem czynić różne śmieszne i bolesne uwagi.

Tego murzynkowi było za wiele. Opuścił przedział i wyszedł na korytarz. Tam przystąpił do niego jakiś chłopczyk i z miłym uśmiechem ofiarował mu jabłko. Uprzejmość białego rówieśnika rozbroiła go do tego stopnia, że rozpoczął z nim najserdeczniej rozmawiać. Podróżni zdumieli się i jak to zwykle bywa, zamiast sobie przypisać winę, poczęli pomawiać murzynka o nieszczerłość. Tłumażyłem go jak mogłem.

„Jakże nieroztropnie postąpiłeś”, rzekłem później do malca — „trzeba było albo mówić, albo milczeć do końca”. „Ach, ojczy”, odpowiedział, „ten chłopczyk tak był dla mnie dobry, jakże nie było mu za to podziękować? Zresztą on takich głupstw nie mówił jak ci starsi”. Cóż było robić? Przyznałem mu zupełną słuszność.

Murzyn o czarnem jak węgiel zabarwieniu, należy do rzadkości. Ponieważ tego rodzaju kolor uważany jest za oznakę piękności, więc też wielu elegantów i elegantek murzyńskich maluje się na czarno, chociaż można spotkać się z jednostkami, które z natury cieszą się hebanową powłoką ciała. W Kribi, blisko naszego domu misyjnego mieszkało właśnie takie zupełnie czarne małżeństwo. Żona musiała namaszczać się jakimiś kameruńskimi kosmetykami, bo błyszczała zdaleka, zwłaszcza w dni świąteczne, jak starannie wypoliturowany mebel.

Zwykły kolor murzyna jest popielaty, lub ciemno popielaty. Murzyni niektórych szczepów, jak np. szczepu Jaunde, posiadają tak jasny kolor skóry, że gdy przywdzieją europejską odzież, wyglądają jak nasi sportsmeni, lub turyści, opaleni promieniami lipcowego słońca.

Są też murzyni biali, tak zwani albinosi. Brzmi to paradoksalnie, ale jednak tak jest w rzeczywistości. Zjawia się od czasu do czasu taki biały kruk ku utrapieniu rodziców, których kolor ciemny niczem nie usprawiedliwia tego

wybryku natury. Albinos, pod względem budowy ciała, w niczem się nie różni od swych braci. Tak samo posiada niskie czoło, grube, mięsiste wargi, wystające kości policzkowe, tylko włosy, jakkolwiek również krótkie i kędzierzawe, ma rdzawo-białe, oczy zaognione, rzucające czerwone blaski, no i białą, bez życia, jakby woskową cerę. Wzrok jego jest słaby i lepiej widzi w nocy, przy świetle księżycy, aniżeli w dni słoneczne. Przez cały czas mego pobytu w Kamerunie widziałem zaledwie czterech albinosów. Jeden z nich trudnił się snycerstwem, rzeźbił piękne rzeczy z kości słoniowej, a pracował zawsze w nocy.

Jeszcze rzadziej spotyka się murzynów czerwonych, tej barwy, jaką np. posiadają amerykańscy Indianie. Murzyn „czerwony” jest zbudowany posągowo, niby wykuty z brązu, bije od niego i zdrowie i siła, a kolor jego ciała nie razi tak, jak mdły kolor albinosów.

Ogółem wszyscy murzyni dbają o zewnętrzny wygląd. Szczególniej kobiety nie żałują ani czasu, ani grosza, aby tylko urodę swą podnieść, uczynić ją jeszcze piękniejszą.

W porze południowej, wolnej od zajęć, poświęcają nie raz długie godziny na układanie swych, podobnie jak u mężczyzn, krótkich kędzierzawych włosów w dziwaczne kształty. Salonów fryzjerskich nie znają, wystarcza im cieniste miejsce obok chaty, lub pod drzewem. Fryzjerzy, czy fryzjerki, spełniają swe czynności bezpłatnie, ale zato roszczą sobie pretensję do żyjątek, jakie upolują na głowie czarnej elegantki. Pachnideł ani pudrów nie używają, nie znają również olejków — dla nich wszystko dobre, co tylko skórze może nadać nieco połysku. A nie tylko płeć piękna używa takich środków, również posługują się nimi mężczyźni i dzieci. Z tej przyczyny musieliśmy wszystkie tłuszcze, jak: smalec, masło, oliwę, nawet i naftę trzymać pod kluczem, aby ich nasi neofici nie spotrzebowali na kosmetyki.

Mniemanie, jakoby murzyn nie mógł być pięknym, ja-

koby już sam czarny kolor odbierał mu wszelki wdzięk, jest zupełnie mylne.

Murzyna należy widzieć w jego rodzinnym kraju, pośród jego swoistego otoczenia. Okazy, z jakimi się spotykamy po wystawach i cyrkach, są najczęściej karykaturami murzynów, dobieranymi umyślnie w tym celu, aby ich monstrualnym widokiem ściągnąć jak najwięcej publiczności. Pamiętam jeszcze dobrze berlińską światową wystawę 1896 roku. Zbudowano tam całą wioskę murzyńską, aby każdy naocznie mógł zobaczyć jak czarni wyglądają i jak żyją. Z prawdziwą odrazą patrzyłem na tych dzikusów afrykańskich.

W kilka lat później, przybywszy do Kamerunu, poznałem pomiędzy naszymi parafjanami jednego z tych, co tak przeraźliwie reprezentował na wystawie swych ziomków. Obecnie wyglądał wcale przyzwoicie. „Ależ to ty byłeś w Berlinie?” rzekłem do niego. Murzyn roześmiał się serdecznie. — „Tak, byłem tam, ale wtedy musieliśmy udawać ludożerców, ubierać się na pół nago, malować się w różne desenie, jeść surowe mięso. Tego od nas żądano i płacono nam wcale niezłe wynagrodzenie”.

I murzyn jest przystojny. Jeśli tylko występki nie znieprawili jego duszy, w całej jego postaci widać dostojność człowieka. Zwłaszcza dzieci murzyńskie, wychowane w misyjnych instytucjach, prostotą i niewinnością chwytają za serce. U niejednego staruszka, który uczciwie spędził swe życie, obaczysz ujmujące rysy twarzy, pełne powagi, spokoju i dobroci. W Buambe, miła od Kribi, gdzie mieliśmy filjalny kościół, spędziłem niejedną przyjemną chwilę na pogawędce z bardzo miłą staruszką.

Zresztą, jak w lesie jedne drzewa są zdrowe, proste, drugie karłowate i schorzałe, tak też wszędzie między ludźmi, a więc i między murzynami znajdziesz przystojnych, brzydkich, prostych, garbatych, zdrowych i schorzałych. Pięknością Bożą jaśnieje ciało, jeśli je człowiek ma w po-

szanowaniu — grzech wyciska na niem piętno swej brzydoty.

Odzież murzyna pozostawia wiele do życzenia, lecz jej niedostatek nie razi tak jak u nas. Rzecz to zrozumiała. Tam przyczyną nagości jest ubóstwo, u nas gruba zmysłowość. Murzyn wstydzi się swej nagości i, jak może, tak ją zakrywa, u nas bezwstyd poniża nieobyczajne jednostki, odbierając im godność ludzką.

Pod względem fizycznym wielka zachodzi między murzynami różnica. Budowa ciała niektórych szczepów jest wprost posągowa. Plemiona, zamieszkujące kraje nadmorskie, pod wpływem europejskiej kultury, która miasto rzetelnej oświaty, przyniosła im choroby zakaźne i wódkę, wiele straciły z swej pierwotnej tężyzny, przeciwnie szczepy osiadłe w głębi lądu, w niedostępnych lasach i górzystych okolicach, są rozwinięte prawidłowo, rosłe i barczyste. Taki np. szczep Buli (10 mil oddalony od Kribi) przedstawia typ narodu dzielnego i wojowniczego. Krótco przed mem przybyciem do Kamerunu, uzbrojeni w nader prymitywną broń własnego wyrobu, zaatakowali stację wojskową w Kribi i bohaterstwo walczyli w obronie własnej niepodległości. Szczep Ngumba jest barczysty, Jaunde smukły o miłej powierzchowności, zato szczepy Batango, Mabeje i Duala już są dotknięte ujemnym wpływem Europy.

Murzyni odznaczają się lekkością i elastycznością ruchów.

Mężczyźni nie znają obuwia, a tembardziej lakierków i krochmalnych kołnierzyków, kobiety nie torturują się gorsetami, ciasnymi bucikami etc., które bezmyślna moda narzuca naszym paniom. Wprawdzie w miastach, gdzie czarni spotykają się z białymi, można spotkać jednostki obleczone w odzież europejską, lecz widok tak przybranego murzyna, a przede wszystkim murzynki jest nienaturalny, śmieszny, przypomina pałuby, obracające się na drutach w takt muzyki w budach jarmarcznych.

Jedynie w własnym narodowym stroju przedstawia się murzyn malowniczo i poważnie. Strój ten, o charakterze orjentalnym, składa się z spodniej sukni i z chusty, którą niby rzymską togę zarzucają na siebie. Mężczyźni przykrywają nią ramiona, kobiety zaś wiążą ją poniżej ramion tak, że im sięga do kostek. O ile spływa w dobrze ułożonych fałdach, dodaje im niemało uroku. Idzie sobie taka niewiasta niby statua, wykuta z czarnego marmuru, lekkim krokiem z fajeczką w ustach, z nieodstępnym tobołkiem na plecach, w którym umieściła swe maleństwo.

Misjonarze dokładają wszelkich starań, aby murzyni trzymali się swego własnego rodzimego stroju, a jeżeli czy nią w nim drobne zmiany, to tylko w tym celu, aby go jeszcze piękniejszym i praktyczniejszym uczynić. Należy podnieść, że murzynka, przyjąwszy Chrześc. św., sama, bez żadnych napominań poczuwa się do obowiązku nakrywania ramion aż do szyi. Cóż na to powiedzą nasze katoliczki? Rzeczywiście rzecz to bardzo smutna, że poganie przyjmują chrześcijańskie obyczaje, a kobiety europejskie wracają do nagości pogan.

Języki, a raczej narzecza murzyńskie, sprawiają misjonarzom wiele kłopotu i nadzwyczaj utrudniają pracę. W każdej stacji misyjnej trzeba posługiwać się conajmniej ośmioma narzeczeniami. W Kribi mówiliśmy narzeczeniami: Batango, Banoho, Mabea, Ngumba, Jaunde, Duala i Buli. Wprawdzie wszystkie wymienione narzecza wywołują się z jednego pnia macierzystego, a mianowicie z języka Bantu, atoli różnice między niemi są tak znaczne, jak np. między językiem polskim, czeskim i rosyjskim.

Właściwa jednak trudność nie leży w wyuczeniu się wszystkich narzeczy, lecz w opanowaniu intonacji poszczególnych słów, która tym samym wyrazom nadaje odmienne znaczenie. Np. słowo „nol”, wymówione tonem wysokim — znaczy „zabić”, wymówione zaś tonem niskim — znaczy „śmiać się”. Słowo „muda” wymówione tonem wy-

sokim — znaczy „kobieta”, wymówione tonem niskim nie ma dla murzyna żadnego znaczenia. My wymawiamy wyrazy tak, jak są napisane, murzyn tak, jak je słyszy. Gdy więc Europejczyk źle akcentuje wyrazy, lub nie uwydatnia należyście tonu, w jakim powinno się je wymawiać, murzyn nie rozumiejąc ich wcale, uważa je albo za pusty dźwięk, albo też nadaje im zupełnie inne znaczenie. Oczywiście odnosi się to do murzynów nie znających sztuki czytania, bo murzyni, którzy nauczą się czytać, orientują się tak, jak my, według odczytywanych liter.

Do tych trudności czysto technicznych dołącza się wielkie ubóstwo języków murzyńskich. Murzyn posiada wyrazy tylko na oznaczenie przedmiotów, które pojmuje zmysłami — pojęcia oderwane jak: cnota, piękność, pobożność etc. są mu zupełnie nieznanne. Ponieważ nauka religji posługuje się właśnie najwięcej pojęciami umysłowemi, dlatego misjonarz zmuszony jest tworzyć dla nich odpowiednie wyrazy. Stąd łatwiej jest nauczyć murzyna jakiegokolwiek języka europejskiego, aniżeli zaznajamiać go z zasadami wiary, w jego języku rodzimym.

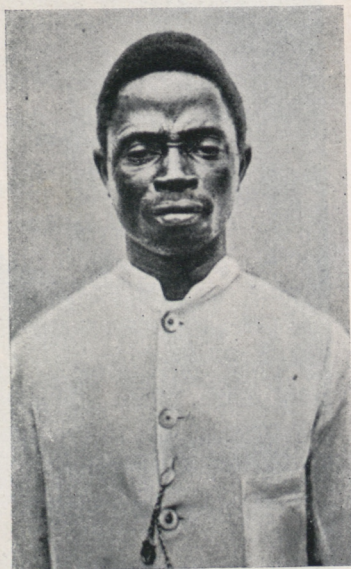
Misjonarze uczą się oczywiście języków murzyńskich, trwa to jednak dosyć długo zanim je należycie opanują. Do tej chwili muszą posługiwać się w kościele i szkole tłumaczem, którym jest zazwyczaj nauczyciel murzyński. Jakże niekorzystnie przedstawia się taka metoda nauczania, ileż to traci się czasu, jak to ujemnie wpływa na powagę słowa Bożego! Kapłan wygłasza z ambony dwa do pięciu zdań, tłumacz stojący pośrodku kościoła, przekłada je na język słuchaczy. Dobrze jeszcze, jeżeli jest to człowiek sumienny, bo zdarza się, iż korzystając z nieznamomości językowej misjonarza, plecie co mu się spodoba.

Pamiętam jak jeden młody kaznodzieja przygotowywał sobie bardzo starannie naukę na temat siódmego przykazania. Mówił nadzwyczaj przystępnie. Niestety, tłumacz zepsuł wszystko. Zamiast przekładać wiernie zdanie za zda-

niem — odmieniał słowo „nie kradnij” na najrozmaitsze sposoby. Nie wolno kraść, kraść jest grzechem, nikt nie powinien kraść, dzieci nie mają kraść i t. d.

Ta niesumienność czarnych tłumaczy bywa nieraz przyczyną bardzo smutnych następstw. Znając już dostatecznie język murzyński brałem udział w rozprawach sądowych jako ławnik. Właśnie przybył do Kribi młody, nie-doświadczony sędzia. Przy badaniach winowajców posługiwał się tłumaczem, który miał znakomicie znać język niemiecki. Sędzia zadawał pytania oskarżonemu, tłumacz zaś z zupełnym spokojem, bez zająknienia przekręcał je na swój sposób i w imieniu podsądnego dawał najbałamutniejsze odpowiedzi. Kto więc do czego byłoby przyszło, gdybym był nie zwrócił uwagi „wysokiemu trybunałowi” na to oszukaństwo murzyna. Zdarzały się wypadki, że niejedyn oskarżony poszedł zupełnie niewinnie na stryczek z powodu niesumienności tłumacza.

Z tej przyczyny wszystkie rządy europejskie dążą do tego, aby własny swój język zaprowadzić w kolonjach afrykańskich. I udaje im się to nieźle. Znałem murzynów, którzy wcale poprawnie władali nietylko językiem niemieckim, ale także i językiem innych narodów, do których należały sąsiadujące z Kamerunem kolonie, a więc francuskim, angielskim i hiszpańskim.



Typy murzynów w wieku dojrzałym.



Rodzina głównego naczelnika szczepu Jaunde. Do prawej stronie Atangana, głowa rodziny.

II.

RELIGIJNE WIERZENIA MURZYŃSKIE.

Njetuze. — Niambe. — Talizmanj. — Guślarze i czarownicy. Obrzędy czarodziejskie. — Niewolnicza bojaźń przed duchami. — Tajne związki. — Ślady wspólnej tradycji narodów. — Chrześcijańskie pierwiastki.

Dwa wyrazy: „Njetuze” — kto jest twoim panem i „Nyambe” — Bóg — stanowią zwykłą formułę wzajemnego pozdrawiania się murzynów. Wyraz „nyambe” spotykamy u wszystkich plemion zachodniej Afryki. W Kongo mówią „nzambi”, nad rzeką Zambezy „njambi”, w Angoli, niedaleko Kaplandu „nzembi”, szczepy zamieszkujące głąb lądu, wymawiają „anyambe”, gdzie samogłoska „a” użyta jest w charakterze nacisku, wzmocnienia.

Jakkolwiek wyraz ten przedstawia pewne drobne różnice w brzmieniu, jednak oznacza jedno i to samo pojęcie, mianowicie stwórcę i pana nieba i ziemi.

To więc pewna, że wszyscy murzyni wierzą w Boga, wierzą, że jest jedna wielka, sprawiedliwa istota.

Ale ten Bóg jest dla nich czemś tak dalekiem, że niepodobna do niego przystąpić.

Więcej obchodzą murzyna liczne bóstwa niższego rzędu, interesujące się ludzkimi losami.

Duala, najsilniejszy szczep murzyński w Kamerunie, nazywa je jednym mianem Lasango, w liczbie pojedynczej Isango. Są to duchy dobre, lub złośliwe, życzliwe lub wrogo usposobione dla ludzi, z którymi wszędzie można się spotkać.

Kamień, kość, muszla, drzewo, może być talizmanem, t. j. mieszkaniem ducha. Idąc przez pola zauważyłem nieraz powtykane w ziemię paliki, poobwieszane dziwnymi przedmiotami. Tam właśnie siedziały duchy, mające za zadanie chronić murzyna od złodziejów, odwracać posuchę i nieurodzaj. Nikt nie ruszy tych rzeczy bez obawy narażenia się na zemstę niewidzialnych mieszkańców palików.

W niebezpieczeństwach, a szczególnie w chorobach, szuka murzyn ratunku u duchów niższych. W tym celu zawiesza talizman na szyi i cierpliwie oczekuje wyzdrowienia. Jeśli zdrowie powróci, to oczywiście zasługa ducha, jeśli zaś niemoc nie ustępuje i życie murzyna ma się ku schyłkowi, winien temu inny murzyn, który kierując się osobistą niechęcią do chorego, użył usług ducha silniejszego i udaremnił kurację.

Nieraz zdejmowałem moim owieczkom z szyi takie talizmany i tłumaczyłem ich nieużyteczność, lecz na próżno. Murzyn kiwał głową, że to niby zgadza się z memi poglądami, atoli zaraz po mojem odejściu nie zaniechał włożyć na siebie znowu oznaki ducha.

O czci boskiej, jak my ją pojmujemy, murzyni nie mają wyobrażenia.

Nie posiadają ani świątyń, ani miejsc osobnych, gdzieby się gromadzili na nabożeństwa.

W pewnych wypadkach posługują się bożkiem Isango, inaczej Ngati. Jest to bałwan niezgrabnie wyciosany z drzewa na podobieństwo człowieka, (ustawiony w najstosowniejszem dla siebie miejscu, bo w ostatnim kącie chaty). Zapewniano mnie, że żaden roztropany murzyn nie uważa Isanga za nadprzyrodzoną istotę, natomiast służy on starszym za znakomity środek do nastraszania dzieci i kołiet.

Obecność tego bałwana odgrywa pewną rolę podczas nocnych zabaw. Z miejsca gdzie stoi Isango wydobywają

się wtedy dzikie okrzyki, które kobiety uważają za głos samego bożka. Chociaż bardzo często zaglądałem do chat murzyńskich, nigdy nie udało mi się zobaczyć Isanga. Wszystkie tego rodzaju przedmioty murzyni ukrywają starannie i dopiero wtedy wydobywają na światło dzienne, gdy są pewni, że ich nikt z białych nie śledzi. W Duala przebywał bożek w wielkim stole, na którym leżał kawał ociosanego drzewa. Ktoby się ośmielił za dnia spojrzeć na niego, musiałby, zdaniem murzynów, niedługo umrzeć.

Najgłówniejszą osobą w wierzeniach murzyna jest ngambi — guślarz, czarownik.

Zakres działalności ngambi'ego jest bardzo obszerny i obejmuje wszystkie dziedziny indywidualnego i społecznego życia murzynów. Czynności swe otacza zawsze szatą tajemniczych obrzędów, które silnie wpływają na wyobraźnię murzyna.

Oto jak naprzykład leczy ngambi chorych: Świadomi swego znaczenia i swej władzy, zwołuje wszystkich mężczyzn z całej wioski, sadowi ich w koło na ziemi, a sam zasiada pośrodku. Przyjąwszy zgóry za pewnik, że choroba jest wynikiem rzuconych czarów, bada ngambi obecnych, który z nich to uczynił i z jakiej przyczyny. Na to podnosi się jeden i mówi: „przez długie lata pomagałem mu w pracy, dorobił się znacznego majątku, lecz nie dał mi za to złamanego szeląga, dlatego postarałem się, aby chorował”. Drugi oświadcza, że chory go pobił, a on zato sprowadził nań chorobę. I tak po kolei wynurzą swe urojone krzywdy i żale. Gdy się już wszyscy wypowiedzieli, ngambi zapytuje ich, czy nic przeciwko temu nie mają, aby chory przyszedł do zdrowia. O ile pacjent jest zamożny i rzekomo pokrzywdzeni mogą wraz z ngambim spodziewać się sutego wynagrodzenia, wówczas życzliwość ich dla chorego jest wprost rozczulająca. Oczywiście każdy z nich pragnie, aby chory żył setki lat.

Wobec ogólnej jednomyślności ngambi stara się napra-

wić reputację chorego i w tym celu przypisuje mu najrozmaitsze dobre uczynki, które bez względu na ich rzeczywistość wzbudzają zachwyty nawet w tych co go przed chwilą oskarżały o brak serca.

„On zabił tygrysa — tin essa” — (niech będzie zdrowy) woła ngambi.

— „Essa” — niech będzie krzyczą murzyni.

— „On daje jeść swej zmarłej babce — tin essa”.

— „Essa” — odpowiadają z zapalem.

I tak dalej dopóki nie wyczerpie się bujna wyobraźnia ngambi'ego.

Po tej komedji ordynuje lekarstwa i poleca obecnym, aby i oni przynieśli choremu zioła, skuteczne na jego chorobę. Ponieważ murzyni nieźle orjentują się w stosowaniu ziół leczniczych, przeto bardzo często zdarza się, że pomoc ich przynosi pożądaną skutek, że pacjent przychodzi do zdrowia. Wreszcie zawiesza ngambi nad drzwiami domu chorego różne rzeczy, jak np. kamyczki, kości, włosy i na tem kończą się jego zabiegi lekarskie.

Ngambi jest wszystkim dla wszystkich. On wie najlepiej, gdzie wybudować chatę, on zapewnia murzynowi szczęśliwą podróż, on go chroni od zemsty złych duchów, on sprowadza deszcze w czasie długotrwałej posuchy etc, etc. Wykonywując swe rzemiosło, posługuje się różnymi przedmiotami — muszlami, kośćmi zmarłych, farbami roślinnymi — których tajemniczość podnosi jego autorytet w oczach szukających u niego rady.

Ngambi posiada wiele niesamowitych środków na najrozmaitsze przypadłości: „Jawo” udaremnia rzucone czary, chorym dzieciom pomaga „mesinge”, oszalałym kobietom podaje „lungu”, „mae” zabezpiecza przed złodziejem; złodziejom zapewnia bezkarność „makora”.

Przekroczenie zwyczajowego prawa sprowadza karę nie tylko na przestępcę, ale i na jego rodzinę, a nieraz i na całą wioskę. Z tej okoliczności korzysta ngambi i proponu-

je oskarżonemu oczyszczenie, które polega na złożeniu bożkom t. j. jemu ofiary, w postaci kozy. Gdy propozycja spotka się z odmową, ngambi poddaje podsądnego próbie trucizny. Jeśli delikwent zwraca truciznę w wymiotach, zostaje uznany za niewinnego, w przeciwnym razie umiera w opinii przestępcy. Ale i teraz, o ile ngambi otrzymał od obwinionego sowity okup, daje mu odtrutkę, która, sprowadzając wymioty, zapewnia mu niewinność i życie.

Bywa, iż ngambi powodowany osobistą do swego wroga urazą, stanowczo rozpoznaje w nim winnego, wskazuje nań palcem i zabija na miejscu.

Aby wyłudzić więcej ofiar, a przytem otoczyć swą osobę nimbem tajemniczości, wymyśla najdziwaczniejsze obrzędy.

Panuje posucha — zaraza dziesiątkuje ludność — głód zawitał w progi rodzin murzyńskich — oczywiście trzeba szukać winowajcy tych nieszczęść.

W tym celu wbija ngambi w ziemię cztery pale i łączy je dwoma równoległe przywiązaniem żerdziami. Wieczorem na odgłos bębnów schodzą się mieszkańcy wioski i rozpoczynają hałasować i tańczyć. Z nadejściem nocy zjawia się czarownik i poleca swym pomocnikom wybrać z pośród obecnych dwie kobiety i dwóch pięcio — lub sześcioletnich chłopców. Do kobiet należy pilnować, aby malcy nie zasnęli ani na chwilę przez całą noc. Z początku, gdy jeszcze trwa głośna zabawa tłumu, wykonanie tego zadania nie przedstawia większych trudności, gorzej, gdy, z rozejściem się uczestników, nastanie cisza, bo wtedy biedne kobieciny muszą ustawicznie trząść to jednym, to drugim chłopcem, szczypać ich i bić, gdyż sen co chwila klei im powieki. Również z wschodem słońca znowu bęben zwołuje wszystkich i znowu słyhać hałasy i śpiewy. W pewnej chwili obaj malcy na rozkaz ngambi'ego wskakują na żerdzie i na nich wykonują tańce, poczem oprowadzają ich po całej

wiosce, aby im się wszyscy dobrze przypatrzyli, bo przez dwa tygodnie nie będzie wolno z nimi się spotkać, ani do nich przemówić. Przez ten czas obydwaj mieszkają w umyślnie na ten cel skleconej chacie, otoczonej małym podwórkiem. Jeśli sprzyja pogoda, dzieci bawią się na podwórzu i wogóle nieźle im się powodzi, zato w porze deszczowej woda przecieka przez dach, zalewa ogień, a one marzną, chorują i nieraz przytłaczają życiem to przymusowe wygnanie.

Po upływie dwóch tygodni znowu gromadzą się tłumy, chłopcy opuszczają klauzurę, a ngambi, przyrządziwszy zupę z gorącej wody, popiołu i robactwa, wyłowionego z kałuży, podaje ją obecnym, a szczególnie kobietom do picia.

Kto, po wypiciu nektaru, zachoruje, lub umrze, ten oczywiście jest przyczyną klęski, jaka nawiedziła wioskę.

Życzliwość i pomoc zmarłych zapewnia ngambi „melanem”. Jest to ogon dzikiego kota, zapuszczony mózgiem, wyjętym z ludzkich trupów. Amator melana musi poddać się następującym obrzędom:

Gdzieś, w lesie, wykopuje ngambi dół o głębokości 1 metra, a 12 metrów długości, przykrywa go gałęziami, na które narzuca jeszcze ziemię. W ten sposób powstaje podziemny krużganek. W oznaczonej z góry chwili przychodzi murzyn, składa ofiarę i prosi o melan. Czarownik, ujęty hojnością petenta, maluje go na czerwono płynem otrzymanym z drzewa, poi gorzką wodą i poleca mu tak długo patrzeć w słońce, dopóki nie padnie zemdłony na ziemię. Po przyjsciu do przytomności otrzymuje kąpiel w słonej wodzie i wraca do domu. To pierwsza część zabiegów o melan, w drugiej części piętczą się trudności i gotują petentowi bolesną niespodziankę.

Okolo północy staje murzyn znowu przed obliczem czarodzieja i błaga go o cenny melan. Ngambi nie odmawia, lecz wpieryw wpycha kandydata do przygotowanego podziemia i nakazuje mu posuwać się naprzód. Gdzieś

przy końcu korytarza chwytają nieszczęśnika diabli — nastawieni pomocnicy ngambi'ego — i biją go bez miłosierdzia. Murzyn wrzeszczy, prosi o litość i obiecuje coraz obfitszy okup. Zależnie od wysokości ofiarowanego okupu operacja trwa dłużej lub krócej. Wreszcie wychodzi nieborak z podziemia, ngambi wita go z niekłamana radością, bije w bęben i ogłasza na wszystkie strony świata, że wytrzymał i hojny kandydat godzien jest otrzymać nie jeden, ale kilka melanów. Z radością przyjmuje murzyn upragniony ogon, z lękiem i szacunkiem przywiązuje go sznurkiem do pasa i odtąd stale nosi przy sobie. Jak z tego widać sposoby ngambi'ego są zupełnie nieszkodliwe. On tylko korzysta z głupoty ludzkiej. To też nie wszyscy wierzą w potęgę i wszechwiedzę ngambi'ego. Wielu radzi sobie zupełnie dobrze bez jego pomocy, sami sobie wróżą i nieźle na tem wychodzą, bo im koza, kura i wódka pozostaną w domu do własnego użytku.

Murzyn jest mało wymagający. Nie potrzeba mu salonów na zebrania spirytystyczne, nie żąda od duchów materializacji, jak to u nas czynią schorzałe etycznie jedonstki, lecz wystarczy mu najzwyczajniejsza dziura wygryziona przez szczura w ścianie jego domu. Do niej to np. murzyn, kupiec, przykładą usta i zapytuje usłużnego ducha, czy może bezpiecznie puścić się w drogę, czy będzie miał szczęście w operacjach handlowych, czy wróci bez szwanku do domu. Zależnie od otrzymanych znaków, które mu własna wyobraźnia podsuwa, wysnuwa albo pomyślną, albo niepomyślną dla siebie odpowiedź. W pierwszym razie śmiało idzie oszukiwać swych ziomków, w drugim albo pozostaje w domu, albo szuka sobie w inny sposób pomyślniejszej wróżby.

Domy murzynów obwieszane są najrozmaitszemi nieraz wprost dziwacznyemi przedmiotami, które mają za zadanie chronić rodzinę od nieszczęść, a zapewnić jej powodzenie. Nad drzwiami można zobaczyć różne węzłki i mniejsze

i większe. W jednym znajduje się ząb tygrysa. Nabyto go za dobre wynagrodzenie od ngambi'ego, ale rzecz się opłaci, bo ten talizman nadzwyczaj skutecznie odpędza złodziejów. W drugim jest włos słonia — jeden tylko. Wprawdzie ngambi wziął za niego całą kozę, lecz zato żaden zły człowiek nie przekroczy progu domu. W innym zawiniątku pestka palmowa, najdzielniejszy środek na odpędzanie wszelakich chorób. Pod dachem widać pusty orzech palmowy, bardzo cenny talizman, bo w nim siedzi duch zmarłego przed laty dziadka, który nader sumiennie opiekuje się swem potomstwem.

W Duala, stolicy Kamerunu, gdzie król murzyński Bell miał swoją siedzibę, odbierał cześć bożek Elong. Kult Elonga uprawiają murzyni zorganizowani w tajnym związku, podobnym do tajnych związków masonskich w krajach cywilizowanych. Nie należących do związku Elong nienawidzi i prześladuje.

Ubiegający się o zaszczyt należenia do tego bractwa, muszą przejść przez próbę, która trwa rok, a nieraz i dłużej zależnie od osobistych przymiotów kandydata.

Uroczystość przyjęcia odbywa się w nocy. Kandydat składa przysięgę, iż pod grozą śmierci nie zdradzi przed nikim tego, co zobaczy i usłyszy na wspólnych zebraniach, pije napój złożony z brudnej wody, jakiegoś czarnego płynu i z krwi, poczem następuje biesiada i rozpustne tańce, których uczestnicy cudacznie się przebierają. Twarz zasłaniają maską, na głowę kładą łby dzikich zwierząt, przywdziewają skóry zwierzęce, a ramiona i nogi ozdabiają wiązkami włosów lub zeschłej trawy. Tak przebrani obnoszą bożka po całej osadzie, a biada nie należącym do związku, gdyby odważyli się spojrzeć na Elonga, lub przyłączyć się do pochodu. Zostaną zabici na miejscu.

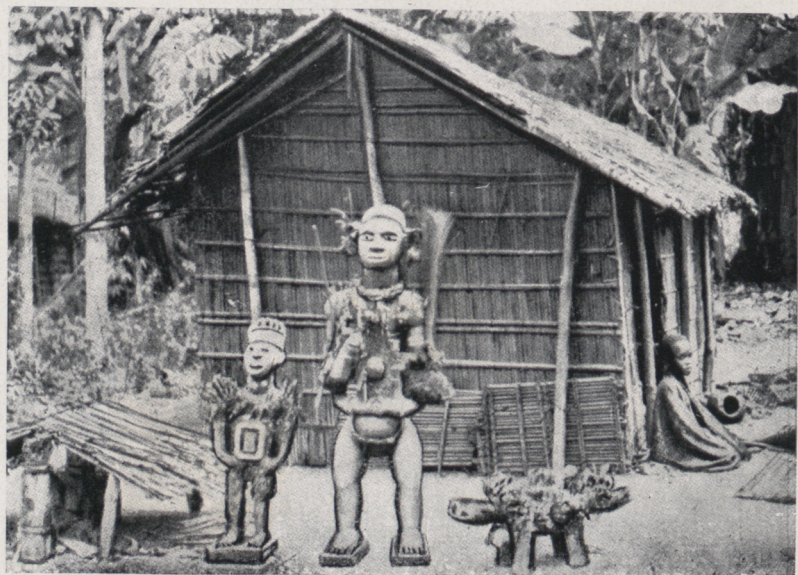
Poza związkiem Elonga, do którego mogą należeć murzyni bez różnicy płci, istnieją jeszcze inne, również tajne,



Nietuze. — Dujambe.



Bożki i amulety.



Bożki wystawione ku czci publicznej.

ale wyłącznie kobiece stowarzyszenia. Yenku jest głównym bożkiem jednego takiego stowarzyszenia.

Kobieta należąca do niego, staje się mieszkaniem Yenku i od tej chwili rozporządza siłą czarodziejską, zdolną uwolnić ludzi od złego, lub pogрузić ich w wielkie nieszczęścia. Niechaj tylko zachoruje kto w rodzinie murzyńskiej, natychmiast słychać w pobliżu domu niesamowite głosy. To wyje kobieta Yenku. Trzeba ją uspokoić i ująć podarunkiem.

Symbolem jej potęgi jest mała klekotka, zwana jola, którą zawsze nosi przy sobie. Śmiałkowi, coby się odważył Yenku zlekceważyć, przyłoży tylko jolę do czoła, a on natychmiast oślepie. Ale chory mimo czarodziejskich zabiegów Yenku, umiera. O, temu ona niewinna, lecz któryś z sąsiadów. On zjadł duszę chorego i chory musiał umrzeć. Yenku zna tego wybrednego smakosza, co się karmi tak subtelną strawą, wskaże go palcem, dostarczy trucizny, aby go usunąć ze świata, bo czyż można cierpieć tak niebezpiecznego osobnika w praworządnym społeczeństwie?

Bożki innych szczepów nie są wprawdzie tak okrutne, lecz zato, podobnie jak babilońscy bogowie, nadzwyczaj żarłoczne. Wymagają dużo wódki i dużo smacznych potraw. Szczep Djebele cieszy się posiadaniem niezwykle uczciwego bożka, nazwiskiem Njambe. Njambe jest tak dobry, że za wyrządzoną mu obrazę, nie żąda śmierci, lecz zadowolnia się bardzo łagodną karą: winowajca ma złożyć ofiarę z krwi młodego koźlęcia i wykąpać się w poświęconej mu rzecz. Kara ta przypomina nam przepisane prawem oczyszczenie żydowskie w starym testamencie.

Śledząc pojęcia religijne murzynów, możemy zauważyć, iż plemiona, żyjące więcej w odosobnieniu a więc nie ulegające wpływom swych sąsiadów, posiadają czystsza i bliższą pierwotnemu objawieniu ideę Boga. Oto co np. osiadły w północnej części Kamerunu, szczep Balondo wie o stworzeniu świata, o Bogu i jego rządach:

Balondo wierzą w istnienie trzech głównych bogów. Epaliwonjo, Epalirole i Owase. Niebiosa są ich mieszkaniem. W pierwszym, dostępnym dla oka ludzkiego, niebie mieszkają Epalirole i Owase, w drugim położonem gdzieś w wyższych okolicach przestworza rezyduje Epaliwonjo. Każdy z nich inaczej odnosi się do murzyna: Gdy Epaliwonjo czyha na jego życie i radby go zniszczyć, Epalirole, który wszystko stworzył, uważa go za swe dziecko i staje w jego obronie. Oto nadciągają chmury, błyska się, grzmi, biją pioruny, deszcz leje. Balondo drży ze strachu, bo to Epaliwonjo głosem grzmotu zapowiada zagładę czarnemu plemieniu. Ale Epalirole czuwa. Cichym, podobnym do szmeru lekkiego wiatru głosem odpowiada, że żadną miarą nie pozwoli na zgubę swych ukochanych dzieci. Oczywiście w pojęciu Balondo wszyscy trzej bogowie mają postać ludzką, co więcej Owase ma tylko jedno oko, a ciało pokryte ranami. I Owase może stwarzać ludzi, ale życie ich jest bardzo nieszczęśliwe. ♪ chorym przez dłuższy czas mówią, że go stworzył Owase.

Epaliwonjo i Epalirole nie odbierają żadnych ofiar, do tego ma prawo tylko Owase, który niejednokrotnie mieszka w drzewie, a wówczas i on i drzewo otrzymują nazwę „Molimo”. Każda wioska szczepu Balondo posiada takiego Molima. U jego stóp składają mieszkańcy na początku roku wielką wspólną składkową ofiarę. W tym celu obchodzi kilku mężczyzn z wielkimi kosztami całą wieś i otrzymane płody rolne, jak jams, makabo, kukurydzę, składają w osobnym budynku, gdzie przyrządzają z nich potrawy.

Tymczasem mężczyźni równają i upiększają plac około drzewa. Poczem zanoszą przygotowane zapasy do Molima, podają mu potrosze z każdej potrawy i błagają, aby ludziom, zwierzętom i roślinom udzielił daru płodności i oddał od nich wszelkie nieszczęście. Kobiety występują podczas tych uroczystości całe umazane gliną, którą skrapiają ziemię. Po skończonej ofierze przystępują uczestnicy do właściwego zadania, mianowicie do spożycia potraw ofiarnych. Gdy

już zjedzą wszystko, wracają wśród śpiewów i podskoków do wsi, gdzie przez cztery dni trwa dalsza biesiada. Ustaje wtedy wszelka praca. Balondo bawi się, gra, tańczy, śpiewa, a przedewszystkiem dużo je i dużo pije.

Bezwątpienia w wierzeniach murzynów odnajdujemy ślady wspólnej tradycji narodów. Kult Molima żywo przypomina grecką boginię płodności Demeter, a rzymską Ceres. Bóstwa Epaliolle, Epaliwonjo, Owase mają niejaki podobieństwo, oczywiście w bardzo skażonej formie, do Trójcy świętej.

Chrześcijańskie pierwiastki, jakie odnajdujemy w wierzeniach murzyńskiego szczepu Fanów, pozwalają przypuszczać, że plemiona te musiały kiedyś zetknąć się z misjonarzami, głoszącymi ewangelję. Stało się to najprawdopodobniej w okolicach górnego Nilu, skąd Fanowie w zamierzonych czasach przywędrowali do południowych i zachodnich rubieży Afryki. Fanowie wyznają jednego Boga w trzech osobach: Mbede, Zamba i Nkoa. Wszystkie trzy osoby brały udział w stworzeniu człowieka; Zamba podzielił się z nim siłą, Mbede rozumem, a Nkoa pięknnością. Tak hojnie obdarzony pan ziemi uniósł się pychą i wypowiedział swemu stwórcy posłuszeństwo. Bóg postanowił go ukarać. Miotanymi wśród ogłuszających grzmotów piorunami wzniecił na ziemi ogromny pożar, w którym spalił wszystko stworzenie, człowieka zaś cieszącego się nieśmiertelnością uwięził w głębokich podziemiach, gdzie po dziś dzień przebywa. Zgliszcza nakrył Bóg urodzajną warstwą ziemi, na której rozwinęło się nowe życie. Ale pod nią znajdują się pokłady węgla — wymowne świadectwo ukaranej pychy. Poczem uczynił Bóg parę małżeńską: mężczyznę Sekome i niewiastę Mbougoe. Oni to mieli trzech synów: złego Nkudu, tępego umysłu Bekale i dobrego Mefede, stąd też pomiędzy ludźmi znajdujemy dobrych, złych i głupich.

Człowiek składa się z ciała i z duszy, która zamieszkuje źrenicę oka. Przy śmierci opuszcza dusza ciało, a oko

traci swój blask. Bóg zobowiązał człowieka trzema przykazaniem: nie zabijaj bez słusznej przyczyny, nie kradnij, nie cudzołóż i pojął jego córkę za żonę, która mu powiła syna Bingo. Niezadowolony z tego ojciec, wrzucił niemowlę do morza, aby je stracić, lecz pewien starzec, zdjęty litością, wyratował je, otoczył opieką i wychował. Gdy Bingo wyrósł, chodził po świecie i nauczał ludzi dobrego, a wykopałszy z ziemi kamień, ukryty przez Boga, czynił przy jego pomocy cuda. Bingo poniósł śmierć z rąk białych, którzy przywłaszczyli sobie kamień i w ten sposób doszli do wielkiej potęgi i bogactwa.

Murzyni z szczepu Jaunde przedstawiają sobie stworzenie człowieka inaczej. Według ich wierzeń wielki Zamba zstąpił z nieba na ziemię i idąc z wschodu na zachód wszędzie stwarzał ludzi. Zmęczony drogą odpoczął na skale w Eton, która po dziś dzień nosi ślady jego stóp. Wróciwszy do górnych krain wysłał do ludzi kameleona i jaszczurkę. Kameleon miał im zwiastować nieśmiertelność, jaszczurka zaś śmierć. Kameleona, który szedł powoli, wyprzedziła zwinna jaszczurka i tak pierwsza przyniosła wyrok śmierci, której odtąd wszyscy muszą podlegać.

Zulusi mają to samo podanie, z tą różnicą, iż jaszczurkę, która zapowiedziała śmierć, nazywają salamandrą.

Według Hotentotów nie Bóg, lecz księżyc wysłała zającą i poleca mu oznajmić ludziom następujący wyrok: „Jak ja umieram, a potem ożywiam, tak i wy umrzecie a potem ożyjecie”.

Niestety zając zapomniał drugiej części wyroku i ku utrapieniu ludzi wygłosił tylko pierwszą: „Jak ja umieram, tak i wy umrzecie”.

CYGANIE AFRYKAŃSCY.

Szczep Bagielli. — Karty Afrykańskie. — Ich odwaga i zręczność. Badania ks. Zywerta. — Tańce i popisy gimnastyczne czarnych cyganów. — Zwolennicy teorii Darwina. — Poważanie 7 przykazania. — Wierzenia religijne. — Zwyczaje. — Narzeczcie Bagielli.

Aby lepiej zaznajomić czytelnika z plemionami ludów murzyńskich i ich wierzeniami religijnymi wspomnę jeszcze o afrykańskich cyganach zwanych Bagielli.

Jest to szczep koczowniczy, który przebywa w lasach, wędrując po rozległych obszarach czarnego lądu. Bagielli są karłami. Gdy zwykły murzyn dochodzi przeciętnie do 1.50 cm. wysokości, liczą oni zaledwie 1.30 cm. Kobiety ich są jeszcze niższe. Często można spotkać między nimi jednostki o 1.12 cm. wysokości. Budowa ich ciała jest nieproporcjonalna. Ręce i nogi w stosunku do tułowia są zbyt krótkie, tułów zaś zanadto rozwinięty. Wargi mają cienkie i ostro przycięte, zęby białe i równe. Wystające i nieco skrzywione szczęki czynią ich podobnymi do małpy, tylko wielkie, ciemne, jakby rozmarzone oczy, łagodzą ich brzydotę i nadają ich twarzy wyraz łagodności i dobroci. Zresztą trudno im się lepiej przypatrzeć, bo są bojaźliwi, usuwają się od obcych, a jeśli zatrzyma się ich podstępem lub przemocą, ogarnia ich przerażenie, które jeszcze więcej szpeci ich rysy.

Barwę skóry mają nieco jaśniejszą aniżeli murzyni, niekiedy, zwłaszcza u kobiet, wpada w odcień żółtawy.

Włosy są krótkie, kędzierzawe, koloru brunatno-rudawego, kark i plecy porośnięte zazwyczaj włosiem czerwonym. Odzież nader skąpa. Jedynie dorośli obwiązują biodra fartuchem sporządzonym z kory drzewnej, lub z włókien roślinnych. Czasem tylko można zobaczyć na nich łachman z czerwonego perkalu, nabyty od obcych.

Bagielli, prowadząc życie koczownicze, nie budują stałych pomieszczeń, lecz szałas z kory drzewnej, lub z liści palmowych. O sprzętach domowych nie mają najmniejszego pojęcia. Przyzwyczajeni od młodości do niewygód, cieszą się hartem ciała i czerstwem zdrowiem. Nawet niemowlęta śpią na gołej ziemi, wystawione na skwar słońca i na ulewne deszcze. Co najwyżej troskliwa matka podścieli pod nie liść palmowy.

Uprawy roli nie znają, ani żadnych rzemiosł. Podobno przodkowie ich byli dobrymi kowalami i pierwsi mieli zastosować żelazo do codziennego użytku. Mężczyźni zajmują się wyłącznie myślistwem. Potrzebne przedmioty jak noże, dzidy — broń, otrzymują od sąsiednich plemion murzyńskich wzamian za ubitą zwierzynę i za naturalne produkty leśne. Doskonale znają mateczniki dzikich zwierząt, umieją wyszukiwać gniazda ptasie i barcie pszczół leśnych. Z roślin przyrządzają skuteczne lekarstwa i nadzwyczaj silne trucizny, któremi zaprawiają groty strzał.

Te małe i bojaźliwe wobec obcych ludzi karzełki okazują jednak niezwykłą odwagę i zręczność w walce z grubym zwierzem. Uzbrojeni w łuki i włócznie, śmiało występują przeciw gorylom, szympansom, bawołom, a nawet przeciw olbrzymim słoniom. Ponieważ słonie posiadają nadzwyczaj czuły węch i zdaleka wietrzą niebezpieczeństwo, Bagielli smarują się ich ekskrementami, następnie pełzając z podziwienia godną cierpliwością, podchodzą pod żerujące zwierzę i nagle z całą siłą, przebijają mu brzuch zatrutą włócznią. Gdy słoń upadnie, odcinają mu trąbę, aby wpływ krwi przyspieszył jego koniec.

Ks. Zejwert, jeden z misjonarzy naszego zgromadzenia, który specjalnie zajmował się badaniem życia tego szczepu, opowiada o nich wiele ciekawych rzeczy. Przytaczam urywek z jego zapisków:

„Umawiałem się raz z jednym to znów z drugim myśliwym z szczepu Bagielli, aby nam dostarczali do kuchni świeżego mięsa. Po zawartej ugodzie wręczałem im zwykłą strzelbę i dwa naboje na każde polowanie. Pomimo tak lichego ekwipunku myśliwskiego szedł taki karzeł na bój niby na taniec. Raz przywłókł mi ogromnego, 4 centnary ważącego goryla. Spotkanie się z takim siłaczem, nawet dla najlepiej uzbrojonego myśliwca może skończyć się bardzo fatalnie. To też z ciekawością badałem, czy się nie zląkł, gdy taki olbrzym natarł na niego? — „Gdzie-tam” — odpowiedział, miałem przecież w ręku doskonałą broń, którą mi dałeś”.

Inny znowu obdarzył nas młodym szympansem. Z matką tego małpiątka musiał stoczyć tak zacięty bój, iż z strzelby przyniósł tylko kawałki. Z grozą słuchałem opowiadania o przebiegu walki. „No i nie bałeś się o życie?” zapytałem. „Mówisz tak”, odpowiedział obrażony, „jakby Bagielli mógł być tchórzem. U nas nawet mały chłopiec nie zna trwogi podczas polowania”.

Bagielli jest prawdziwym panem puszczy i jej mieszkańców. Jeśli nie może pokonać ich wstępnym bojem, posługuje się przebiegłością, umiejętnie zastawionym potrzaskiem, siecią, trucizną. Rany, pochodzące z ukąszenia żmii wypalają żarzącym węglem. Na ukłócia pszczoł są zupełnie niewrażliwi. Nago, bez dymiącej główki wspinają się na drzewa, aby wybrać miód z dziupli. Wprawdzie głowę, szyję i ręce nacierają kwaśnym sokiem dzikiej śliwy celem zabezpieczenia się przed ich natarczywością, mimo to całe ciało bywa tak niemiłosiernie skłute, iż gdyby innemu człowiekowi — co ja mówię — nawet zwierzęciu wsączyło się tyle jadu w krew, musiałby niechybnie zginąć

Powiadają, że karle plemiona pozostają w niewolniczej zależności od otaczających je szczepów murzyńskich. Przekonałem się jednak, że twierdzenie to, przynajmniej co do Bagielli mija się z prawdą. Między nimi a murzynami istnieją wprawdzie bliskie, przedewszystkiem handlowe stosunki, lecz nie w ten sposób, aby byli od nich bezwzględnie zależni. Owszem, jeśli zauważą, że na przyjaźni z jakimś szczepem źle wychodzą, nawiązują znajomość z innym szczepem, który ich przyjmuje z otwartemi rękoma. Wogóle Bagielli zażywają miru i poważania u murzynów.

Niech tylko który z nich zjawi się w ich wiosce, witają go jako przyjaciela, częstują winem palmowem, sadzają obok siebie, czego murzyn dla niewolnika nigdy nie uczyni. I sami Bagielli nie uważają się za jakąś niższą nację, lecz za właściwych panów ziemi na której przebywają, daleko wcześniejszych od szczepów murzyńskich. „Dawniej” mówią o sobie, „mieszkaliśmy i nad morzem, gdzie dla zabezpieczenia się przed napadami dzikich zwierząt i białych, którzy okrętami przybijali do brzegów, zmuszeni byliśmy nocować po drzewach. Dopiero Duala i Kribi wyrugowali nas stamtąd”. Bagielli pamiętają jeszcze do dzisiaj tę krzywdę, usuwają się od tych dwu szczepów i nie prowadzą z nimi żadnych interesów.

Bagielli jako lud koczujący, żyje w rozproszeniu i przebiega dalekie przestrzenie lądu, goszcząc pośród różnych plemion murzyńskich u Mabee, Bakoko, Ewusok, Fang, Bulu, Maka, Njem.

Klany ich sięgają tak daleko, jak daleko ciągną się lesiste puszcze, aż hen do granic francuskiego i belgijskiego Kongo, a chociaż w różnych stronach różne noszą nazwy, np. Bakoe, Baka, Bomanyak (pogromcy słońców), to jednak są to bracia jednej rodziny, mówiące jednym z bardzo małemi zmianami językiem.

Małżeństwa zawierają tylko między sobą. Pierwszy nasz myśliwy Makuang, wypowiedział nam swe usługi dla-



Typy cyganów afrykańskich.



W lasach dziewiczych kraju Ngumba.

tego, że postanowił się ożenić. Gdy mu zwróciłem uwagę, że niepotrzebnie, dla błażej przyczyny, opuszcza stały zarobek, że przecież łatwo sobie może znaleźć towarzyszkę życia między swymi, odpowiedział: „O, tego nie da się załatwić w przeciągu kilku dni. Idę do kolonji francuskich. Sama podróż będzie trwała kilka tygodni, a kto może wiedzieć, jak mi tam długo przyjdzie pozostać — może i trzy lata”. Powrócił po roku, a gdy mi przedstawił swą małżonkę, zauważyłem, że ta kobieta w niczem nie różni się od kobiet, urodzonych w jego własnym klanie — w kraju Ngumba.

Żadna większa zabawa murzyńska nie obejdzie się bez Bagiellów, którzy ją urozmaicają muzyką, popisami gimnastycznymi i tańcami. Czasem przychodzą sami, bez zaprosin, a wtedy, młodzież zwłaszcza, wita ich z niekłamana radością.

Tańce ich niepodobne zgoła do tańców europejskich, są przedstawieniem różnych scen myśliwskich i scen z życia zwierząt, a gdy tańczą, wprawiają w ruch nie tylko nogi, ręce, głowę, ale całe ciało. W takt muzyki drgają im wszystkie mięśnie. Tancerze, zazwyczaj sami mężczyźni, występują pojedynczo, rzadziej w dwójkę, lub w liczniejszych grupach, starając się prześcignąć swego przodownika w zręczności i wytrzymałości. Jeden z nich np. naśladuje rytmicznie tropienie dzikiego zwierza, inny znowu na spółkę z towarzyszami, odtwarza walkę z lwem. Tamten przedstawia tygrysa, zakradającego się do obory po owcę, ten znowu walkę lamparta z gorylem, lub szalone skoki małpy, wdrapującej się na drzewo. Wszystko to odbywa się z rozmachem i realizmem. Widziałem, jak jeden, w okamgnieniu, przedostawszy się poprzez wysoką ścianę do zagrody, łożył sobie kożę na szyję, przetańczył z nią na zrębie dachu i z istic małpią zwinnością powrócił do towarzyszków zabawy.

Zespół muzyczny tworzą nie tylko mężczyźni ale i kobiety i dzieci. Do nich należy wybijanie taktu na bębenkach,

klaskanie rękami i monotonne zawodzenie żalonych, w kółko powtarzających się melodji. Jedna z śpiewaczek recytuje od czasu do czasu krótkie kuplety na temat odbywającego się przedstawienia.

Zajmujący się studjum plemion murzyńskich, twierdzą, jakoby ten szczep stał na najniższym stopniu kultury. Prawda, że Bagielli nie znają wybrednych wymagań nowoczesnego życia, lecz właśnie ta prostota chroni ich od wielu zgubnych nałogów, jakie z sobą przynosi zazwyczaj rzekoma cywilizacja. Zwolennicy teorii Darwina chcieliby widzieć w Bagielli najbliższych krewniaków szympansa czy goryla. Powiadają, że świadomość tego pokrewieństwa nie pozwala im polować na małpy i żywić się ich mięsem. Są to brednie, wylęgłe w głowach pseudo-uczonych, budujących swe osobiste zapatrywania na przypuszczeniach, nie popartych żadnym pewnikiem naukowym.

Nieprawdą też jest, że Bagielli żywią się mięsem surowym jak zwierzęta. Szwedzkich zapalek, ani zapalniczek benzynowych nie znają, ale zato każdy z nich nosi przy sobie przemyślnie skonstruowany przyrząd, za pomocą którego roznieca ogień, aby ugotować potrawy. Przyrząd ten składa się z deszczułki, pełnej dziurek, wyścielonych delikatnymi włóknami trawy, zebranej z gniazd ptasich. Do dziurki wkłada się patyczek z twardego drzewa i szybko się go obraca. Na skutek silnego tarcia rozgrzewa się drzewo, ukazują się iskry, od których zapalają się włókna, a od nich zawczasu nagromadzone drobne gałązki, sucha trawa, lub liście.

Podstawą właściwej cywilizacji i miarą wartości każdego człowieka i narodu jest jego moralność. Pod tym względem przewyższają Bagielli wszystkie inne plemiona murzyńskie. U nich niema wielożeństwa. Gdy jeden z ich naczelników, naśladując władców innych plemion, pojął drugą żonę, poddani, oburzeni jego czynem, przeciwnym obyczajom i tradycji

przodków, zmusili go do oddania tej kobiety któremuś z nieżonatych mężczyzn w małżeństwo.

Ta właśnie jedność małżeństwa wnosi do ich rodziny pokój, zgodę i miłość, a kobiecie zapewnia szacunek. Żona nie jest niewolnicą męża, lecz jego towarzyszką i poważaną matką jego dzieci. Imię matki, jako najlepszej opiekunki i doradczynie, znajdziesz niemal w każdej ich pieśni. Jej błogosławieństwo zapewnia synowi powodzenie w łowach i chroni go od nieszczęśliwego wypadku.

Bagielli szanują cudzą własność. Inne szczepy nie bardzo liczą się z 7 przykazaniem. Zapytany murzyn, co jest złe, odpowiedział: „Złe jest, gdy mnie ktoś ukradnie kozę”, „A co dobre?” — „Dobre jest, gdy ja komuś kozę ukradnę”. Lecz Bagielli nie trzymają się tej bolszewickiej etyki. Potrzeby ich są skromne, zaspokajają je w zupełności tem, co im daje puszczą, a jeśli się zdarzy, że przywłaszczą sobie nieco z produktów rolnych bez wiedzy właściciela, na ich miejsce zostawiają miód, orzechy, a nawet pieniądze tytułem wynagrodzenia. Nieraz oszukiwali mnie myśliwi z szczepów Ngumba, Balu, Bakoko, zatrzymując sobie upolowaną na moją rzecz zwierzynę, atoli na Bagiellów ani razu nie potrzebowałem skarżyć się pod tym względem.

O swoich wierzeniach religijnych ludzie ci nie chcą nic mówić. Wykręcają się jak mogą, aby tylko uniknąć rozmowy na ten temat. Strzelec mój, gdy go począłem więcej stanowczo badać w tym kierunku, uciekł do lasu, a nazajutrz odesłał mi strzelbę z oświadczeniem, że mi więcej służyć nie będzie. Skromne wiadomości jakie podaję poniżej, otrzymałem drogą pośrednią przez murzyna szczepu Ngumba, który pozostawał z nimi w ścisłych stosunkach i dobrze znał ich życie:

Bagielli wierzą, jak wszystkie inne plemiona murzyńskie, w jedną najwyższą istotę — Nzambi, która jest stwórcą wszechrzeczy. Bóstwo to oddało im w posiadanie obszerne ziemie, które zamieszkują. Wierzą w nieśmiertelność duszy

i dlatego zaopatrują swych zmarłych w broń i w inne rzeczy codziennego użytku, aby się niemi posługiwali na drugim świecie. Zmarły zemściłby się srodze na pozostałych przy życiu krewnych, gdyby mu z ich winy czego poza grobem zabrakło, lub gdyby go tutaj na ziemi niepokojono. Ciała zmarłych grzebią tam, gdzie ich śmierć zaskoczyła, w postawie siedzącej, z twarzą zwróconą na wschód, bo na wschodzie przemawiał kiedyś Nzambi do ich przodków. Zaraz po pogrzebie wracają do domów i nigdy już nie przychodzą do grobu, aby nie spotkać się z Nzambi. Zbytne zbliżenie się do Nzambi jest dla nich bardzo niebezpieczne. Gdy razu pewnego zapytałem jednego z nich, dlaczego zmienił teren polowania, odpowiedział: „Tam mieszka Nzambi, zupełnie niepotrzebnie znaleźliśmy się na tem miejscu, za to trzech z nas odrazu ukarał śmiercią”.

Bagielli nie posiadają świątyni — domów modlitwy, nie widziałem też u nich bałwanów, wyobrażających duchów niższego rzędu i używanych przez szczepy murzyńskie do rozmaitych, nieraz wstrętnych ceremonji, osobliwie podczas tańców. Natomiast, podobnie jak wszyscy poganie, posługują się amuletami. Są to kawałeczki drzewa, albo pestki z owoców, albo jakieś inne przedmioty, które noszą nawleczone na włosień z ogona słonia, na szyi lub na ręce. Gdy atoli u innych szczepów amulety takie przyrządza czarownik i przy pomocy zaklęć nadaje im rzekomo nadprzyrodzoną siłę, to oni nakładają je sobie sami i nie oczekują od nich nadzwyczajnych skutków. Tak np. matka zawiesza swemu dziecku orzech, aby miało zdrowe i silne zęby.

Szczep Bagiellów zachowuje najściślej odziedziczone po przodkach zwyczaje, normujące ich życie w pewnych wypadkach. Żaden z nich nie wyjdzie na polowanie dotąd, dopóki przedtem nie pomodli się i nie otrzyma od matki błogosławieństwa. Za przekroczenie tych tradycyjnych przepisów sami sobie nakładają kary. Przyniósł mi strzelec ubitą antylopę, która karmiła młode. Chciałem mu oddać wedle

umowy, głowę zwierzęcia i jego wnętrzności, atoli tym razem nie przyjął należnej mu części: „Tego mięsa jeść mi nie wolno. Zabiłem karmiącą samicę. Jej młode zginą teraz z głodu. I ja mam dzieci. Cóżby się stało z nimi, gdyby kto ich matkę pozbawił życia? Zato przez trzy dni nie tknę ani jada, ani napoju aż do wieczora”. To powiedziawszy uciekł nagle, jakby sobie przypomniał, iż wyjawiał rzecz o której nie powinien opowiadać.

Bagielli nie oddają bóstwu Nzambi czci z miłości, lecz z bojaźni przed jego zemstą. Bojaźń skłania ich do składania ofiar z pierwocin płodów leśnych. Nie widziałem, aby kiedy ofiarowywano zwierzęta. Pierwsze owoce, pierwszy miód wybrany z barci wrzuca naczelnik klanu przy pewnych ceremonjach do roznieconego w tym celu ognia. Dopiero po złożeniu ofiary wolno im bez obawy ściągnięcia na siebie kary z strony Nzambi pożywać dary Boże. Nikt nie wypije podanego mu wina, dopóki, z oczami wzniesionymi w górę, nie zleje kilku kropel na ziemię dla Nzambi.

Wszyscy mówią dobrze dialektami okolicznych szczepów murzyńskich. Obcując z nimi urobili sobie język, w którym znajdują się wyrażenia plemion Ngumba, Duala, Jaunde i Bano. Oprócz tego języka, jakby na dzień powszedni, mają jeszcze język od święta, którym nigdy nie mówią wobec obcych, lecz używają go tylko w rozmowie między sobą. Ich śpiewna i płaczliwa wymowa sprawia wrażenie, jakby się ciągle skarżyli na jakąś doznaną krzywdę.

IV.

BAŚNIE MURZYŃSKIE.

Dlaczego ludzie umierają.—Jak mieszkańcy obłoków stali się mieszkańcami drzew.—Abobo i jego żony.—Rodzinie należy się miłość.

Baśni tych mają murzyni bardzo wiele, a wszystkie zgodnie dowodzą, że człowiek choćby na najniższym szczeblu kultury, nie zadowala się wyłącznie przemijającym dobrem doczesnym, lecz, przeczuwając cel wyższy, dla którego został stworzony, dąży do osiągnięcia wartości trwałych, jakich wymaga jego nieśmiertelna dusza.

Dlaczego ludzie umierają i dlaczego grzebią umarłych?

Wielki upał panował w dniu, w którym Pan Bóg stworzył dwoje ludzi: mężczyznę i niewiastę. Oddawszy im na własność piękne gospodarstwo, rzekł: „Obdarzę was dzieciątkiem. Wychowujcie je dla mnie, a gdyby przypadkiem umarło, zachowajcie przynajmniej jego ciało, abym je oglądał, kiedy raz jeszcze do was powrócę”.

To powiedziawszy odszedł. Niedługo potem małżeństwu urodziło się rzeczywiście dziecię, lecz gdy po kilku tygodniach życia umarło, zwraca się żona do męża i mówi: „Ciało naszego dziecka rozkłada się i cuchnie, a Bóg pewnie już nie przyjdzie. Na cóż je dłużej trzymać? Złóżmy je w dole i przykryjmy ziemią”. Mąż zgodził się na to i tak uczynili.

Atoli pewnego dnia powrócił Bóg, a spostrzegłszy mogiłę, zapytał, na co ją usypali? Rodzice odpowiedzieli, iż im się urodziło dziecię i umarło, więc je tam pogrzebali.

Rozgniewał się tedy Bóg i rzekł: „Iżście to uczynili, każdy człowiek będzie odtąd podlegać śmierci i każdego pochłonie ziemia”.

Tak powiedział i oddalił się. I odtąd już nie zjawił się między ludźmi. A dokąd poszedł, nikt nie wie.

Jak mieszkańcy obłoków stali się mieszkańcami drzew, t. j. małpami.

W dawnych, bardzo dawnych czasach istniały dwa światy, świat na dole, gdzie mieszkali czarni i świat wysoko w obłokach, gdzie przebywali biali. Wszyscy mówili jednym językiem i żyli w przyjaźni. Mieszkańcom górnych regjonów wolno było w każdy dzień targowy schodzić do niższej krainy i pozostawać w towarzystwie czarnych pod warunkiem, iż nie będą pożywać żadnych potraw i przed wschodem słońca powrócą do swych domów. Wielka panowała radość, gdy zeszyły się razem obydwaj narody. Wówczas wypijano dużo palmowego wina, grano, śpiewano i tańczono.

Przez dłuższy czas szło wszystko dobrze, lecz, niestety, nastąpiła godzina, w której bardzo żałośnie zakończył się dotąd nie zamącony niczem stosunek białych do czarnych. A przyczyną była, jak zwykle, kobieta.

Razu pewnego odbywał się wielki jarmark z okazji zbiorów kukurydzy. Skorzystali z tego biali i zstąpiwszy z wyżyn na ziemię, weselili się i pili wino palmowe, lecz wnet zakręciło im się w głowach, bo mieli żołądki puste, z zazdrością patrzyli na czarnych, jak po spożyciu kukurydzianej leguminy, wychylali czarę za czarą, a mimoto byli zupełnie trzeźwi. Właśnie podano na stół kukurydżę w nowej postaci: mianowicie zaprawioną umiejętnie olejem palmowym i pieprzem. Gdy czarni z widocznym zadowoleniem zjadali smakowitą potrawę, biali odczuwali taką oskomę, że im aż ślina spływała po brodzie.

Wtem jakaś kobieta przyniosła wielki półmisek nie mniej apetycznie przyrządzonej kukurydzy, postawiła go

przed mieszkańcami obłoków i rzekła: „Macie — to dla was. Jedzcie, abyście mogli bezpiecznie pić wino palmowe. Niechże wam się ta potrawa w dobrą krew obróci”.

Tak mówiła, a Balunufu, naczelnik mieszkańców obłoków, uśmiechając się wdzięcznie, wziął półmisek do rąk, przybliżył do niego nos i długo, długo wciągał zapach leguminy. „O jakże pachnie przyjemnie”, zachwycił się z lubością, „jak orzeźwiająco. Zaiste warto jej dać buzi. Troszkę tylko spróbuję”.

To rzekłszy, pokosztował raz i drugi, potem coraz częściej, aż z leguminy zostały tylko okruszyny. A kobieta stawia tymczasem nowe półmiski dla jego ziomków. Ci nie dali się długo prosić, lecz, zachęceni przykładem Balunufu, jedli do sytości. Tak teraz mogli pić bezpiecznie. I pili wino palmowe z mieszkańcami ziemi na wyścigi. Na placu, oświetlonym płonącymi ogniskami, zapanowała taka radość jakiej jeszcze nigdy nie było. Daleko w ciemną przestrzeń niosły się okrzyki wesela.

Wtem nagle nastąpiła śmiertelna cisza. Mieszkańcy obłoków z przerażeniem zobaczyli wschodzące słońce. Jękiem i narzekaniami napełnili powietrze. Spóźnili się z odejściem, złamali post i stracili prawo do górnej krainy. Ogarnęła ich rozpacz. Jak szaleni biegali tu i ówdzie napróżno szukając drogi. Zaczęli się nawet wdrapywać na drzewa w mniemaniu, że stąd bliżej będą mieli do swych osiedli. Niestety, nie tylko utracili państwo obłoków, lecz co gorsza, zamienili się w mieszkańców drzew, w głupie i wstrętne małpy.

I to przez jedną kobietę przyszło na nich tyle nieszczęścia.

Odtąd pędzą hałaśliwe, niespokojne życie, nienawidzą ludzi, a w nocy złączą z drzew i czynią wielkie spuszczenia w polach kukurydzy ku utrapieniu czarnych.

Abobo i jego żony.

Zył sobie pewien bogaty człowiek, nazwiskiem Abobo. Miał on wiele żon, ale wszystkie były leniwe i zawsze gotowały mężowi tylko jarzyny, bo im się nie chciało nałowić ryb. Abobo długo znosił ten przymusowy post, wkońcu jednak tak mu się naprzykrzył, iż sam postanowił zabawić się w rybaka. Po drodze mówił do siebie: „Z ryb które ułowią, nie dam mym leniwym żonom ani kawałeczka”.

Zarzucił wędkę w wodę i zamiast ryby złowił garnuszek. „Co to ma znaczyć?” zawołał zdziwiony — „szukam ryb, a oto wyciągam garnuszek?”

Aż tu słyszy odpowiedź: „Kto ci powiedział, że ja jestem garnuszek? Nazywam się ten, który zawsze chętnie gotuje”. „Ach” — rzecze zdumiony Abobo, — „nic o tem nie wiedziałem. Jeśli jednak tak się nazywasz i takie twoje zajęcie, zgotuj cośkolwiek, bo jestem bardzo głodny”.

I rzeczywiście garnek w jednej chwili nagotował taką obfitość różnych potraw, iż Abobo nie mógł zjeść wszystkiego. Po smacznym posiłku zabrał z sobą garnek i ukrył go w własnej chacie¹⁾ przykazując żonom surowo, aby się nie ważyły do niej wchodzić.

Ale razu pewnego skorzystały ciekawe niewiasty z jego nieobecności, poczęły myszkować po izbie i znalazły garnek.

„Tu leży jakiś garnuszek”, zawołały chórem.

„Już raz powiedziałem waszemu mężowi, a teraz znowu powtarzam: Nie nazywam się garnuszek, ale ten, który zawsze chętnie gotuje”.

„Zgotujże i nam cośkolwiek”, prosiły kobiety.

Garnek wziął się do pracy i rychło nagotował tyle, iż nie mogły zjeść wszystkiego. Jedna z nich wzięła to dziwo do ręki, ale cóż — garnek upadł na ziemię i rozbił się

¹⁾ Żonaci murzyni mają nieraz własną chatę, w której śpią zdala od rodziny.

w kawałki. Tymczasem powrócił mąż do domu, a zobaczywszy tylko skorupki, bolał bardzo, nic jednak nie powiedział żonom, lecz poszedł znowu łowić ryby.

Zarzucił wędkę i wyciągnął bicz.

„Co to takiego, że złowiłem bicz?” zawołał.

Bicz zaś odrzekł: „Kto ci powiedział, że jestem bicz? Nazywam się ten, co zawsze chętnie bije”.

Abobo powiedział: „Pokaż więc co umiesz. Bij mnie”.

Bicz tak ochoczo spełnił polecenie, że Abobo po kilku otrzymanych razach, błagał o zaprzestanie tej niemilej dla niego czynności. Poczem wziął bicz z sobą i tak samo z nim postąpił jak z garnkiem.

Ciekawe żony poszły pod jego nieobecność do chaty, a znalazłszy bicz, zawołały: „Tu leży bicz”.

„A kto wam powiedział, że ja jestem bicz. Ja się nazywam ten, co zawsze chętnie bije”.

„Jakże to czynisz?” rzekły. „Pokaż nam”.

I bicz począł bić kobiety. Na ich krzyk nadbiegł mąż, ale nie myślał ich wcale bronić, lecz ciągle powtarzał: „A bij-że je! Bij! Bo tego warte”.

Rodzinie należy się miłość i uprzejmość.

Głodny Nkulu wydrapał się na wysoką palmę kokosową, rosnącą nad morzem i zatrząsł nią tak silnie, iż orzechy jak grad padały na ziemię, a jeden z nich potoczył się aż do wody. Nkulu, spuściwszy się z drzewa, pozbiierał owoce, ułożył je razem, poczem wszedł do morza, aby i ten, co pływał po wodzie, wydobyć. Zaledwie się zanurzył, zobaczył czarownicę, która chwyciła orzech i nie chciała go oddać. Nkulu już miał użyć przemocy, gdy czarownica poczęła prosić, mówiąc: „Zostaw mi go, a za to dam ci cudowny bębenek. Gdy na nim zabębnisz tindi, tindi, tindi, będziesz miał tyle żywności, że nigdy nie doznasz głodu”.

Uwierzył jej Nkulu, a wyszedłszy na brzeg, znalazł rzeczywiście obiecany bębenek. Natychmiast zabębnił tin-

di, tindi, tindi i oto zjawiały się przed nim potrawy za potrawą. Uradowany jadł do sytości, poczem schował cenny bębenek w dziupli drzewa, aby go nikt nie znalazł i wrócił zadowolony do domu.

Odtąd już Nkulu nie troszczył się o żywność. Ilekroć uczuł głód, szedł skrycie do lasu, bębnił tindi, tindi, tindi i jadł ile mu się podobało. Zato w domu nic nie wziął do ust. Daremnie przyrządzała mu żona smakowite potrawy, syty Nkulu nawet na nie nie spoglądał. Martwiła się biedaczka, nie mogąc sobie wytłumaczyć, skąd u jej męża nastąpiła taka zmiana.

Nkulu miał mądrego syna, który nie mogąc patrzeć na zgryzotę matki, postanowił wykryć przyczynę tej niezwyklej wstrzemięźliwości swego rodzica. W tym celu porobił dziury w kieszeniach ojcowskich spodni i nasypał do nich popiołu. Nkulu, nie przeczuwając podstępu, szedł swobodnie na obiad do lasu, a tymczasem popiół, wysypując się potrosze z kieszeni, znaczył najdokładniej ślad jego drogi. W taki to sposób dowiedział się przemyślny chłopak o cudownym bębenu i o przyczynie, dla której jego tatusiowi nie smakowała domowa strawa.

Po odejściu ojca wyjął chłopak z drzewa bębenek i przyniósł go matce.

Na drugi dzień daremnie szukał Nkulu swego żywiciela. Rozgniewany zagroził drzewu, że je zrąbie, jeśli mu nie odda bębena. Ale drzewo milczało. Milczało i wtedy, kiedy je Nkulu ciął siekierą, a pocięte palił.

Smutny i głodny powrócił do domu i jadł z apetytem, wszystko, co mu żona podała.

„Dlaczegoż to, tatusiu, znowu ci teraz smakuje domowy wikt?” zapytał złośliwie chłopak.

Nkulu z podełba popatrzył na syna, zagryzł wargi i nie odpowiedział słowem.

Wtedy chłopiec rzekł: „Ojcze, to ja zabrałem bębenek,

bo byłeś niedobry dla matki. Weź go i bądź dla niej uprzejmy”.

Uradowany Nkulu dzielił się odtąd każdym kąskiem z rodziną i zawsze był pełen miłości dla żony i dla syna.

V.

ZŁE DUCHY. NGIL.

Pojęcie djabła. — Krew djabelska. — Stosunek djabła do murzynów. — Konfident djabła. — Ngile czarownicy, wróżbiarze. — Związek Ngilów. — Parobcy szatana. — Piekielna biesiada. — Szatańska nienawiść ngila do wiary katolickiej.

Pojęcie djabła jest tak wkorzone w umysł murzyna, że misjonarz o tej prawdzie zgoła nie potrzebuje go nauczać. Djabł to istota, z którą murzyn spotyka się na każdym kroku. Gdy zmrok zapadnie, za żadną ceną nie puści się bez towarzysza w drogę, on nawet poza próg własnej chaty nie wyjdzie wieczorem, by mu przypadkiem bies nie urwał kędzierzawej głowy.

Są miejsca i drzewa, które sobie zły duch obrał za mieszkanie. Biedny murzyn omija je zdaleka i ogląda się ustawicznie, czy mu ten nieszczęsny duch nie następuje na piętę.

Na cmentarzu misyjnym rosło stare, nieużyteczne drzewo, które trzeba było ścinać. Pracę tę powierzył misjonarz jednemu z murzynów. Tak jak prędko zabrał się do roboty, tak jeszcze prędej wrócił, oświadczając z przerażeniem, że drzewa za żadną cenę ścinać nie będzie.

— „Dlaczego?” — pyta misjonarz.

— „Gdy uderzyłem w drzewo siekierą — połała się krew. Tam siedzi djabł”.

— „Ot, bajesz, pójdźmy obydwać, abyś się przekonał, że zmyślasz rzeczy, których niema”.

Poszli. Rzeczywiście po korze drzewa ściekała rdzawa

ciecz. Była to deszczówka, która spływała do dziupli i od soku drzewa, jak też od gnijących części drzewnych za barwiła się na czerwono.

— „No widzisz, że to nie krew, bierz siekierę i uderzaj”.

Ale murzyn trzął się od strachu i błagalnie spoglądał na swego pana, aby go zwolnił od tego przykrego obowiązku. Widząc jednak nieprzejednany wyraz jego twarzy, ukląkł przed drzewem i taką wygłosił modlitwę: — „Ty widzisz, duchu, że ja nie chcę wyrządzić ci żadnej krzywdy, nie mścij się na mnie, lecz na tym, co mnie zmusza do tej pracy”.

Powstawszy począł z rezygnacją skazańca rąbać drzewo. Aż tu, za każdym uderzeniem siekiery, woda głośno w dziupli bulgoce. Jeszcze większe przerażenie ogarnęło murzyna, bo już nie tylko leje się krew djabelska, ale sam djabeł zaczyna jęczeć. Wreszcie siekiera wycięła otwór, którym spłynęła woda, a temsamem ustały djabelskie płacze. Zrozumiał murzyn swoją pomyłkę, lecz co go to obchodziło — on cieszył się myślą, że go djabeł nie będzie przesładował.

Wiara murzynów w istnienie diabła opiera się nietylko na fantazji, ile, niestety, na realnej, rzeczywistej podstawie: Nie darmo mówi Pismo św., że djabeł krąży jako lew ryczący, szukając kogoby pożarł. Jeżeli ten duch ciemności nie przepuszcza dzieciom Bożym, obmytym wodą chrztu św., odkupionym Przenajświętszą Krwią Chrystusową, jeżeli rzuca się nawet na świętych, to cóż musi się dzieć w pogańskiej Afryce, gdzie od niepamiętnych czasów panuje jako udzielnny książę, gdzie żadna modlitwa, żadne błogostawieństwo, żadna ofiara nie tamuje jego działalności. To też jest rzeczą zrozumiałą, że stosunek jego do murzyna jest bardzo ścisły, że posiadając nad nim władzę, trzyma go w sromotnej niewoli, jak to czytamy w Ewangelji o opętanych za czasów Zbawiciela i przed Jego przyjściem.

Z początku mego pobytu w Kamerunie nie chciałem nawet przypuszczać, aby to mogło być prawdą, a jednak muszę przyznać, że im dłużej pracowałem pośród czarnych, tem częściej spotykałem się z djabłem. Żywo stoi mi w pamięci Chrzest św., którego po raz pierwszy jako misjonarz udzieliłem 80 murzynom. Gdy im przyszło wymówić po trzykroć „wyrzekam się ducha złego” — wprost staczali z sobą ciężką walkę. Słowa te z trudnością wychodziły im z gardła, drżeli, jękali się, a gdy wreszcie wyksztusili z siebie ślubowanie zerwania z największym swym wrogiem, ogarnęła ich taka radość, iż widok ten wzruszył mnie do głębi.

To jest pewne, że djabeł gospodaruje wśród pogan. Dlatego też dzieją się pośród nich rzeczy straszne, ohydne. Ngambi, czarownicy, wróżbiarze pozostają zwykle z złym duchem w bliskich stosunkach i przy jego pomocy dokonują dziwów. Niektórzy z nich z całą świadomością zawierają z djabłem przymierze, a taki przyjaciel i konfident szatana nazywa się ngil. Każdy szczep murzyński posiada ngilów, którzy z sobą tworzą ścisły, tajny związek.

Nie każdy może zostać czarownikiem — ngilem, konfidentem djabła, członkiem tajnego związku, albowiem liczba związkowców jest ograniczona. Przyjęcie do związku obchodzi się uroczyście i zawsze jest połączone z ofiarą ludzkiego życia. To już należy do kandydata, aby dostarczył przedmiotu ofiary, mianowicie chłopca, a lepiej dziewczynkę. Zdarza się, że przyszły ngil przyprowadza w tym celu swą własną siostrę, a nawet i matkę.

Nowicjusz przechodzi przed przyjęciem do związku przez wiele prób. Jeżeli okaże się niezgodnym, lub niegodnym zaszczytu należenia do grona ngilów, w obawie aby nie zdradził tajemnic stowarzyszenia, załatwiają się z nim przy pomocy trucizny. Ciało jego zgnije gdzieś pod krzakiem, lub stanie się pastwą dzikich zwierząt. Gdy zaś zapadnie uchwała przyjęcia, zbierają się wszyscy związkowcy w ustronnem miejscu, najczęściej w pobliżu źródła, lub

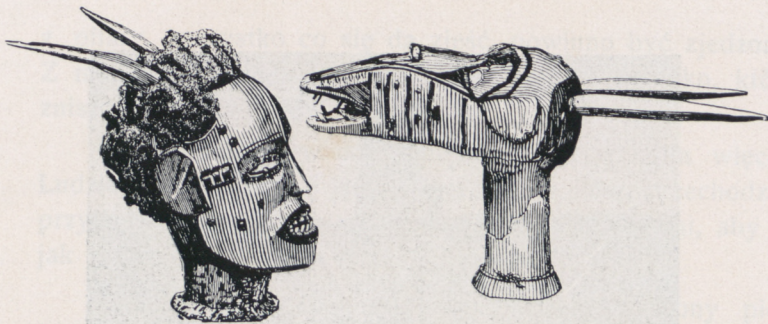
nad przepaścią. Tu ścinają grube drzewo, żłobią w niem siekierami głębokie wydrążenie, do którego powoli spływa miazga drzewna barwy czerwonej: Obok budują szatas, gdzie zasiada naczelnik związku, cały tatuowany białą i czerwoną farbą, opasany fartuchem z włókien bananowych. Gdy tańczy, włókna wiją się około jego czarnego ciała, niby węże. Przed nim staje kandydat, z którego już przedtem uczyniono przy pomocy tajemniczych zabiegów istotę o przygasłym wejrzeniu, skłoną do halucynacji i epileptycznych objawów.

Gdy noc zapadnie, a księżyc wytoczy swą tarczę ponad linję horyzontu, przyprowadzają ofiarę przeznaczoną dla ducha ciemności. Przywiązują ją mocno do ściętego drzewa, a głowę pochylają w tył tak, aby się znalazła nad wydrążeniem. Gdy skazaniec woła nieludzkim głosem o pomoc, obstępują go wszyscy ngile w koło i zawodzą dzikie pieśni, aby zagłuszyć jego jęki. Wtedy kandydat jednym cięciem zakrzywionego noża przecina nabrzmiałe żyły na szyi nieszczęśliwego. Tryska krew najpierw ciemna, a potem coraz jaśniejsza i spływa do wydrążenia. Naczelnik miesza ją długą drewnianą łyżką z lepkiem soku drzewa. Żyły już puste, ofiara nie żyje, radosnym okrzykiem i tańcem niemasz końca.

Teraz następuje widowisko przewyższające grozą sceny dantejskiego piekła. Każdy z ngilów czerpie po kolei obrzydliwy napój i pije, wymawiając słowo: „ewalega”, co znaczy „i ja biorę udział”. Wypito już wszystko do ostatniej kropli. Wydrążenie drzewa zasypują ziemią, trupa ofiary umieszczają na drzewie, obstawiają chrustem i podpalają.

Buchają płomienie, ciało skwierczy, tłuszc ludzki kapie w ogień i jeszcze więcej go rozpala. Obracają trupa na wszystkie strony, aby się ciało jeszcze lepiej upiekło. Biesiada gotowa. A więc do dzieła!

Słychać tylko mlaskanie językiem i trzeszczenie kości w zębach tych parobków szatana. Nic nie powinno zostać



Ngil z swoim czarodziejskim aparatem.



Czarownik w dziwnym stroju tanecznym.

z ofiary, wszystko co się da zjeść, powinno być zjedzone. Z nastaniem dnia widać już tylko dymiące ognisko, które zniszczy resztki piekielnej biesiady.

O jednego człowieka mniej, o jednego ngila więcej. Ludzie, co znają mniej więcej zwyczaje ngilów, przechodząc przypadkiem koło tych zgłiszcz, uciekają przerażeni, aby je jak najprędzej stracić z oczu.

Nieme świadki biesowej uroczystości, opalony pień drzewa, rozpadający się szałas, zdeptana trawa, aż nadto wyraźnie wskazują, co się tutaj działo. Tu byli ngile. Biada temu, ktoby się odważył badać ich tajemnice.

Za cenę pogwałcenia najprymitywniejszych praw, wrodzonych nawet dzikim zwierzętom, nabywa ngil moc, której się żaden człowiek nie oprze. Mienie ngila powiększa się w niewytłumaczony sposób, nie zrani go żadna strzała, nóż stępi się na jego ciele. Śmiałek, któryby się odważył stanąć na jego drodze, zniknie bez śladu. O potędze ngilów opowiadają fakty, które u słuchających budzą podziw i niedowierzanie.

Ojciec Triller z Kongregacji Ducha św. opisuje szatańską nienawiść, z jaką odnoszą się ngile do wiary katolickiej i do jej wyznawców:

— „Przybyłem — mówię — do wsi mego katechisty Ambrożego. Dowiedziałem się od niego, że pewna kobieta leży ciężko chora, lecz chrzest przedstawia niemałe trudności z względu na jej męża, należącego do związku ngilów. Poszedłem do chorej, na szczęście mąż jej był nieobecny. Pouczyłem ją o najgłówniejszych zasadach wiary. Słuchała mnie z widocznym zajęciem, a zapytana, czy chce przyjąć Chrzest św. z radością na to się zgodziła. Właśnie miałem polać wodą jej głowę w Imię Trójcy Przenajświętszej, gdy obok mnie stanął jej małżonek. Poznawszy przyczynę mej obecności, wpadł w taką wściekłość, iż rzucił się na mnie z nożem. Nagle opamiętał się, ale schwy-

cił mnie za ramię i wyrzucił za drzwi. Na podwórzu zapytał mnie już zupełnie spokojnie:

— „Czy moja żona jest ciężko chora?”

— „Tak jest” — odrzekłem.

— „A czy umrze?”

— „Zdaje się, że tak”.

— „Tobie się zdaje, a ja wiem napewno. Duch mi to powiedział. Zresztą tem lepiej”.

— „Dlaczego?” — zapytałem.

— „To już moja rzecz. Ale mów mi zaraz, czego ją uczyłeś? Czy może sposobu, jak można zostać szczęśliwym po śmierci?”

— „Tak, istotnie, tego ją uczyłem”

— „Ja to wiem dobrze, że wy biali innego macie Boga, aniżeli my. Jeśli wasze życie było uczciwe, zabierze was do siebie, a jeśli uczynki wasze były złe, dopuszczaliście się kradzieży, mężobójstwa, jeśli pragnęliście tego dokonać, nazywa was karę, która się nigdy nie skończy. Nieprawdaż?”

— „Tak to wszystko prawda”.

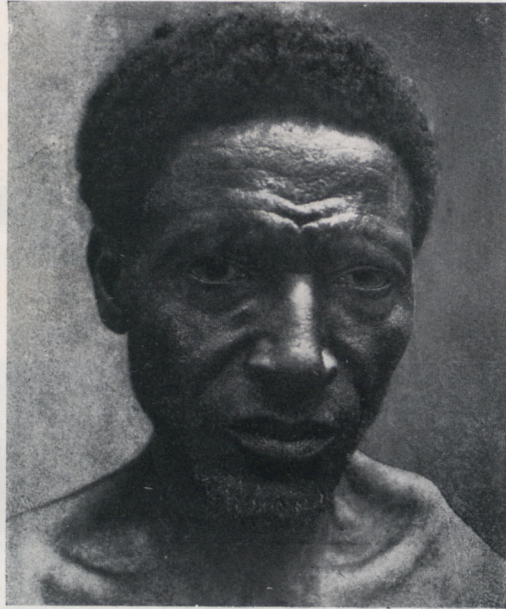
— „Dobrze. Teraz pójde do żony, a ty zaczekaj na mnie”.

— „Pozwól mi pójść z sobą, abym ją przynajmniej pocieszył w ostatniej chwili jej życia” — prosiłem.

— „Wiem, że masz najlepsze chęci, jednakże musisz zaczekać, a niedługo zawołam cię do niej”.

Poszedł. Dziękowałem Bogu, że sprawa wzięta pomyślny obrót. Jakże się omyliłem. Czekałem długo. Upłynęła jedna godzina, upłynęła druga, aż wreszcie wyszedł z chaty i powiedział: „Chodź, żona moja czeka na ciebie”.

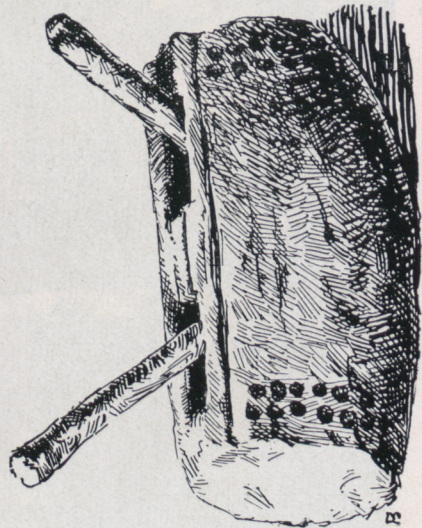
Udałem się z nim. W izbie było tak ciemno, że w pierwszej chwili nic nie widziałem. Skierowałem się do łóżka chorej, lecz pośliznąwszy się, upadłem. Wytarłem zawalane ręce o suknię, a gdy powstałem, oczom moim, przywykłym do ciemności, przedstawił się okropny widok. Na



Typowy Ngil.



Gušlarz.



Drewniany bęben.



Tańce
ku czci bożków.



łóżku leżała kobieta martwa z nożem wbitym w piersi aż po rękojeść.

— „No, czy nie dotrzymałem słowa?” — rzekł do mnie ngil szyderczo. — A teraz idź precz. Tu nie masz nic do czynienia. Żona moja nie żyje”.

Zacząłem mu czynić wymówki.

— „Słuchaj” — odrzekł, „tę kobietę, którą tu widzisz, nienawidzę całym sercem. Rozumiesz? Ja ją nienawidzę. Ona przy pomocy Ewona, wyżarła serca moim dwojgu dzieciom.¹⁾ Mógłbym ją już wtedy zabić, gdy wynosiłem trupy swych dzieci z chaty, lecz mój bóg kazał mi czekać, dopóki ty nie nadejdiesz, aby zemsta moja była pełna. Powiedz mi, gdybyś ją był ochrzcił, czyby była poszła do nieba?”

— „Tak jest, bez żadnej wątpliwości” — odrzekłem.

— „Wiedziałem o tem i dlatego zabiłem ją wprzód, zanim ją ochrzciłeś. Teraz pójdzie do piekła”.

Wzdrygnąłem się cały na takie oświadczenie. Po chwili rzekłem do niego: — „Mylisz się. Ona przed śmiercią pragnęła Chrztu, a Chrztu pragnienia”...

— I temu zapobiegłem, przerwał. „Posłuchaj, jak ja to pięknie wszystko urządziłem: Gdy ciebie zostawiłem na podwórzu, wszedłem do wnętrza chaty i począłem ją lżyć najokropniej. Z początku milczała, później wpadła w złość. Szydziłem z jej bezsilnego gniewu, a gdy poczęła oglądać się za bronią, podałem jej własny nóż mój i rzekłem: masz — zabij mię. W chwili, gdy rzeczywiście zamierzała to uczynić, wyrwałem nóż z jej ręki i utopiłem go w jej piersi. Cóż na to powiesz mnichu?”

— „Bóg sam tylko wie, jaki los twej żonie przeznaczył”.

¹⁾ Murzyni wierzą, że osoby, w których zamieszkał duch Ewon wypijają krew swym wrogom i tak ich pozbawiają życia. Dzieci bezwątpienia pomarły śmiercią naturalną.

— „Dziś wieczór i ja będę wiedział o tem — mój bóg powie mi wszystko. A teraz idź precz”.

Przejęty grozą, ze słowami błogosławieństwa dla zmarłej opuszczałem chatę. Cała moja suknia była zwalana krwią nieszczęśliwej”.

V.

LUDOŻERSTWO.

Ohydne uczty. — Trup upieczony. — Naoczni świadkowie ludożerstwa. — Opowiadania misjonarzy. — Przyczyny ludożerstwa. — Miasto krwi. — Mordy rytualne.

Europejczyk, który przez krótki tylko czas przebywał pośród murzynów, ujęty dobrotliwością, jaka maluje się na ich twarzy, jasnym wejrzeniem oczu, nie przypuszcza ani na chwilę, aby w duszach tych ludzi mogły gnieździć się brutalne instynkty ludożerstwa, czyli kanibalizmu. A jednak mimo te sympatyczne pozory, zdanie wytrawnych znawców życia i obyczajów czarnych plemion, stwierdzających między nimi istnienie ludożerstwa, jest najzupełniej prawdziwe.

Należy przyznać, iż murzyni zamieszkujący nadmorskie wybrzeża, pozostający oddawna pod wpływem europejskiej kultury, wstrzymują się od ludożerstwa powodowani poczuciem wstydem, a więcej jeszcze obawą przed karami, jakimi każdy cywilizowany rząd ściga tego rodzaju zbrodnie; lecz tam, gdzie czarni zażywają wolności, gdzie nie czuwa nad nimi oko władzy, stanowczo panują jeszcze dawne pogańskie praktyki, ohydne uczty, na których mięso ludzkie jest najważniejszym i najmiłszym daniem.

Szczep Mabejów, o którym później jeszcze będzie mowa, zamieszkuje szeroki pas ziemi, oddalony mniej więcej dwie mile na wschód od Atlantyku. Z naszej stacji można było dostać się do pierwszych osiedli tego koczowniczego plemienia w przeciągu pół godziny. Mówiono mi nieraz, że Mabejowie uprawiają ludożerstwo. Odwiedzając ich

często podczas wycieczek misyjnych i ucząc ich dzieci w szkole, uważałem takie zdanie za złośliwe i niedorzeczne plotki. Niestety zdarzyły się wypadki, które mnie zupełnie wyleczyły z pochlebnego o nich mniemania.

W portowem mieście Wiktorja wynajęto większą ilość robotników, blisko spokrewnionych z Mabejami, do pracy w plantacjach kakaowych. Jeden z nich zachorował i po niejakiem czasie zakończył życie. Pogrzebano go i nikt się o niego więcej nie troszczył. Tymczasem niespełna po dwóch tygodniach gruchnęła wieść, iż ktoś zwłoki usunął z grobu. Wdała się w tę sprawę policja i cóż się pokazało? Oto ziomkowie zmarłego rozkopali grób, wyciągnęli rozkładające się ciało i zdala od miasta, w ustronnem miejscu, rozpaliwszy ogień upiekli je i zjedli.

W trzecim roku mego pobytu w Kribi zaginął w tajemniczy sposób w pobliskiej osadzie mabejskiej, pewien starszy murzyn, nadzwyczaj życzliwy dla misji. W poszukiwaniu zaginionego zmobilizowano policję, użyto nawet wojska, lecz nadaremnie. Murzyn przepadł jak kamień w wodzie. Powszechna opinia obwiniła Mabejów, jako właściwych sprawców zabójstwa. Widocznie podejrzenie nie było bezpodstawne, bo kiedy starszemu chłopakowi mabejskiemu, który pozostawał w bliskich stosunkach z zaginionym, zarzuciłem otwarcie morderstwo i kanibalstwo, chłopak zmięszał się i tak dobrze się ukrył, iż od tej pory nigdy już z nim nie mogłem się spotkać.

Według zdania wielu Europejczyków, wszyscy murzyni, posiadający ostro przypilowane przednie zęby, oddają się ludożerstwu, a takich dosyć było między Mabejami, a jeszcze więcej między szczepami w głębi lądu.

Gdy mówię o panującym kanibalizmie w Afryce, nie opieram się na własnem doświadczeniu. Osobiście, rzecz zresztą zrozumiała, nigdy nie widziałem murzynów, dopuszczających się mężobójstwa i pożywających mięso ludzkie, lecz znałem poważnych i wiarygodnych ludzi,

którzy byli naocznymi świadkami ludożerstwa wśród czarnych plemion. Są to major Dominik, znany dowódca wojsk kolonialnych i porucznik Mühling, sekretarz województwa. Sprawozdania ich, omawiające kanibalizm uprawiany przez plemiona murzyńskie 30 do 40 mil na wschód od morza, umieszczone były w latach 1905 i 1909 w najpoczytniejszych gazetach niemieckich.

„W r. 1905” — pisze jeden z nich — „przechodziłem po raz pierwszy przez ziemię szczepu Maka, a 15 grudnia zatrzymałem się w Noamie: siedzibie głównego naczelnika. Mieszkańcy tego kraju, jak wszystkie wogóle szczepy: osiadłe na odległych, mało zbadanych przestrzeniach Afryki, oddają się ludożerstwu. Mordują i jedzą bez różnicy i obcych, zabranych podczas wojennych wypraw do niewoli i swoich własnych współbraci, skazanych wyrokiem starszyzny na śmierć z powodu jakiegoś występku. Podczas mego pobytu udało mi się odłożyć egzekucję jednego z takich nieszczęśników, lecz nie zdołałem jej udaremnić. Na drugi dzień zmuszony byłem asystować jego śmierci a potem patrzeć na ohydną biesiadę, jaką sobie urządzano z jego ciała. Zauważywszy, iż na mnie spoglądają pożądliwie, czemp prędzej opuściłem to wstrętne towarzystwo, bo zbyt mało miałem ludzi, aby się obronić w razie napadu całego szczepu. Niedługo po mnie maszerował tym samym szlakiem z 18 żołnierzami porucznik B., który wobec nastliwości mieszkańców, bronią musiał sobie torować drogę”.

Druga relacja o stosunkach panujących w tym samym kraju brzmi: „Z końcem 1906 r. urządził major Dominik ekspedycję do osiedli Maków, gdzie ludożerstwo należy do zwykłych rzeczy. Władca tego szczepu skazuje na śmierć swych poddanych za najdrobniejsze przewinienia, aby mieć świeże mięso, które nawet publicznie sprzedają na targach. W pierwszej poważniejszej potyczce z Makami padło w szeregach kolonialnego wojska 13 czarnych żołnierzy.

Ludność tamtejsza zabrała ich ciała, pocięła na kawałki i obdzieliła niemi własnych wojowników w nagrodę za waleczność”.

Jakkolwiek rząd niemiecki surowo karał ludożerstwo, to jednak nie mógł za jednym razem oczyścić z tej haniebnej plagi rozległego kraju. Daleko gorzej przedstawiały się stosunki w sąsiednich kolonjach, gdzie więcej starano się o osiągnięcie korzyści materialnych, aniżeli o cywilizację pogańskich plemion.

Oto garść świadectw misjonarzy, a więc ludzi zasługujących na wiarę, omawiających ludożerstwo, praktykowane na terytorjach angielskich:

O. Bubendorf z kongregacji św. Ducha tak opisuje swe odwiedziny, złożone królowi szczepu Nimbe i rodzicom dzieci, które pozostawały w jego zakładzie misyjnym.

— „Król przyjął mnie wprawdzie łaskawie, lecz, z powodu przygotowania zbrojnego napadu na szczep Akassa udzielił mi zaledwie 15 minutowego posłuchania. Naza jutrz rano wyruszyło 1000 wojowników w dwudziestu łodziach na rozbój. Wyprawa udała się znakomicie: Obladowani zdobyczą już na drugi dzień powrócili z triumfem do swej wioski. Napad skierowali na główną siedzibę szczepu, część mieszkańców wycięto w pień, a resztę zabrano do niewoli, aby z ich ciał urządzić sobie ucztę. Zamordowano wszystkich i natychmiast poćwiartowano. Z przerażeniem patrzyłem na rzeź nieszczęśliwych, urządzoną przed domem królewskim. Co chwila przechodzili obok mnie wojownicy, ten z ręką, tamten z nogą, ów z sercem, lub z płucami pobitych. Największem bestjalstwem pośród tej hordy kanibalów odznaczał się wychowanek królewskiego kolegjum w Anglii, na wyspie Man, niejaki Robert Abrakassa! Człowiek ten z piekielnym chichotem hjeny, niósł na ramieniu nadzianą na długi nóż nogę. Podano mi potem potrawę mięsną, przyrządzoną z ryżem, zapewniając najuroczyściej, że to wieprzowina. Trudno mi było uwierzyć



Naczelnik szczepu ludożerczego.



Miasto Benin według rysunku oficera angielskiego.

w prawdziwość ich słów, zresztą sam widok tego, co widziałem, odebrał mi wszelki apetyt. Opuściłem w nocy potajemnie wioskę i czemprędzej uciekłem w łodzi do domu”.

O. Augonard, wikariusz apostołski, opowiada: „Pewien porucznik postanowił przekonać się osobiście o wstawnym okrucieństwie Behenzui, króla Dahomeju. W tym celu, wystarawszy się o pozwolenie udał się do Abome, stolicy królewskiej, gdzie, wedle panujących zwyczajów, uważany był, jak zresztą każdy przybysz, za niewolnika, podległego w wszystkiemu woli miejscowego władcy. Gdy raz pewnego wyraził się niepocholebnie o codziennych egzekucjach wykonywanych na czarnych, poradzono mu delikatnie, aby się temi sprawami nie interesował tak żywo, bo mógłby bardzo łatwo swoje współczucie przyplacić życiem.

Oczywiście pobyt w takich warunkach nie był zbyt przyjemny. Młody porucznik postanowił opuścić niegościnnie progi króla i w tym celu zgłosił się o pozwolenie na wyjazd. Zaledwie po tygodniu otrzymał odpowiedź, z której dowiedział się z przerażeniem, iż dopiero za dwa miesiące, t. j. po wielkich narodowych uroczystościach będzie mu wolno pożegnać się z mieszkańcami Dahomeju.

Nakoniec doczekał się tej upragnionej chwili. Na obszernej płaszczyźnie zebrały się tysiące widzów. Wkrótce zjawił się też i król w otoczeniu doradców i porucznika. Trzy tysiące niewolników i trzy tysiące wołów ustawiono w dwa przeciwległe rzędy w ten sposób, iż każde zwierzę przegradzał naprzemian człowiek. Król, przechadzał się przez pewien czas po tej żywej alei, wreszcie na dany przez niego znak spadło naraz sześć tysięcy głów ludzkich i zwierzęcych na ziemię. Wojownicy królewscy natychmiast rzucili się na ofiary i na miejscu racyli się krwią ociekającym mięsem”.

O. Siniór z kongregacji misyjnej św. Ducha opowiada iż jeszcze w r. 1912 europejscy urzędnicy odkryli między

ludnością Siera Leone tajny związek kanibalów. Na polecenie komisarza otoczono niespodzianie podejrzane miasta i wioski murzyńskie i przeprowadzono ścisłą rewizję, przyczem okazało się, iż z sześciu naczelników tamtejszych mieszkańców pięciu oddawało się ludożerstwu. Jeden tylko był bez winy, a ten był chrześcijaninem.

Zaiste są to rzeczy okropne.

Cóż tych ludzi skłania do czynów tak haniebnych, budzących grozę i wstęty?

Różni różne podają przyczyny.

Jedni przypisują ludożerstwo w Afryce trudności zdobycia zwierzęcego mięsa. W Europie posiadamy poddostatkiem zwierząt domowych i domowego ptactwa, które nam służą za pokarm. Murzyn tego nie ma. Zaledwie bogatszy hoduje kilka owiec, lub kóz. Przy pomocy prymitywnej broni, jaką się posługuje, rzadko uda mu się ubić antylopę, czy słonia. To samo należy powiedzieć o polowaniu na ptaki. Z tych względów mięso przedstawia dla murzyna taką wartość, iż dla jego zaoszczędzenia pod karą śmierci niewolno młodzieży i kobietom używać tego rodzaju pokarmu.

Z jakąż łapczywością i rozkoszą zjadali czarni chłopcy, pozostający w naszym zakładzie, mięsne potrawy!

Niewątpliwie mięso odgrywa niemałą rolę w życiu murzyna, ale mimoto trudno mi uwierzyć, aby jego brak wbrew przyrodzonemu prawu, którem nawet kierują się zwierzęta, prowadził go do ludożerstwa.

To też więcej zbliżone jest do prawdy przypuszczenie, iż murzyn, zjadając człowieka pragnie, albo przyswoić sobie jego przymioty, albo go tak zniszczyć, aby po nim wszelki ślad zaginał. Zjada więc wrogów z nienawiści aby ich gruntownie wykorzenić, zjada swoich, dziada, ojca, babkę z miłości, aby ich dusza, ich zdolności umysłowe, czy fizyczne przeszły na synów i wnuków. Tak czy owak mu-

ryzn ma zawsze okazję do sporządzenia sobie rosbefu z ciała swego bliźniego.

Według mego zdania jednak właściwą przyczyną kaniibalizmu w Afryce jest największy wróg ludzkości — szatan. On to szerząc własny kult, zaprowadza ofiary w prawdziwie szatańskiej formie, bo ofiary z życia ludzkiego, przy pomocy tych, których uczynił swymi niewolnikami. Tę przewrotną działalność ducha ciemności ilustrują znakomicie okropne obrzędy odprawiane po dziś dzień przez pogańskich czarnych kapłanów. Na dowód przytaczam spostrzeżenia O. Borgaglia, jakie poczynił w angielskiej kolonii Lagos, a w szczególności w mieście Benin, stolicy potężnego króla tamtejszych mieszkańców.

— „Do tej pory — pisze O. Borgaglia w r. 1891 — panuje tu obrzydliwy zwyczaj składania bogom ludzi na ofiarę. Niedawno temu ofiarowano troje osób, dwóch mężczyzn i jedną kobietę a my, niestety, nie mogliśmy temu przeszkodzić.

Trzy dni przedtem ogłoszono rozkaz, aby w dniu, w którym odbywać się będzie okropny obrzęd, nikt nie ośmielił się wyjść z domu na ulicę. Niewolnicy królewscy, uzbrojeni w potężne maczugi, mieli polecenie zabić każdego napotkanego przechodnia. O 10 godz. z rana wykopano trzy doły, nad którymi wzniesiono jakby rodzaj kaplicy. Niedługo potem zjawił się król, a równocześnie przyniesiono ofiary z związanymi nogami i rękami. Na znak dany przez króla, wrzucono mężczyzn do dołów i żywcem zasypano ziemią, kobietę czekały daleko cięższe tortury. Kapłan pogański zapowiedział, iż nieszczęśliwa musi trzy razy umrzeć i trzy razy zmartwychpowstać. Sieczona żelaznymi prętami potrzykroć pada zemdlona, potrzykroć ją cucą, aż wreszcie silnem uderzeniem rozbijają jej czaszkę i już naprawdę martwą grzebią w trzecim dole. Raz po raz wstępuje kapłan do kaplicy i nadśłuchuje woli bogów, którą rzekomo przez usta pomordowanych mają objawić”.

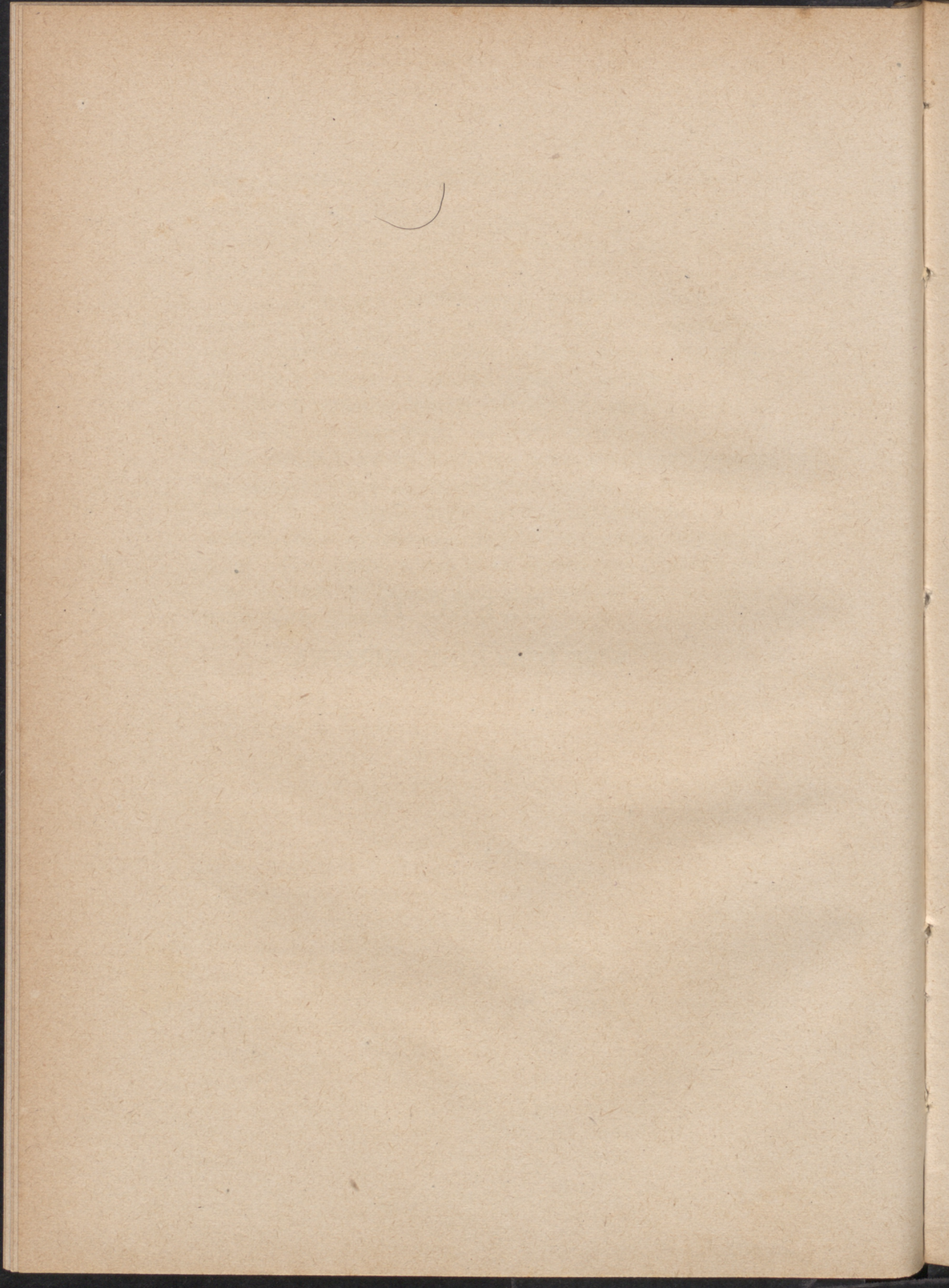
Pewien korespondent angielski, który przyłączył się do ekspedycji karnej, skierowanej przeciwko zbuntowanemu królowi Lagos, donosi:

— „Benin jest miastem krwi. Nieledwie koło każdego domu znajduje się dół, napełniony trupami i umierającymi. Wszędzie widzi się ślady ludzkiej posoki. Na jednej tylko ulicy naliczyłem 60 ludzi zabitych na ofiarę.

Mordy rytualne bywają dokonywane przez pogańskich kapłanów na podwórzach ukrytych przed oczyma ludzi, gdzie znajduje się ściek, którym krew płynie strumieniem. Na ulicach wznoszą się drzewa, służące do krzyżowania ofiar. Na niektórych wisieli jeszcze ukrzyżowani. Z głębokich dołów wydobywają się jęki konających. Wyciągnęliśmy kilka trupów, a pod nimi znaleźliśmy żyjącego jeszcze chłopca. Z innego dołu wydobyliśmy żywą kobietę z dwojgiem dzieci”.

CZĘŚĆ II.

WIEK DZIECINNY MURZYNA.



I.

DOKOŁA URODZIN DZIECKA.

*Dowody rodzicielskiej troskliwości.—Nadanie imienia.—
Uroczystości domowe zwane seble. — Zlewanie dziecka
wodą. — Wybór opiekuna.*

Mały obywatel murzyński nie zna wygód. Rodzice nie przysposobili dla niego ani kołyski, ani czystej bielizny. Częsta kąpiel dziecięcia w rzece, lub w morzu, stanowi pierwszy dowód rodzicielskiej dla niego troskliwości. Po kąpeli spoczywa sobie malec obok swej macierzy na pościeli, sporządzonej z gałęzi palmowych, które zastępują koszulkę i pieluszki. Płacz i krzyk dziecka, uważany, zresztą zupełnie słusznie, za oznakę życia i zdrowia, wcale nie wzrusza serc rodzicielskich.

Zaraz po urodzeniu otrzymuje dziecko imię. Zajmuje się tą ważną sprawą ojciec, a kłopot to dla niego niemały. W Afryce bowiem niema nazwisk, które, jak u nas, przechodzą w spuściznie z rodziców na dzieci; tam każdy murzyn ma swoje własne nazwisko. Można sobie wyobrazić jak trudno przychodzi, nienawykłemu do umysłowej pracy ojcu, wynaleźć dla swej latorośli stosowne imię. Siedzi więc zakłopotany rodzic godzinami przed chatą i myśli... Nareszcie znalazł: synek jego otrzyma nazwę zwierzęcia, drzewa, góry, rzeki, albo nawet złego ducha, a więc będzie się nazywał: jango — ryba, eko — rak, manga — brzeg; córeczka: evai tabako — liść tytoniowy, bolombo — przedmiot, mainge — lekarstwo, ngeli — djabeł, njangeli — babka djabła. Co skłania murzyna do wyboru nazwiska, zapo-

życzonego od mieszkańców) mąk wiecznych — trudno wyjaśnić.

A jeśli w wiosce lub okolicy wyczerpano już nazwy wszystkich znanych stworzeń widzialnego i niewidzialnego świata, wówczas zrozpaczony ojciec nie ma innej rady, jak przyznać się do swojego umysłowego ubóstwa i dać swemu potomkowi imię: „Nje” — nie wiem co zrobić? „Njae” — nie wiem, kto to jest?

Miałem dwóch chłopców tego imienia w szkole.

Imię nadane dziecku po jego urodzeniu nie zawsze jest trwałe. Często zmieniają je później na inne, co bywa przyczyną niepożądanego zamieszania — przy wpisywaniu do ksiąg metrykalnych, jakie każda stacja misyjna obowiązana jest prowadzić. Pewien chłopiec nazywał się „Bibsabeda” — „ten, co się kamyczkiem bawi”. Gdy jednak przystępował do pierwszej Komunii św., z zdziwieniem dowiedziałem się od jego ojca, że już nosi inne imię, mianowicie malongo — grób.

Zjawienie się nowego potomka połączone jest z pewnymi ceremonjami, zwanymi „seble”. Ojciec dziecka zaprasza wtedy mnóstwo gości z grona krewnych i znajomych, nigdy jednak nie prosi Ngambiego, chociaż jak wiadomo jest to figura ściśle złączona z życiem murzyna.

Czwartego dnia od urodzenia chłopca, a piątego od urodzenia dziewczynki, schodzą się zaproszeni. Ojciec ogłasza nazwisko dziecka i przeznaczają dla niego z pośród obecnych opiekuna, którego zadaniem jest, w wypadku choroby lub śmierci rodziców, czuwać nad dzieckiem i starać się o jego wychowanie. Na ten urząd wybiera się jakąś znaczniejszą osobę, aby mogła służyć pupilowi za wzór w życiu. Dla chłopca wyszukuje się silnego, wzorowego mężczyznę, zwłaszcza takiego, który odznacza się męstwem i niejednego już wroga pokonał w boju. Rycerz opiekun przychodzi uzbrojony w wielki nóż i włócznię. Broń bierze



Dzieci murzyńskie — w środku mulatka.



Siostra Pallotyńska z czarnymi dziećmi.

pod pachę, a dziecko na rękę i tak do niego przemawia: "Pamiętaj, abys był tak silny jak ja, abys tyle zdziałał, co ja zdziałałem, abys tyle kupił towarów, co ja kupiłem. Masz być mężnym w walce z nieprzyjacielem twego plemienia i nie ulęknąć się dzikiego zwierza, masz mieć tyle żon, co ja i doczekać się liczego potomstwa i żyć bardzo długo". Podczas przemowy obecni oblewają dziecko wodą, a każde życzenie, wypowiedziane pod jego adresem, kończy się zgodnym okrzykiem: „tak niech się stanie”.

Po tej ceremonji wychodzi opiekun z dzieckiem na dwór, a ubiegłszy z niem dobry kawał drogi, wraca pospiesznie do chaty, podnosi je pod sufit, kładzie na ziemię i mówi: „Jeśli ci kto powierzy jakiś sprawunek do załatwienia, masz tak prędkobiegnąć jak ja i tak szybko wracać”. Jeszcze raz podnosi potrzykroć dziecię do góry, a wówczas zgromadzeni goście z niezmiernym podziwem wpatrują się w noworodka, zwracają się ku rodzicom i z wdziękiem dobrze wychowanych gentlemenów składają im gratulacje mniej więcej w tych słowach: „Któżby się mógł spodziewać, iż ten chłopiec tak prędko przyjdzie na świat — doprawdy trudno w to uwierzyć”.

Podobnie postępują z dziewczynką, z tą tylko różnicą, iż dla niej wyszukuje się na opiekunkę kobietę z pośród najbliższych krewnych, która na głowie swej umieszcza koszyk z kotlesem¹⁾ i wylicza obowiązki, jakie w przyszłości czekają jej pupilkę.

Uroczystości, urządzone z okazji narodzenia się dziecięcia kończą się biesiadą. Gospodarz domu obdarza jeszcze rozchodzących się gości solą, aby zjednać ich życzliwość dla dziecka.

Ceremonje tych obchodów nie są u wszystkich szczepów jednakowe. Naprzykład w innych okolicach obmywa-

¹⁾ rodzaj sierpa.

nie niemowlęcia odbywa się nie w domu, lecz poza domem. Opiekun, czy opiekunka, trzymają nad dzieckiem symbole przyszłych jego obowiązków: gdzieindziej umieszczają je na dachu, a dziecko kładą pod rynnę, skąd woda ścieka na nie. Co kraj, to obyczaj. Wszakże zasadnicze momenty uroczystości, jak: zlewanie dziecka wodą, wybór opiekuna, jego przemowa, powtarzają się wszędzie.

II.

LATA DZIECIĘCE.

*Od przybytku głowa nie boli.—Chłopiec więcej uprzywi-
lejewany, niż dziewczynka.—Przywiązanie dziadków do
wnucząt.—Kotysanka murzyńska.*

Dzieci murzyńskie są przedmiotem szczególnej miłości i troskliwości rodzicielskiej, a narodzenie ich witane jest z niekłamaną radością. Od przybytku głowa nie boli: im więcej pociech, tem lepiej. Dziewczyna jest więcej pożądana, aniżeli chłopiec. Nie jest to bez przyczyny: ojciec otrzyma za nią kiedyś od przyszłego zięcia 500 do 1000 zł., a matka będzie z niej mieć niezadługo pomoc w pracy. Dlatego też, gdy córka zachoruje lub umrze, płaczom i narzekaniom niemasz końca. I nad śmiercią chłopca płaczą, lecz lamenty te nie płyną tyle z serca ile ze zwyczaju, jak panuje u wszystkich południowych narodów przy grzebaniu zmarłych.

Dopóki dziecko nie umie chodzić, matka nosi je prawie bez przerwy na plecach w zawiniątku, przywiązaniem do szyi i ramion. Ale bywa też, iż malec, bez tego gniazdka, przyczepiony nóżkami i rączkami jak kleszcze do swej rodzicielki, wędruje z nią wszędzie, nawet do kościoła, gdzie towarzyszy jej przy spowiedzi i przy Komunii św.

Zachwycałem się zawsze widokiem matki z niemowlęciem na plecach przystępującej do Stołu Pańskiego, bo z pewnością cząstka łask, jakimi Jezus darzył w tej chwili matkę, spływała również i na jej dziecko.

Murzynka karmi swe niemowlę własną piersią przez dwa

a nawet i trzy lata. Czyni to nietylko z miłości dla dziecka, ale głównie z tej przyczyny, że niema dlań innego pożywienia, prócz ciężko strawnych potraw, jakich używają dorośli.

Gdy murzyniátko podrośnie i chodzi już o własnych siłach: rozpoczynają się dla niego czasy zupełnej wolności. Z przepaską około bioder spędza całe dnie poza domem ku wielkiemu zadowoleniu matki, iż go już nie potrzebuje dźwigać. Myją je deszcze lub woda w pobliskiej kałuży a suszą ciepłe promienie słoneczne. Ubrania nie podrze, ani poplamia, bo go nie ma. Jedno mu tylko grozi niebezpieczeństwo, aby się zbyttnio nie oddalało od domu i nie zabłąkało. Lecz i na to jest rada. Przezorna mama przywiązuje mu do nóżki mały dzwoneczek, który w każdej chwili daje znak, gdzie się znajduje jej pociecha.

Chłopiec jest więcej uprzywilejowany aniżeli dziewczynka. Chłopca, chociaż jest zucliwały, matka nigdy nie ukarze różgą, bo w Afryce nie wolno kobietom dotknąć mężczyzny, a cóż dopiero uderzyć. Co najwyżej nastraszy go złemi duchami, lub nie da mu obiadu. Ojciec zwykle nie wiele troszczy się o swego synka. Mało go obchodzi, gdzie się obraca, jak się sprawuje, czy jest posłusznym, uczciwym, czy też ostatnim urwiszem. Natomiast dziewczynka już od piątego roku życia pomaga matce w pracy. Za nieposłuszeństwo odbiera razy, a ojciec może ją sprzedać w każdej chwili, komu zechce.

U murzynów panuje wielkie przywiązanie dziadków do wnucząt. Od nich otrzymują dzieci łakocie, odzież i inne rzeczy. Którekolwiek lepiej odziane dziecko, zapytane w szkole, od kogo ma sukienkę, zawsze prawie odpowie: „od dziadka — od babki”. Imię dziadka zwykle przechodzi na wnuka, a babka, podobnie jak i u nas, jest piastunką wnucząt, nosi je, bawi, uspokaja i śpiewa im, gdy płaczą.

Nie wiele znalazłem poezji między murzynami, wszakże można się spotkać i tam z piosenkami na wzór naszych kołysanek. Przytaczam jedną, którą śpiewała pocziwa bab-



Przyszłość Afryki. — Grupa dziewcząt z zakładu Sióstr Pallotynek.



Murzynka z dzieckiem na plecach.

cia wrzeszczącemu malcowi, imieniem Nkudu, takim głosem, że mimo dość silnych nerwów ledwie zdołałem wysłuchać jej do końca. Treść jej mniej więcej taka:

Nkudu płacze.

Dziecko nie płacz, nie płacz — nie.

Nkudu płacze.

Dziecko zaśnij, uspokój się.

* * *

Nkudu płacze.

Dam ci rybę — grzecznym bądź.

Nkudu płacze.

W słodkich myślach sobie błądz.

* * *

Nkudu płacze.

Synku mój, uspokój się.

Nkudu płacze.

Nie wiesz, jakie imię twe.

* * *

Nkudu płacze.

Tala Ngon, siostrzyczka twoja.

Nkudu płacze.

W domu czuje się nieswoja.

* * *

Nkudu płacze.

Synku ty zostaniesz zawsze w domu.

Nkudu płacze.

Biedna siostra mieszkać będzie w obcym domu.

III.

ZABAWY MURZYŃSKICH DZIECI.

Łowienie ryb i raków. — Polowanie na ptaszki, myszy, szczury, ślimaki etc. — Śpiewy i tańce. — Pływanie na łódce. — Stosunek dzieci czarnych do misjonarza.

Poby[†] dzieci czarnych na wolnem powietrzu, ustawiczny ruch wyrabia w nich siłę i zdrowie. Już wczesnym rankiem można widzieć, jak gromadkami wygrzewają się na słońcu i oddają się ulubionym rozrywkom.

Najchętniej łowią ryby i raki. Sztuki tej uczą się od swych matek, które z pierwszym świtem przeciągają przez wioskę i śpiewnym okrzykiem „via eko” — „chodźcie na raki” nawołują swe towarzyszek do pracy. Ryb i raków jest takie mnóstwo, że stanowią główne pożywienie nadbrzeżnej ludności. A trzeba wiedzieć, że apetyt murzynów, a przede wszystkim ich dzieci jest nadzwyczajny. „Szopp!” „Szopp!” — jeść, jeść! — oto śpiewka całodzienna, z małemi przerwami, każdego czarnego malca.

Gdy chłopcy, zaopatrzeni w zgrabne koszyczki, siedzą z wędką w ręku wśród skał i kamieni nad brzegiem morza pilnie badając teren łowów, dziewczęta tymczasem gromadzą się przy wodospadach drobnych strumieni, a sporządzwszy sobie wężycz z zwykłego płótna, zanurzają go do wody i podnoszą raz po raz w górę. Radosne wybuchy śmiechu, oklaski drobnych dłoni, świadczą, iż połów się udał. Chłopcy zajęcie swoje traktują poważniej, to też zazwyczaj do poważniejszych dochodzą wyników. Nieraz

schwycą rybę takich rozmiarów, iż sporządzony z niej obiad zabezpieczy ich przed głodem przynajmniej na godzinę.

Dzieci szczepu Mabea, zamieszkującego ziemie więcej oddalone od morza, szukają sobie innych rozrywek. Polują np. na ptaszki przy pomocy umiejętnie nastawionych siideł, lub łuku, z którego nadzwyczaj celnie wypuszczają lekkie i ostre bambusowe strzały. Inne chwytają myszy. W tym celu kopią na krańcu lasu w ziemi nory, podobne do nor mysich. Wypłoszone myszki wpadają w przygotowane dołeczki, gdzie giną śmiercią niesławną. Chłopcy pieką je natychmiast na ogniu i zjadają z apetytem.

Najbardziej smakuje im pewien gatunek wielkich myszy polnych. Około 20 chłopców czyściło raz u nas ogród. Wtem zauważyli pod jednym drzewem całą rodzinę mysią, należącą właśnie do tego gatunku. Pokusa była zbyt silna, aby jej nie ulec. Porzuciwszy motyki i rydle, zabrali się do łowów. Wznieśli ogień, a sami ustawili się w koło drzewa. Niebawem pod wpływem gorąca i dymu, poczęły myszy uciekać. Daremnie jednak usiłowały przedrzeć się przez żywy mur napastników. Chłopcy chwytali je zręcznie za ogon i wkrótce wszystkie znalazły się w bezdennych żołądkach murzyńskich.

Gdzieindziej znowu zajmują się wyszukiwaniem tłustych, wielkich, podobno bardzo smacznych pędraków, które gnieźdzą się w dziuplach próchniejących palm. Głupie robaki same się zdradzają szmerem, jaki wydają przy toczeniu drzewa. Murzynkowi wystarczy przyłożyć ucho do pnia, aby się dowiedzieć o ich obecności. Przysmak ten zjadają w stanie surowym bez żadnej przyprawy. Wielkie ślimaki są nie mniej pożądane. Nawlekają je po 10 i więcej na sznurki, a gdy nieco skruszeją, gotują lub smażą.

Oprócz tych prozaicznych zajęć, mających na celu wyłącznie należyte zabezpieczenie żołądka, mają dzieci murzyńskie i szlachetniejsze zabawy.

Jak wszyscy murzyni tak i one odznaczają się zamiło-

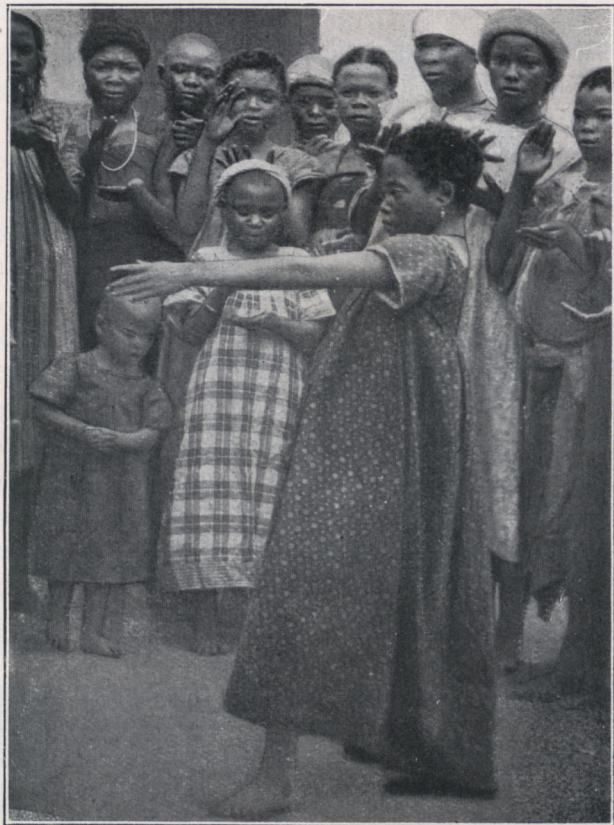
waniem do śpiewu i muzyki. Z zajęciem przypatrywałem się ich muzycznym popisom. Błaznane, lub drewniane pudełka wygrzebane z śmietniska europejskiego sklepu, służą im za bęben. Dwóch lub trzech muzykantów siada na ziemi, a wkoło nich grupuje się reszta towarzyszków i towarzyszek. Drewnianymi pałeczkami uderzają sprawnie w improwizowany bęben w takt, najpierw powolny, a potem coraz szybszy. Niedługo wszyscy uczestnicy zabawy rozpoczynają się kiwać rytmicznie i wrzeszczeć w niebogłosość. Znajdzie się też nieraz i poeta, improwizujący piosenki, które chór cały z zapalem powtarza. Niektórzy zrywają się z ziemi i rozpoczynają tańce, inni skaczą i wywracają koziółki. Brak wszelkiej harmonji i melodji nadaje tej prymitywnej muzyce wszelkie podobieństwo do modnych u nas jazzbandów. Zachodzi jednak wielka różnica: w Afryce bawią się w ten sposób dzieci, a w Europie, przy piekielnym hałasie bębnowym i trąb, płasają w konwulsyjnych drgawkach ludzie, mający pretensje do wykształcenia i kultury.

Inne zabawy dzieci murzyńskich przypominają nam żywo nasze młodościane lata. Jak my lepiliśmy rozmaite zwierzęta i budowaliśmy z piasku gmachy, tak i one czarnymi rączkami formują z ziemi kozy, antylopy, a z nadmorskiego piasku wznoszą zabudowania misyjne, kościoły i szkoły.

Któż z nas nie harcował na koniu sporządzonym z gałęzi, którą się podcinało pręcikiem w największym pędzie, dzieci murzyńskie wpadają na takie same pomysły.

Najzabawniejsze jest obserwować je, kiedy naśladują Europejczyka. Zakłada sobie taki bęben na nos ćwiker lub okulary, wykonane przemyślnie z kawałeczków szkła i papieru, miasto laski bierze do ręki potężny kij bambusowy, na głowę nasadza cylinder (stary dzban) i z największą powagą odgrywa rolę starosty, nauczyciela, a nawet samego misjonarza.

Nieraz zabawiają się w wojsko: W karnych szeregach, uzbrojeni w drewniane pałasze i karabiny, uderzają na sie-



Dziewczynka w środku wykonywa pantominy—inne klaszczą i śpiewają.



Większe kanu rybackie.



Ulubiona zabawa dzieci murzyńskich—bieganie z kołem.



Zabawa w piłkę.

bie z zaciętością i walczą zajadle. Nieraz nabiją sobie porządne guza, a wtedy zabawa przemienia się, pod wpływem chęci odwetu, w zażarty bój. Tylko ich oficerowie wychodzą z tych zapasów bez szwanku. Jako przezorni wodzowie, nigdy nie stają na czele wojowników, lecz zawsze poza nimi, a gdy przyjdzie do starcia, zdaleka napawają swe oczy widokiem bohaterskich zmagañ swych wiernych zastępów.

Najmilszą jednak i najpraktyczniejszą z zabaw małego murzyna, z względu na jego przyszłe obowiązki, jest ćwiczenie się w pływaniu na łódce, tak zwanej „Kanu”, posiadającej zaledwie 3 do 4 metrów długości, a pół metra szerokości. Kanu sporządza się z miękkiego i elastycznego drzewa, z gatunku drzew korkowych. Pień jego, po wydrążeniu, wypaleniu i nabejcowaniu, daje tak lekką łódkę, iż z łatwością, jedną ręką, można ją przenieść z miejsca na miejsce. Prawdziwe kanu otrzymuje chłopak od swego ojca, lub dziadka, gdy nieco podrośnie. przedtem już jednak próbuje swych sił w łódce własnego pomysłu. Co to za radość dla niego, gdy zasiadłszy na desce, umieszczonej pośrodku kanu, spuści dla równowagi nogi po jej bokach aż do wody i ujmie krótkie wiosła w ręce. Nieraz puszczają się w tych delikatnych łupinkach daleko na morze, aż hen, gdzie wielkie parowce zarzucają kotwicę. W wysokich falach ginie od czasu do czasu kanu i jej sternik, ale zawsze oboje wynurzają się z odmętów i wychodzą zwycięsko z walki z potężnym żywiołem.

Właściwie mówiąc ćwiczenia w pływaniu kanu po falach morskich nie są zabawą, lecz przysposobieniem chłopaka do zawodu rybołówstwa. W tym też, a nie innym celu, ofiarują je rodzice swemu synowi, a dzień w którym młodociany żeglarz złowił z kanu większą rybę na pełnym morzu, jest dniem dla niego uroczystym, jakby świadectwem dojrzałości.

Bardzo zajmuje dzieci czarnych misja, kościół, szkoła,

a przede wszystkim sam misjonarz. Zwykle też stosunek ich do misjonarza jest bardzo serdeczny.

„Hangue enene a wiandi” — wielki pan idzie: rozlega się wołanie, gdy misjonarz przechodzi przez wioskę. Na to hasło chłopcy i dziewczęta wybiegają z kryjówek i porzucają swe zabawy, aby się z wielkim panem przywitać i powiedzieć mu: „mbolo pade” — pozdrawiam cię ojciec.

Hangue enene — wielki pan jest też ich szczerym przyjacielem i opiekunem.

Kilku urwiszów stale kręciło się około naszego domu. Gdy tylko spadła z drzewa pomarańcza lub cytryna, natychmiast grzebali je w swych przepaścistych żołądkach.

„Cóż to, łobuzy, nie wiecie, że kradzież jest grzechem?” rzekłem do nich z udanym oburzeniem.

„Tam, gdzie wielki pan patrzy — niema grzechu” — odpowiedzieli.

Niejaki Ejele popadł w konflikt z matką i nie dostał śniadania. Przyszedszy do mnie prosi z płaczem, abym mu dał co zjeść, bo jest bardzo głodny.

„Dlaczego nie dała ci matka śniadania?”

„Ukradłem rybę”.

„Aha”.

„Ale nie chciałem nic złego uczynić, tylko głód mi tak dokuczał”.

Inny przychodzi do księdza z prośbą, czyby nie mógł parę dni zamieszkać na misji, bo ojciec pracuje w mieście, a matka poszła do krewnych.

Ta otwartość dzieci murzyńskich, to ich zaufanie do misjonarza, sprawia, że się je, mimo ich wszystkich wybryków, bardzo miłuje. A gdy się je widzi w kościele na kolanach matki, lub obok ojca siedzącego na ławce, jak pobożnie składają ręczki, jak śledzą każdy ruch kapłana przy Mszy św., jak pobożnie kreślą znak krzyża św. — wtedy

wstępuje w serce misjonarza pełna pociechy nadzieja, że zmułna jego praca nie pójdzie na marne, że z tego pokolenia, które w zaraniu życia obmyła woda Chrztu świętego: wyrosną wierne służy Chrystusa Pana na pociechę i chwałę Kościoła.

IV.

W SZKOLE.

Żywy temperament mieszkańców południa. — Nauki katechizmowe. — Spowiedź małego Ewee. — Owoce pierwszej Komunii św.

Gdzie istnieje szkoła, musi mały obywatel Kameruński do niej uczęszczać. I to z trzech powodów: Naprzód, że nazwisko jego już jest zapisane w księgach kościelnych, powtóre, że rodzice radzi są, że mały urwis dostanie się w ręce jakiejś władzy, a potrzecie, że ksiądz misjonarz tak nakazuje.

Ale dzieci też same z chęcią idą do szkoły, bo i najmniejsze dobrze wiedzą, że nauka przynosi wiele pożytku. Coprawda — w szkole trzeba cicho siedzieć, uczyć się, a co najgorsze, można spotkać się z różgą — to jednak dla małego murzynka nauka jest tak pożądana, że godzi się na wszystko. To też szkoły są zwykle zapełnione po brzegi.

Dzieci murzyńskie są wcale pojętne: Miałem uczniów, którzy w przeciągu dwóch lat wyuczyli się dobrze nie tylko czytać i pisać, ale i mówić obcym językiem. Zmiana na gorsze następuje u nich później, mniej więcej w 16 roku życia, w wieku dojrzewania. Budząca się zmysłowość przytępia ich umysł i tłumi szlachetniejsze uczucia.

Nauk katechizmowych, zwłaszcza opowiadania z historii biblijnej słuchają wszyscy z widocznym zajęciem, o wiele łatwiej też pojmują, aniżeli nasze dzieci. Pochodzi to stąd, że opisy biblijne życia i obyczajów narodów wschodnich, do których należał i naród żydowski, przypominają im ich wła-

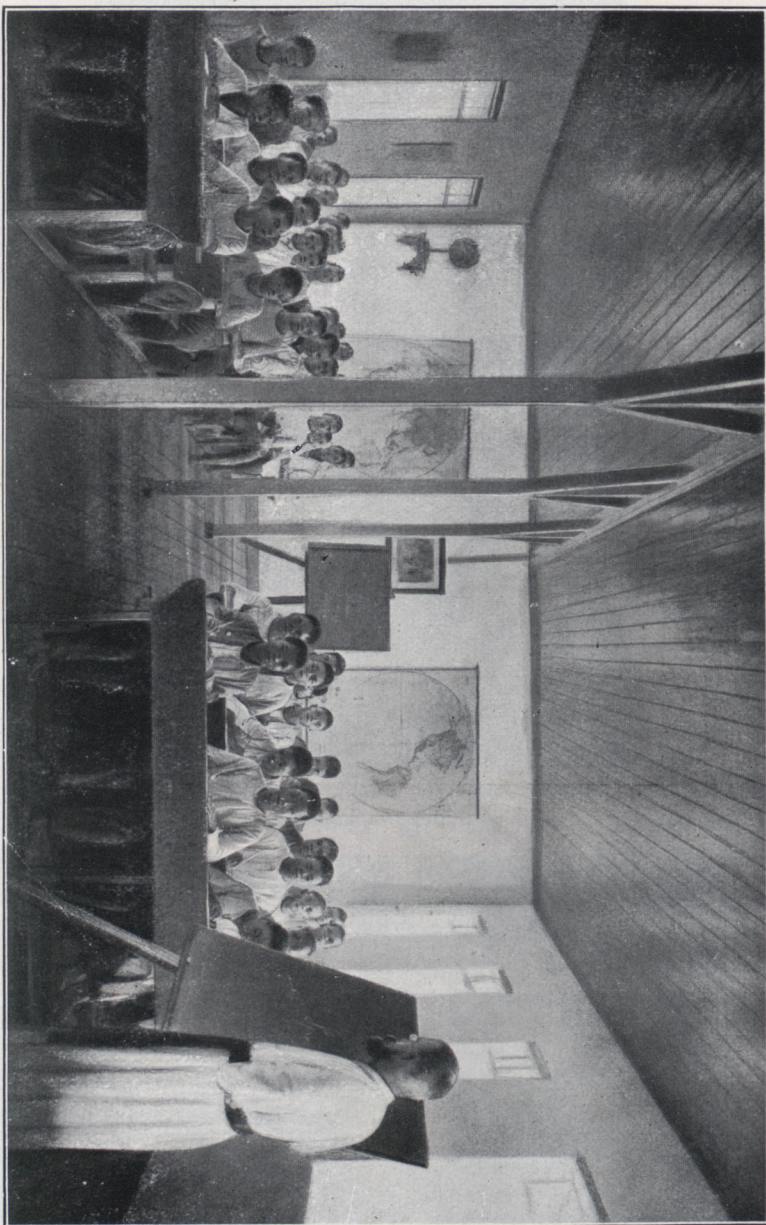


Podajcie im!

Ciekawa książka.



Chłopcy szkolni.



Podczas lekcji.

sne obyczaje i życie. Zabijanie baranka, umieszczanie potraw na niskich stołach, pożywanie darów bożych w pozycji leżącej, orientalna odzież, piszcзки i płaczki, występujące na pogrzebach, wszystko to jakby wyjęte z ram stosunków murzyńskiej wioski. To samo należy powiedzieć o studniach, otaczanych czujną opieką, o kobietach wychodzących wieczorem po wodę i dźwigających ją w wysokich naczyniach glinianych na głowie, o pojeniu wielbłądów Eliezara przez Rebeke. Są to obrazki znane dzieciom murzyńskim, bo się patrzą na nie codziennie własnymi oczyma.

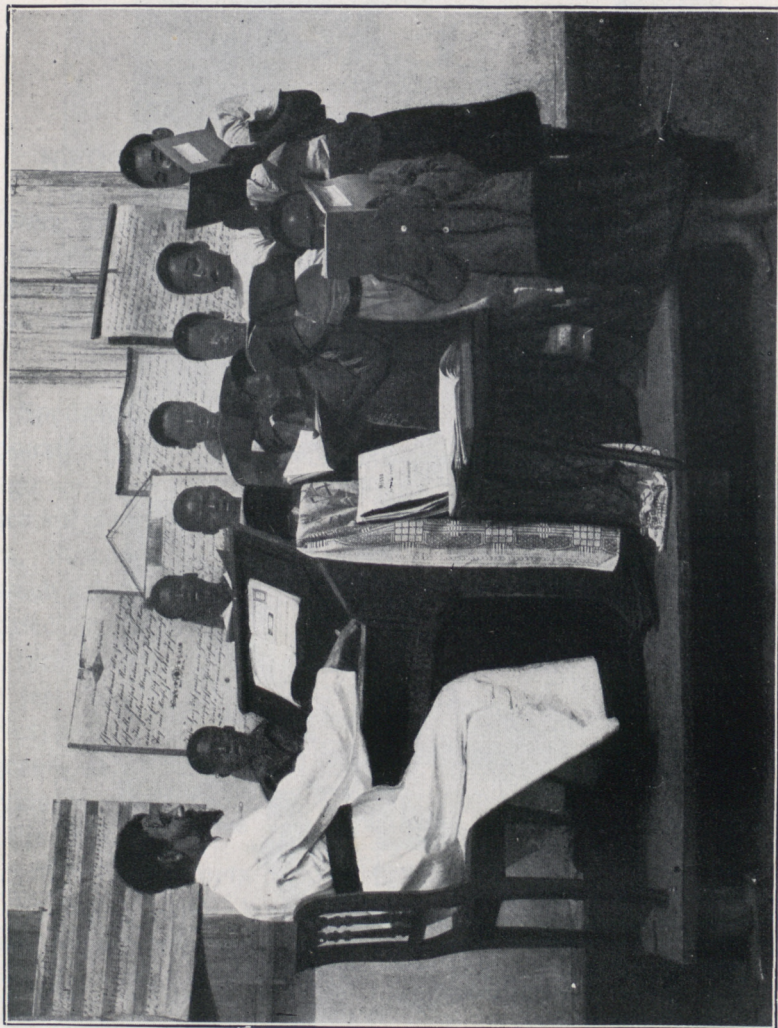
Bardzo interesują się czarni uczniowie wadami narodu wybranego, uważając je za usprawiedliwienie własnych wad, a szczególnie rozpowszechnionego nałogu kłamstwa i kradzieży. Z jaką przyjemnością czytają, jak to Ezaw za miskę soczewicy oddał swe pierworodzstwo Jakóbowi, jak to bracia sprzedają Józefa i beczelnie okłamują swego ojca, pokazując mu suknie zbroczone krwią kozłęcia. Opowieść o piekarzu i podczaszym Faraona — to jakby dzieje ich własnego serca.

Spowiedź pojmują po swojemu. Człowiek — wyrządza Panu Bogu zniewagę kradzieżą, kłamstwem, nieposłuszeństwem, ale Pan Bóg odpuszcza mu w Sakramencie pokuty wszystko. A co Pan Bóg darował za to nie powinno się odpowiadać przed sprawiedliwością ludzką.

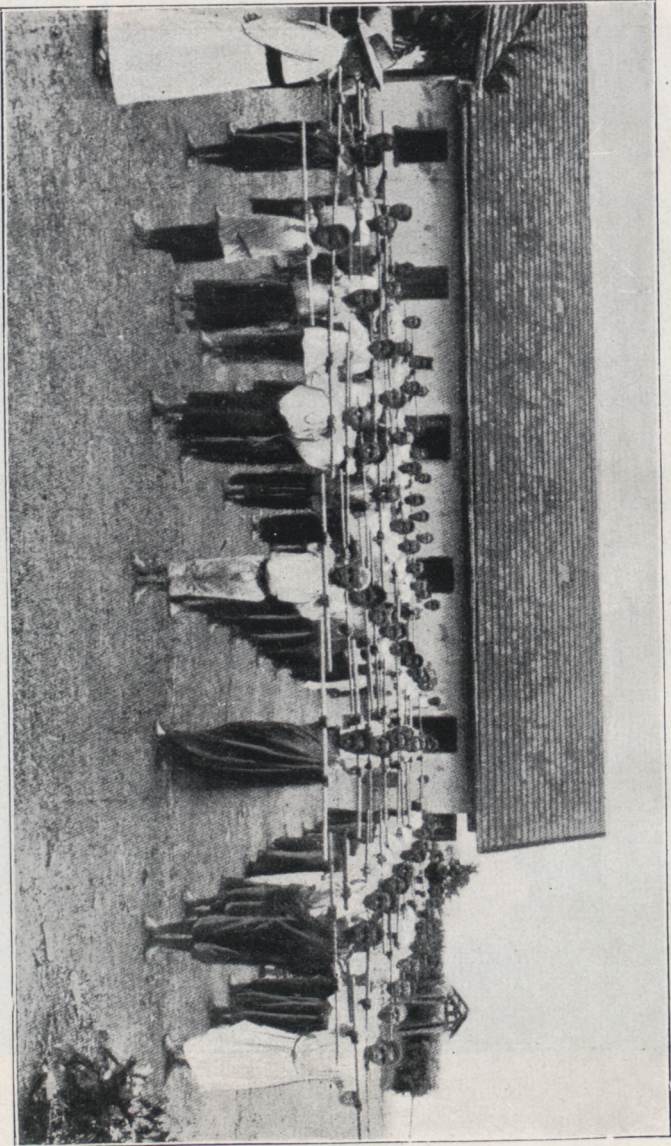
Mały Ewee przystąpił wieczorem w sobotę do spowiedzi, a w niedzielę przyjął Przenajśw. Sakrament. W poniedziałek przeprowadzono w szkole z chłopcami, jak zwykle, ścisłe obrachunki „palawer”. Okazało się, że Ewee pobił swego kolegę, że zamiast uczyć się w szkole, poszedł na ryby, że nawet coś ukradł. Za to miał otrzymać od nauczyciela karę, i to w obecności samego ks. misjonarza. Tego było już dla niego za wiele: „Jako być może?” zawołał — „Pan Bóg mi w sobotę wszystko odpuścił, odprawiłem pokutę, jakiem prawem mam być karany?” Niestety nikt nie zważał na

placz i tłumaczenia — Ewee otrzymał w całości, co mu się należało.

Dzieci murzyńskie bardzo lubią słuchać o obecności Pana Jezusa w Przenajświętszym Sakramencie, a pierwsza Komunja św. rodzi w ich duszach piękne owoce i wywiera błogosławiony wpływ nieraz na całe życie. Podczas przygotowania do Stołu Pańskiego zachęcałem je do przedkładania próśb Chrystusowi Panu, gdy wstąpi do ich serca i opowiadałem, że białe dzieci proszą nieraz o łaskę powołania do stanu kapłańskiego. „A czy wy możecie o to prosić Pana Jezusa?” — zapytałem. Ogólna konsternacja. Poglądają na siebie, to na mnie, nie wiedząc co na to odpowiedzieć. Biedne dziatki uważały, że murzyn niegodny jest służyć Jezusowi. Jakże się rozjaśniły ich oczy, jakże rozweseliły ich twarzyczki, gdy im pokazałem obraz, przedstawiający trzech księży czarnych z zgromadzenia O.O. Trapistów, pracujących w południowej Afryce. Zapewne w niejednym obudziła się chęć prosić Jezusa, aby i jego powołał do swej służby, lecz z pewnością dużo jeszcze upłynie wody w Kameruńskich rzekach, zanim zobaczymy tamtejszego murzy-
na w kapłańskich szatach.



Lekcja śpiewu.—Przy harmonjum Konstanty Kwiatkowski.



Cwiczenia gimnastyczne na podwórzu szkolnem.

V.

NIEDOLE I UCIECHY CZARNYCH UCZNIÓW.

Palawry szkolne. — Egzekucja. — Logika murzyńska. — Wycieczki z muzyką. — Wielkie zabawy. — Bigle play. — Wyprawa czarnych argonautów. — Rozum Wielkiego Pana. — Ile może pomieścić czarny brzuszek. — Popisy szkolne. — Zawody wioślarskie.

Spędzać całe godziny w szkole z skupioną uwagą — to ponad siły europejskiego ucznia, a cóż dopiero odznaczającego się żywym temperamentem murzyna. Na szafirowych falach kołysze się kanu, takie mnóstwo ryb baraszkuje w wodach, tłusciutki myszkj swobodnie biegają po łąkach, po trawach i drzewach, z flegmą spacerują ślimaki — a on musi siedzieć na twardej ławie. Dusza jego wyrwa się do tych smakołyków, a pokusa jest zbyt silna, aby się jej oprzeć. Niemal codziennie urządza się z tej przyczyny „palawer” — obrachunek z nieszczęsnymi winowajcami, których całą zbrodnią jest zamięłowanie wolności. Zwykle co miesiąc wizytuje wielki pan szkołę, a wtedy następuje „big palawer” — likwidacja wszystkich rachunków.

„Mitini jest?” pyta nauczyciel. „Jest, jest”, odpowiada ją chórem uprzejmi koledzy. Mitini absentuje się bardzo często — tak brzmi oskarżenie. Mitini broni się. Nie poczuwa się do żadnej winy. Właściwym winowajcą jest djabł, który obrał sobie na siedzibę jego serce, przytem wymownym gestem wskazuje palcem na lewy bok. Mangale aż trzy razy opuścił samowolnie naukę, wszystkie dzieci widziały go nad morzem, gdzie łowił ryby. On jednak twier-

dzi stanowczo, że świadectwo jego wrogów nie zgadza się z prawdziwym stanem rzeczy. Mangale był chory. — Sześcioletni Malinga, szczupły chłopczyk, już naprzód prosi, aby go nie karano, bo on ze strachu umrze. — Bobowo włożył się poza szkołą. Ale on twierdzi, że zmuszony był pracować w polu z matką i dlatego nie może być karany. Kilku chłopaków wybiega z ławki i zarzuca mu w oczy kłamstwo. — Epale, mimo niedawno otrzymanej kary, znowu przez kilka dni strajkował, a teraz twierdzi, że mu się wysadził bolesny czyrak, na tej części ciała, na której się siedzi. W tych warunkach pobyt w szkole byłby dla niego ponad siły.

Po skończonym palawerze następuje egzekucja. Chłopcy wiedzą, jak naczelnik karze delikwentów. Nieraz widzieli tę beczkę z nafty zakopaną do połowy w ziemi i umocnioną palikami, na której się wymierza sprawiedliwość według chłopskiego paragrafu. Widzieli nieraz jak winowajcę kładziono na beczce, a ręce jego i nogi przywiązywano do palików. A potem co się działo — to strach o tem pomyśleć. W szkole oczywiście takiej metody nie można stosować. Ale zato radzą sobie po koleżeńsku. Mówi stare przysłowie łacińskie: „*Donec felix eris, multos numerabis amicos, tempora si fuerint nubila, solus eris*” — co znaczy: w szczęściu liczysz wielu przyjaciół, w nieszczęściu opuszczą cię wszyscy. Ale chłopcy murzyńscy właśnie w nieszczęściu nie opuszczają swego kolegi. Najserdeczniejsi przyjaciele samorzutnie asystują mu w najtragiczniejszej chwili jego życia. Dwóch trzyma go za ręce, dwóch za nogi, a reszta idzie już gładko przy pomocy giętkiej trzcinki bambusowej, którą osobiście kieruje pan nauczyciel. Nie brak przytem humoru. Sam delikwent liczy głośno przyznane mu razy „jo” — jeden, „beba” — dwa, „bebalo” — trzy, „betano” — cztery i t. d. Tak pewniej, bo przecież i tutaj mogłoby się zdarzyć oszukaństwo.

Przy załatwianiu takich spraw trzeba jednak bardzo

uważać aby wymiar kar opierał się na słuszności. Narody dzikie mają głęboko wpojone pojęcie sprawiedliwości, to też nieroztropnie zastosowana kara może przynieść mniej oczekiwane wyniki.

Jak razi ich niesprawiedliwość, tak i zbytnią pobłażliwością nie osiągnie się niczego. Murzyn nie rozumie uczucia litości, a darowanie kary z tej lub innej szlachetnej pobudki uważałby za słabość swego pana, czy zwierzchności. Zrobiłeś źle — trzeba cierpieć. Oto jego logika. To też dziecko nigdy nie zraża się do nauczyciela, czy misjonarza po otrzymaniu sprawiedliwej kary. Owszem po załatwieniu porachunków szkolnych, mogłem zawsze zauważyć nawet wesoły nastrój między dziatwą. Należy się jednak bardzo pilnować, aby nie okazać, że się ich błędy, za które ponieśli karę, pamięta.

Drobne smutki studentów kameruńskich, przewyższają stanowczo liczniejsze chwile radości.

Raz w miesiącu, gdy sprzyja pogoda, otwiera się wielka szafa szkolna, gdzie kryją się instrumenty muzyczne, batuta bambusowa i chorągiew. — Będzie wycieczka. Wycieczka z muzyką. Co za radość! Pójdą z chorągwią, przy odgłosie muzyki, z pieśnią na ustach, w szyku jak prawdziwi żołnierze. Pójdą do wioski, gdzie niema jeszcze szkoły, pokażą tamtejszym dzikusom, co oni umieją. Zdarzało się nieraz, iż dzieci z tych właśnie wiosek odległych, pociągnięte wesołością uczniów i oczarowane muzyką, opuszczały rodzinne domy, przyłączały się do pochodu, aby pozostać w misji na zawsze.

Poza miesięcznymi wycieczkami mają uczniowie jeszcze dwie wielkie zabawy — bigh play — jedną około zielonych świąt stosownie do zwyczaju tamtejszej ludności, która od wieków urządza w tym czasie igrzyska, drugą zaraz po Bożem Narodzeniu. Wówczas gromadzi się 500, a nieraz i więcej dzieci z wszystkich szkół okręgu misyjnego w głównej stacji, przybranej w kwiaty i girlandy.

Najprzód odbywa się nabożeństwo w kościele, a potem

rozpoczyna się wielki ruch. Chodzi przede wszystkim o zapewnienie żołądkowi dostatecznej, jeżeli się uda — obfitej ilości pożywienia. „Primum vivere, deinde philosophari” — najprzód żyć, a potem filozofować — mówi stare przysłowie rzymskie. Taka też jest filozofja murzyńska. Najprzód żołądek, a potem zabawa — a ktoby im nie przyznał racji?

Aby dopiąć tego celu wybiera się cała wiara w zwartym pochodzie do dzielnicy europejskiej. Jest to wyprawa argonautów, w tym wypadku nie po złote runo, lecz po środki żywności. Na czele pochodu kroczą muzykanci, za nimi postępuje w ordynku brać szkolna, podzielona na grupy wedle klas z swymi nauczycielami. W ostatnim roku mego pobytu w Kamerunie około 500 chłopców uzbrojonych w drewniane pałasze i karabiny własnego wyrobu, z czapkami papierowymi na głowie, stanowiło elitę orszaku. Nie brakło też sowizdrzałów, kłownów i innych wesołków. Europejczycy zawsze przyjmowali dzieciarnię z wielką uprzejmością, a za śpiew, muzykę i figle obdarzali je darami w postaci ryżu, suszonych ryb morskich, soli, cukru i t. d. Właściciele większych firm handlowych wystąpili raz z taką hojnością, iż chłopcy wracając do domu, wyglądali jakby jaka karawana objuczona towarami. Dźwigali wtedy na głowach, na plecach, na noszach, jak kto mógł około 10 centnarów ryżu, kilka bal ryb, większą ilość solonego mięsa, śledzi, nawet sery i cukier.

Już dobrze z południa znalazła się cała kompanja na dziedzińcu misyjnym: gdzie miał nastąpić podział zdobyczy. Sprawa ta dla murzyna bardzo trudna. Nawet nauczyciele nie mogą sobie w takim wypadku dać rady. W szkole, na tablicy, podzielić 100 przez 30, to jeszczeby im jakoś poszło, ale w praktyce podzielić 100 ryb pomiędzy 30 uczniów, albo co gorsza pomiędzy 27, to ponad ich siły. A jednak muszą podzielić i to podzielić sprawiedliwie. Cóż więc czynią? Ustawiają w rząd 30 chłopców, przed każdym kładą jedną rybę, potem drugą, potem trzecią, a w końcu



Siostra w otoczeniu dzieci murzyńskiej.



Wyścigi na łodziach.



GRA „ABIA“.

Jest to rodzaj gry w kostki. Koście (sześciiany) zastępują krągłe jajowate kawałki twardej skorupy orzecha z drzewa „Mavia“. Na ich powierzchni gracze wyrzeźbiają figury wężów, ptaków, żółwi, krokodyłów i t. p. Każdy gracz ma swoje skorupki z osobnym rysunkiem. Skorupki grający wrzucają do koszyczka, wstrząsają nim silnie i wysypują skorupki na ziemię. Wygrywa ten, którego skorupki leżą w oznaczonym kierunku. Zdarza się, że wygrywa jednocześnie dwóch, albo trzech — dzielą się wtedy między sobą wygraną, albo grają we trzech dalej, póki jeden z nich nie okaże się zwycięzcą.

sposzregają, że im zostało do podziału jeszcze 10 ryb. Wszyscy z rozpaczą myślą daremnie nad rozwiązaniem zagadki, nawet oczekujące podziału ryby zdają się z przerażeniem spoglądać ostupiałemi oczami w przepaść tej nieprzewyciężonej trudności. Musiałem ostatecznie sam uwolnić ich z kłopotu: wziąłem tedy nóż do ręki i, jak Aleksander Wielki przeciął mieczem węzeł gordyjski, tak ja pokrajałem każdą rybę na 3 części i u stóp każdego z mych wychowanków złożyłem dział należny. Nauczyciele odetchnęli z uczuciem ulgi, a wszyscy z podziwem spoglądali na „wielkiego pana”, który w zawitych rachunkach okazał tyle rozumu i umiejętności.

Oczywiście praca nad podziałem w takich warunkach trwa bardzo długo. Tymczasem punktualnie o godzinie 6-iej, jak to jest nad równikiem, zachodzi słońce i raptem zapada ciemna noc. Okoliczność ta przyspiesza koniec wymiarów ku wielkiej radości chłopców, którzy już bardzo boleśnie odczuwali sarkanie kiszek i żołądka. Krząta się więc wiara około przyrządzenia sutej wieczerzy. Chłopcy łączą się po trzech lub czterech w grupki, aby wspólnemi siłami przedźj dokonać dzieła. Jeden gromadzi drzewo, drugi w puszkach z konserw przynosi wodę, inny układa kamienie pod naczynie, a inny wreszcie rozpala ogień. Na obszernym placu misyjnym pali się około stu ognisk. Młodzi kucharze nie wysilają się wcale nad sposobem przyrządzenia potraw. Do jednej puszkj wsypują wszystko: ryż, cukier, wkładają rybę i ser. Bucha para, a zapach tego bigosu drażni ich nozdrza. Nareszcie wieczerza gotowa, liście bananowe zastępują talerze, a palce widelce i noże. Stosy przygotowanych zapasów znikły w okamgnieniu — aż strach pomyśleć, ile to może pomieścić taki czarny brzuszek.

Po skończonej uczcie jeszcze godzina zabawy. Znowu swobodna wesołość: tutaj biją w bębny, tam śpiewają, klaskają w dłonie, gdzieniegdzie wirują w zawrotnych tań-

cach, a potem cisza. Wszystko układa się do snu i natychmiast zasypia.

Pójdźmy do nich. Sala szkolna — to jeden wielki obóz. Na podłodze, na ławkach, pod ławkami leżą pokotem rycerze obok wesołków i zwykłych szeregowców. Wszyscy przykryci chustkami, któremi się za dnia obwiązują. Ten sam obraz przedstawiają i inne miejsca noclegowe urządzone w zabudowaniach misyjnych. Trzeba chodzić bardzo ostrożnie, aby przypadkiem nie nadeptać czarnej główki. Nie przeszkadzajmy im! Śpijcie spokojnie i śnijcie najpiękniejsze sny o śledziach głębokiej północy, o słodyczach cukru i o smacznym ryżu.

Nazajutrz odbywa się dalszy ciąg uroczystości — popisy szkolne, zaszczycone obecnością przedstawicieli władz miejscowych i przyjaciół misji białych i czarnych.

Uczniowie i uczennice składają wobec gości egzamin z nabytych w roku wiadomości, poczem następują śpiewy, deklamacje, a wreszcie rozdanie nagród. Popołudnie poświęcone jest wyłącznie zabawom o bardzo urozmaiconym programie: a więc turnieje, śpiewy, przedstawienia teatralne, bieganie do mety, wspinanie się po masztach, skakanie w workach, tańce i zawody wioślarskie (regaty). Wspomnę tylko o zawodach wioślarskich.

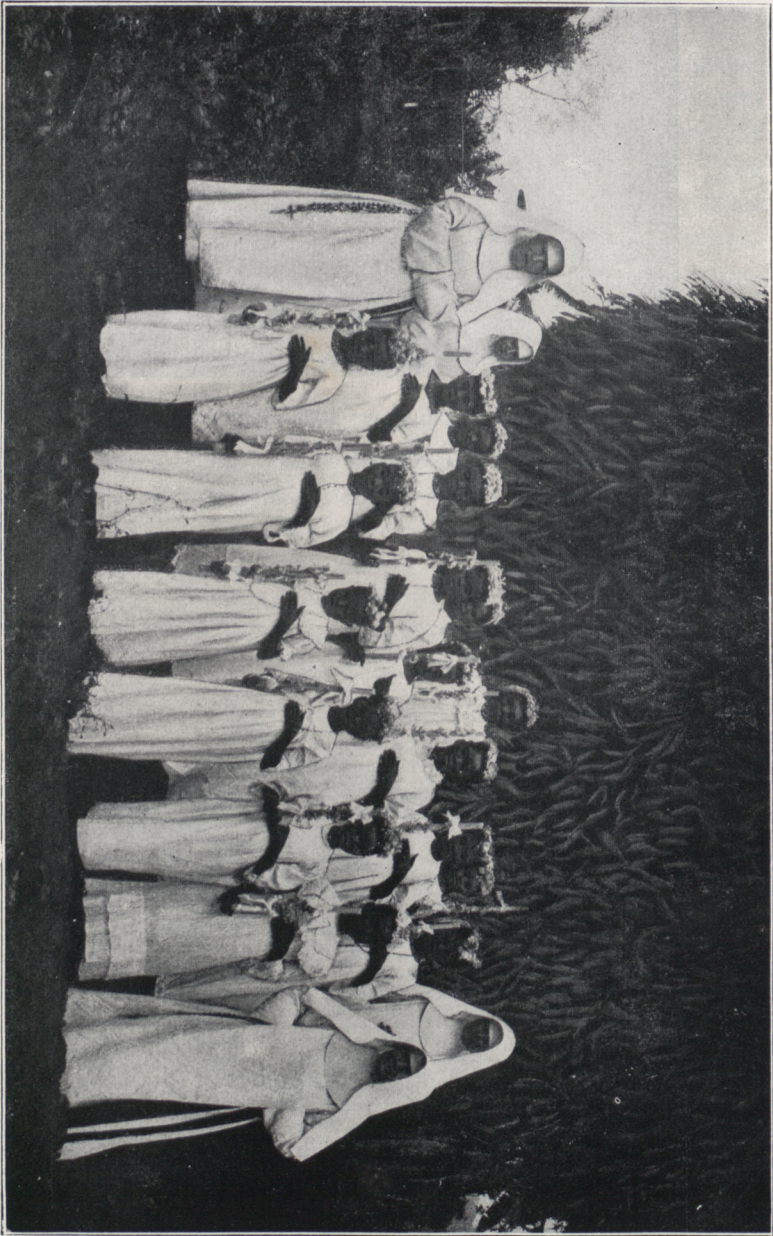
Tuż przed stacją misyjną tworzy ocean Atlantycki niewielką zatokę, jakby umyślnie stworzoną dla wyścigów wioślarskich. Chłopcy partjami wypływają w kanach, ubiegając się o zwycięstwo i o nagrodę. Piękna to zabawa. Nietylko my, ale cała kolonia europejska z wielkim zajęciem podziwiała zręczność i zwinność młodocianych wioślarzy. Kanu ślizgały się po powierzchni wody lotem strzały. Sprowadzić takiego chłopca do Poznania i zaprosić go do współudziału w wyścigach naszych zawodowych wioślarzy na Warcie! Jestem przekonany, że on pierwszy stanie u mety. Wszyscy z uznaniem i z zachwytem odnosili się do małych bohaterów dnia. Panowie formalnie zasypywali ich nagrodami, a jeden wyniósł malca z kanu i serdecznie ucałował.



Czarne ręce przy pracy nad białą bielizną.



Rodzina murzyńska — po lewej stronie teściowa.



Dziewczynki murzyńskie w dniu pierwszej Komunii św.

VI.

CZARNA POCZTA.

*Kalaty.—Oferty Europejskie.—Poszukiwania adresów.—
Czarny wisus.*

„Kalaty” — „kalaty”. Słowo to ustawicznie brzmi w uszach czarnego ucznia i jest przedmiotem najżywszych pragnień jego serca. Ach, żebym ja umiał napisać „kalaty” — list.

W jakim celu? Czy aby się porozumieć z swoinu? Bynajmniej — lecz by korespondować z Europą.

Proszę posłuchać:

W stolicy kameruńskiej — w Duala — kazał sobie główny naczelnik murzyński — King Bel wybudować pałac i przez hamburską firmę urządzić z królewskim przepychem. W ślad za nim poszli niżsi naczelnicy. W Batanga — kilka mil od Kribi — posiadał naczelnik Bobala piękny dom, zaopatrzony w najnowsze meble europejskie. Wieść o tem rozeszła się w kołach europejskich kupców i różne firmy postanowiły nawiązać stosunki handlowe z murzynami w nadziei zrobienia dobrego interesu z jakim czarnym nababem. W tym celu rozpoczęto wysyłkę ilustrowanych katalogów na czarny kontynent. Nasi nauczyciele otrzymywali stale całe stosy najrozmaitszych druków, to oferty, to broszurki, to książki na okaz, a nawet listy z prośbą o dostarczenie adresów znacniejszych osób — oczywiście za dobrem wynagrodzeniem. Jakże nie korzystać z takiej okazji! — znają przecież dosyć ludzi w rodzinnej wiosce; alboż mało mają w szkole uczniów, pomiędzy krórymi znajdują się nawet sy-

nowie murzyńskich wójtów? Cóż łatwiejszego, jak napisać: Józef Ewee, syn Kinga Ewee w Kribi?

Każdy uczeń, jeśli nie posiada tytułu: „Jaśnie Oświecony”, to przynajmniej jest „Wielmożnym Panem”, a każda dziewczyna „Wielmożna Panna Dobrodziejka”.

Oprócz tej kupieckiej korespondencji jest jeszcze daleko rentowniejsza korespondencja prywatna.

Skąd się ona wzięła, gdzie szukać jej początku — trudno powiedzieć. Dość że już mali chłopcy dokładali wszelkich starań, aby sobie, za pośrednictwem poczty, zapewnić w Europie dobrodzieja.

Do kogo pisać? W pierwszym wypadku Europejczycy poszukiwali adresów — teraz dzieje się odwrotnie: Ubiegają się o nie murzyni i znajdują je jużto na kopertach, gdzie nadawca umieścił swe nazwisko, jużto na paczkach, które nadeszły z Europy, jużto umyślnie sprowadzają je z biur adresowych europejskich, a nawet kupują za drogie pieniądze.

Adresy są. A więc do dzieła. Zasiada czarny wisus i pisze, ale co pisze? Najzwyczajniejsze kłamstwa, mające na celu skłonienie adresata do litości i do przysłania jałmużny, bo tylko o to chodzi.

Przytaczam list dwunastoletniego Mbongo:
Kochany Panie!

Nazywam się Mbongo. Żyję między poganami, a ja kocham Pana Jezusa i chcę zostać chrześcijaninem. Ojciec mój zabrania mi tego i bardzo mnie bije. Zamknął mnie w lochu. Tam cierpiełem wielki głód przez dwa tygodnie. Zdarł ze mnie odzienie. Ale ja wolę umrzeć, aniżeli pozostać w pogaństwie. Codzień modłę się za dobrodziejów, którzy utrzymują misję. W domu misyjnym poznałem wiarę chrześcijańską. Łzami skrapiam ten list i proszę o pomoc: proszę o odzież, albo o pieniężną ofiarę, abym mógł kupić sobie chleba”.

Biedny Mbonga.

List wędruje do Europy, a Mbonga czeka cierpliwie i zazwyczaj z dobrym skutkiem. Zdarza się często, że pentent otrzymuje większą kwotę, a nieraz i stałą miesięczną zapomogę. Mbongo nie potrzebuje pracować, ubiera się po europejsku i je dobrze. Szczęśliwiec! Trzeba tylko dobrodzieja dobrze pilnować, regularnie do niego pisywać i dobrze akcentować swą nędzę.

Inny, niejaki Ebededi, trzynastoletni chłopak, donosi, że zamierza wstąpić w związek małżeński, ale nie posiada ani grosza na założenie gniazdka rodzinnego, a przecież chciałby widzieć na ścianie swej chaty krzyż, albo obraz Bogarodzicy.

W odpowiedzi na to otrzymał 20 m.

Staraliśmy się wszelkimi sposobami stłumić tego rodzaju korespondencję naszych uczniów, rozciągnęliśmy kontrolę nad pocztą, stosowaliśmy nawet kary. Ale nie wiele zdołaliśmy dokonać. Główną przeszkodą była łatwowierność europejskich ofiarodawców, zwłaszcza litościwych pań.

Z pewnością jałmużna jest rzeczą dobrą. Ale i ona powinna być roztropna.

VII.

ZE SZKOŁY DO NIEBA.

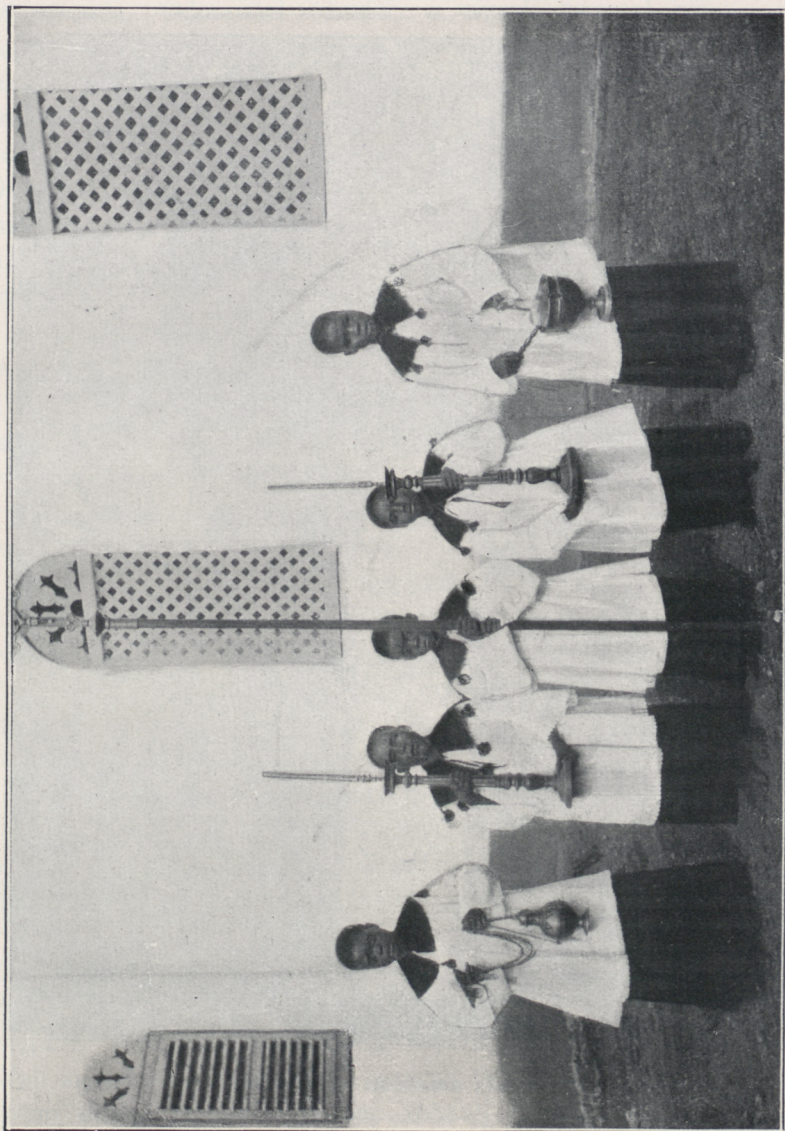
Ludwik Epajne.—Budująca śmierć.—Pożegnanie zmarłego.

Pewnego dnia otrzymałem od nauczyciela z Bebandoe list tej treści: „Kochany Ojczy, przybywaj jaknajprędzej — Epajne umiera”. Miejscowość Bebandoe odległą była co najmniej o 4 godziny drogi. Natychmiast wyruszyłem z domu, lecz już w wiosce Plantation, skąd jeszcze miałem milę dobrego marszu, dowiedziałem się, iż Ludwik — takie imię otrzymał na Chrzcie św. — nie żyje. Wziąłem z sobą nauczyciela i dzieci szkolne z Plantation i około 11-ej przed południem przybyliśmy na miejsce.

Ciało zmarłego złożone już było na marach, ustawionych pod namiotem z trzciny na najobszerniejszym placu wioski. Pośród zieleni i kwiatów spoczywał Ludwik, obleczony w tę samą odzież, w której po raz pierwszy przystąpił przed czterema miesiącami do Stołu Pańskiego. Twarz jego była mile uśmiechnięta, na szyi zawieszono mu różaniec, w złożonych do modlitwy dłoniach trzymał krzyżyk, a na piersi położono mu obrazek — pamiątkę pierwszej Komunii św. z następującym napisem: „Kto pożywa Ciało Moje i pije Krew Moją, żyć będzie na wieki”.

Kiedy jeszcze w Bebandoe nie było szkoły, uczył się najpierw w Buambe, a potem w Plantation. Wreszcie otwarto szkołę w jego rodzinnej wiosce. Wielką była z tej przyczyny radość, a jeszcze większa, gdy otrzymał Chrzest św. A oto teraz spoczął na marach.

Choroba trwała zaledwie kilka dni. W poniedziałek się



Czarni ministranci.



Siostra z czarnymi panienkami.

położył, w wtorek i środę nie było jeszcze niebezpieczeństwa. Dopiero w czwartek rano pogorszył się nagle stan jego zdrowia. Odmawiał różaniec, a wzrok zwracał nieustannie ku obrazom, które miał przy sobie. O dwunastej kazał zawołać nauczyciela i swoich towarzyszy szkolnych i oznajmił im, że żyć nie będzie. Prosił, aby mu sprowadzono ojca misjonarza, gdyż chciał przyjąć jeszcze Komunię św. i Ostatnie Olejem św. Namaszczenie. Nikt nie sądził, aby koniec jego życia był tak bliski. W ostatniej chwili prosił rodziców i obecnych otaczających jego łożę, aby przyjęli Chrzt św., aby nie krzyczeli i nie płakali podczas pogrzebu, a nadto upominał ich, aby nie spełniali pogańskich obrzędów nad grobem, lecz aby się modlili.

Po kilka razy wzbudzał akty żalu za grzechy. Do ostatniego tchu życia wyznawał wiarę św. i modlił się gorąco. Krótco przed skonaniem podał każdemu rękę na pożegnanie. Podczas odmawiania różańca przez obecnych, niewinna jego dusza opuściła ciało.

Śliczna śmierć Ludwika i jego budująca pobożność wywarła wielkie wrażenie na pogan. Naczelnik plemienia zapewniał mnie uroczyście, iż w nocy widział wielkie światło nad chatą zmarłego. Wzruszony do głębi oświadczył, iż dłużej nie będzie zwlekał z posyłaniem swych dzieci do szkoły i słowa, ku mej wielkiej radości, dotrzymał.

Po południu odczytałem przy zwłokach brewjarz i wygłosiłem krótką przemowę. Odmówiliśmy jeszcze raz różaniec, litanję loretańską i odśpiewaliśmy kilka pieśni. Poczem rozpoczął się pogrzeb. Żał mi było pogan. Nie chcąc im sprawiać przykrości, zezwoliłem, aby wedle zwyczaju pożegnali się z zmarłym. Ustawili się około trzydziestu kroków przed trumną, lecz tak, aby mogli widzieć zmarłego. Następnie, w żałobnych szatach, z skrzyżowanymi rękami zbliżali się powoli do trumny i wracali tą drogą. Śpiewali przytem pieśni żałobne. Ilekroć zbliżali się do zmarłego, wyciągali ku niemu ręce i wśród łez przemawiali doń czule.

Był to rozrzewniający widok. Wszystkie rzeczy zmarłego: ubranie, książki, tabliczkę, kajety, atrament, włożono mu do trumny.

W końcu zabito trumnę. Na skromnym cmentarzu Bebanboe spoczął pierwszy chrześcijanin, odprowadzony na drogę wieczności modlitwą Kościoła.

VIII.

CO SOBIE DZIECI MURZYŃSKIE OPOWIADAJĄ.

ółwiu Kulu.—Co myślał lampart.—Jak sobie radził hipopotam.—O wężu.—Bocian i żaby.

O żółwiu — Kulu, co wytrwalością zdobywa żonę.

— Jnimungu, bogaty człowiek z szczepu Bakoko, założył wielkie gospodarstwo. W tym celu pościął wiele drzew, ale jednego nie mógł usunąć, bo było bardzo twarde. Zwołał tedy zwierzęta leśne i powiedział, że temu, które zetnie to drzewo, da swoją córkę za żonę.

Z różnych stron schodziły się zwierzęta: Przyszedł ocięzwały słoń, głupi lampart, wielki dzik, silny goryl, bystronoga antylopa, a także rodzina żółwiów wysłała swego przedstawiciela nazwiskiem Kul.

Kul zobaczywszy tyle wielkich zwierząt przed sobą, przestraszył się i schował pod liście.

Zwierzęta po kolei, począwszy od największych aż do najmniejszych, próbowały daremnie ściąć drzewo.

Już miały odejść, gdy Kul wylazł z swej kryjówki i poprosił o siekiere.

Zwierzęta śmiały się z niego i mówiły: Jeżeli my, daleko silniejsze od ciebie, nie zdołałyśmy tego dokonać, jakim sposobem ty, mały żółwiu, potrafisz to zrobić?

Jednak dały mu siekiere. A kiedy żółw rąbał powoli śmiały się z niego i śpiewały: „kong, mbum mu ko”: Patrzcie jak wióry lecą” — to zięć Jnimungu.

Kul jednak nie dał się zbić z tropu — rąbał i rąbał, az

drzewo upadło. I tak wzgardzony zółw otrzymał córkę Jnimungu za żonę.

Co myślał lampart z zazdrości i jaka spotkała go kara.

Lampart, patrząc z lekceważeniem na ścięte drzewo, powiedział: „Wielka rzecz, jabym to samo potrafił”.

„I owszem: pokaż co umiesz”. To rzekłszy, dotknął się Kul drzewa, a ono powstało i zrosło się z pniem.

Lampart wziął siekierę, ale napróżno się mozolił.

Obecne zwierzęta szydziły z niego, że się porwał z motyką na słońce.

Po raz drugi ściął Kul drzewo, poczem udał się z swą żoną do domu.

W drodze napadł na nich lampart, pochwycił Kula i rzucił z taką siłą o kamień, że mu szyldkretowa pokrywa pękła na dwoje. Następnie zabrał jego żonę i uciekł.

Kul gorzko płakał i wołał: „lata: lata, na si dedi lamho la moto” — „zrośnij się, zrośnij się, ja przecież nic złego temu zwierzowi nie zrobiłem”.

I oto pęknięta pokrywa zrasta się. Zółw poszedł do pająka, opowiedział mu co lampart uczynił i prosił o radę.

Pająk, przebiegły czarownik, rzekł: „Sporządzisz z cienkich gałązek sidła i zastawisz je w ogrodzie lamparta”

Kul zrobił, tak, jak go pająk nauczył.

Lampart wyszedłszy do ogrodu po żywność, zaplątał się w sidła i nie mógł się z nich wydostać. Wołał więc: „Oddajcie Kulowi żonę”. Wiele zwierząt słyszało to wołanie, lecz żadne nie rozumiało, co ono znaczy.

Zrozumiała je dopiero jedna kobieta.

Oddała napowrót Kulowi żonę, a wnet same sidła się rozplątały i lampart odzyskał wolność.

Pewnego dnia zwierzęta leśne urządziły wielką zabawę, na którą przybył i Kul z swoją żoną.

Lampart zauważył, iż żona Kula jest bardzo piękna. Pomyślał sobie: i moja żona mogłaby być tak piękna.

Zapytam Kula, jakich używał środków na piękność swej żony, a gdy mi powie i ja to samo mej żonie uczynię.

Przystąpił tedy do Kula i rzekł: „Powiedz mi, co uczyniłeś, iż masz teraz piękniejszą żonę, aniżeli przedtem?”

Chytry Kul odpowiedział: „Roznieciłem wielki ogień i dotąd piekłem w nim swą żonę, dopóki nie nabrała takiej kraszy, w jakiej ją teraz oglądasz. Zrób i ty tak samo swej żonie, a również wypięknieje. Pamiętaj jednak nie wyjmować jej z ognia przedwcześnie, choćby się rzucała i jęczała, bo gdybyś to uczynił jeszczeby bardziej zbrzydła”.

Głupi lampart, wróciwszy do domu, zrobił tak, jak go Kul pouczył. Wrzucił swą żonę do ognia i, nie zważając na jej krzyki, piekł tak długo, dopóki biedaczka nie umarła. Nawpół zwęgloną wyciągnął z ognia, a, zobaczywszy iż nie żyje, pomyślał sobie, straciłem żonę, a gdy zakopię ciało, to wszystko stracę. Przynajmniej głód niem zaspokoję. I zjadł ją. Odtąd lampart bardzo lubi jeść ludzkie mięso.

Jak sobie radził hipopotam, aby nie umrzeć z głodu.

Ngubu — hipopotam doznał wielkiej krzywdy:

Gdy inne zwierzęta mieszkały na ziemi, on całe życie musiał spędzać w wodzie i cierpieć głód dla braku pożywienia. Wychodził tedy w nocy do pobliskich wiosek i kradł ludziom, co się dało, aby z głodu nie zginąć. Najcięższe chwile przechodził podczas pełni księżyca. Uważając jasne noce za dzień, nieraz tydzień cały przesiedział w wodzie, a głód skręcał mu kiszkę.

Trzeba było koniecznie złemu zaradzić. Ngubu miał kilka córek na wydaniu. Wiele zwierząt leśnych starało się o ich rękę, bo były bardzo piękne. Ngubu skorzystał z tego i oświadczył, iż tylko to otrzyma jego córkę za żonę, które mu najlepiej poradzi, jakby mógł nocami bez żadnej szkody wychodzić na ląd za żywnością.

Naprzód radziły czworonogi, lecz rady ich były głupie.

Po nich przyleciały ptaki.

Musiri (sowa) rzekła: „Kiedy ja zawołam uhu, uhu wtedy czas wychodzić.

Ale cóż! I sowa odzywa się czasem dopiero po północy, tak że połowa nocy przepadała.

Potem zjawił się kogut i powiedział: „Kiedy zapieję ku, ku-ku-lu-gu! będzie to znakiem, że ludzie wstają ze snu i że tobie pora wracać do rzeki.“ I ta rada okazała się niepraktyczna, bo kogut piał nieraz za wcześnie.

Wreszcie przysła Ekwale — kuropatwa i rzekła. „Gdy zawołam ke-ke-re, wtedy natychmiast opuszczaj ląd i wracaj do wody.

Rada ta okazała się najlepszą, bo kuropatwa świerka zawsze o świcie.

Ngubu ucieszył się, że znalazł tak dobrą radę i najpiękniejszą córkę swą oddał kuropatwie za żonę.

Ngubu do dzisiaj żyje w wodzie, nocami chodzi na pola i niszczy je ku wielkiemu strapieniu kobiet, które ciężko pracują nad ich uprawą.

O wężu, co z radością zjadł swego zięcia...

Pe — wąż miał kilka córek i sprzedał jedną z nich puszczykowi (Dikung).

Peówna nie chciała puszczyka, płakała, ale jej to nic nie pomogło, bo ojciec wziął już za nią zapłatę. Iść więc musiała.

Dikung zaniósł ją na wysokie drzewo.

Młoda żona pogodziła się z losem — dikung znosił jej wiele pożywienia i było jej dobrze.

Pe zapragnął odwiedzić swoją córkę, ale nie mógł dostać się do gniazda puszczyka i płakał bardzo.

Nadeszła Misek (biała mrówka) i spytała dlaczego płacze.

„Pragnę odwiedzić córkę, która mieszka na wysokim drzewie, a nie mogę się tam dostać“.

„Nie smuć się, ja już tak zrobię, że córkę zobaczysz“

Misek zawołała całą gromadę swych towarzyszek i tak długo podgryzały drzewo, aż się zważyło na ziemię.

Dikung spadł z całą swoją rodziną, a Pe tak ucieszył się widokiem swej córki, że zjadł z radości puszczyka.

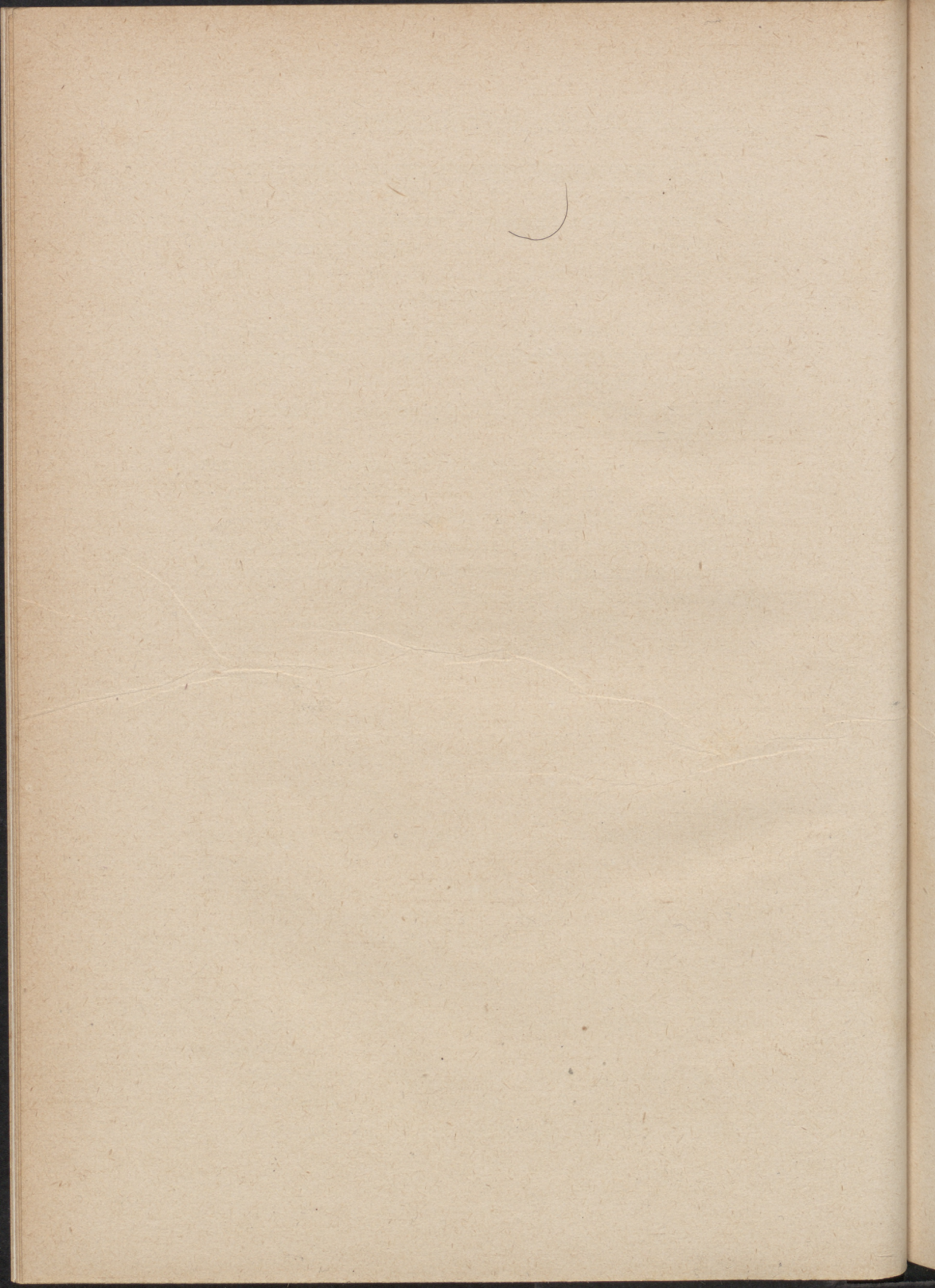
Bocian i żaby.

Bocian był bardzo głodny. Znalazł staw pełny żab, ale cóż, kiedy wszystkie siedziały w mule. Bocian postanowił zwabić je podstępem.

Położył się na brzegu tak, żeby go mogły widzieć i udawał nieżywego.

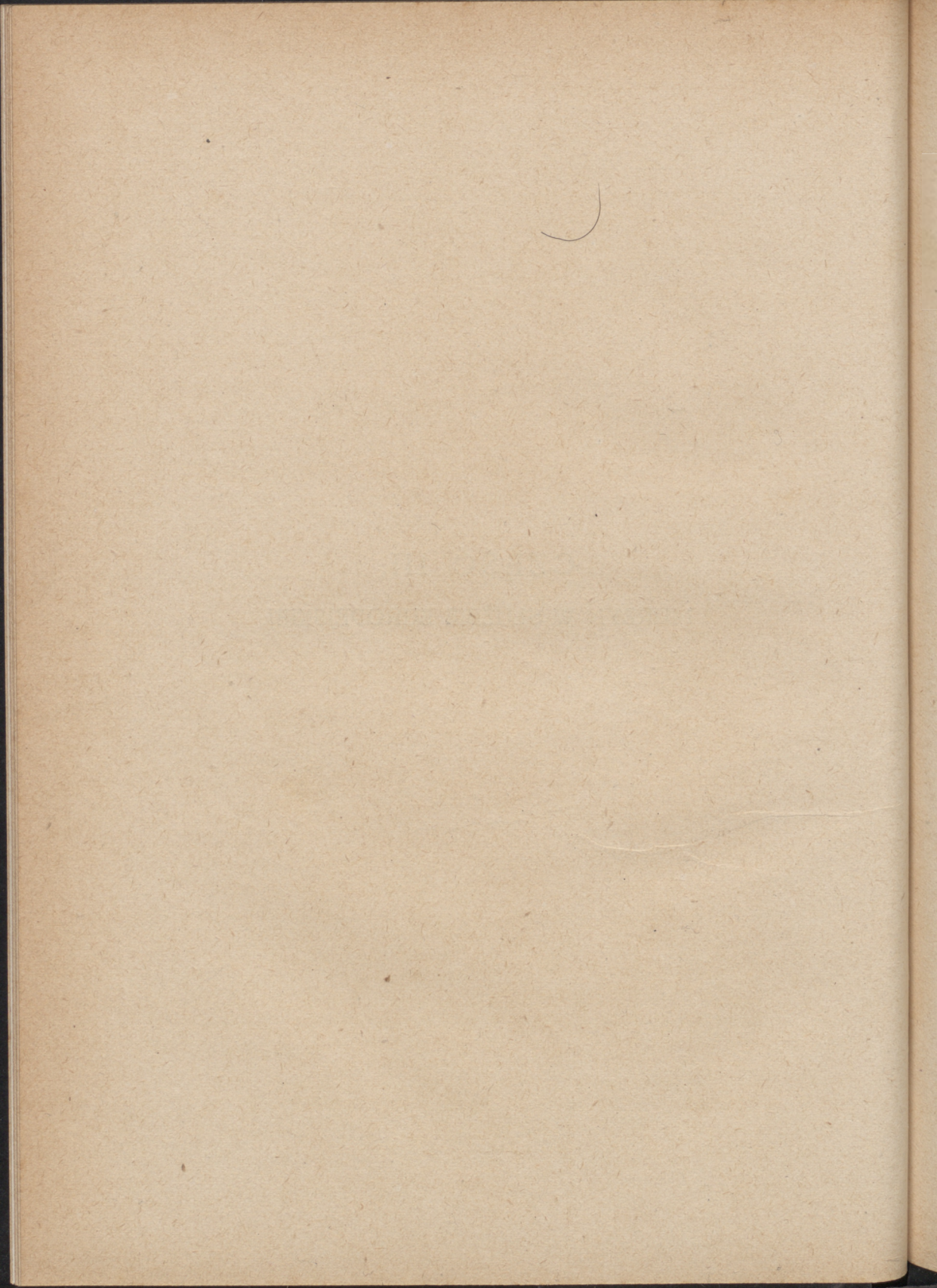
Gdy jedna żaba zobaczyła go leżącego bez ruchu, zakrzeczała do swych krewnych i do sąsiadek: „słuchajcie, — bocian zdechł, zaciągnijmy go do stawu“.

Żaby tłumnie obstały rzekomego nieboszczyka, a wtedy bocian zerwał się nagle, dużo żab pozabijał i mięsem ich obficie zaopatrzył swą spizarnię.



CZĘŚĆ III.

MURZYN W SŁUŻBIE EUROPEJSKIEJ.



I.

Boy.

Boy od domu, od kur, od małp etc. — Jędrus Ekandi. — Przemysłny boy. — Boy starosty. — Heroiczne poświęcenie. — Zazdrość boya.

Niejeden uczeń długie lata przesiaduje na ławce szkolnej, a nie wiele przybywa mu mądrości. Tak jest u nas tak samo w Afryce, tylko z tą różnicą, że procent takich żełaznych studentów jest między czarnymi daleko większy, niżeli w Europie. Tacy zbankrutowani studenci, zamknąwszy sobie nieuctwem wstęp do lepszych zawodów, idą na służbę do białych.

Najniższym stopniem tej służby jest stanowisko boya, albo stewarda.

Boy to ciekawa figura w domu Europejczyka. Boy wszystko wie, wszystkiemu jakoś zaradzi — wszystko załatwi. Europejczyk bez boya — to rzecz niedopomyślenia. Dobre i kiepskie czasy, smutki i radości — wszystko dzieli boy z swoim panem. On towarzyszy mu wszędzie, jest wtajemniczony w różne sprawy, zna dobre i słabe strony swego pana, a zwykle jest też powiernikiem jego myśli, jego planów i zamiarów — dobrych czy złych.

Zamożniejsi Europejczycy utrzymują więcej boyów. W lepszych domach spotyka się ich całe zastępy. Zależnie od obowiązków są boye od domu, od kuchni, od ogrodu, od kur, od małp etc.

Pomiędzy liczną rzeszą najszczytniejsze stanowisko zajmuje boy od domu. Do niego należy obsługa samego pana, on

opiekuje się szampanem, konjakiem, cygarami i wykonuje nadzór nad resztą swych kolegów, którzy porają się myciem talerzy, hodowlą kur i pielęgnowaniem małp. Trzeba go widzieć z jaką powagą i energią usuwa, przy pomocy bambusa, dosyć często zresztą, kłótnie i wzajemne tarcia swych podwładnych. Gdy atoli sytuacja staje się nadto naprężona i gorąca, wówczas występuje na widownię sam pan domu i sprawia swemu ministrowi porządne lanie.

Pan, który przypadł swemu boyowi do gustu, staje się dla niego wzorem, pod względem dobrego tonu towarzyskiego i mody. Boy naśladuje jego chód, sposób wyrażania się, zwyczaje, pod jego nieobecność pali jego cygara i kołysze się w salonie na jego bujaku. Z wielką radością ubiera się w znoszoną odzież swego pana, którą otrzymał w prezencie, zwłaszcza jeśli ta odzież stanowiła niegdyś choćby częstkę wojskowego uniformu.

Pewien oficer, wracając do Europy, podarował swemu służącemu 15-letniemu Mukięgiemu wysokie buty z ostrogami i kawaleryjskie bryczesy. Był to najpiękniejszy dzień w życiu Mukięga. Pamiętam, jak wyszedł raz na me przywitanie w całej paradzie.

Ledwie zdołałem zapanować nad sobą, aby nie paisyknąć śmiechem. Cholewy sięgały mu wysoko poza kolana, a ineksprimable wisały na nim zapięte na wielkie świecące guziki pod samą pachą.

Boy widzi, że jego pan pisze dużo listów. Dlaczego i on nie miałby pisać? Wprawdzie nie potrafi wylać na papier własnych myśli i uczuć, ale od czegoż spryt? Przepisze listy swego pana i pokaże znajomym, jak wysokie osiągnął w służbie wykształcenie. Tak zrobił Jędrus Ekandi, boy z Duala, stolicy Kamerunu. Zasiadł do biurka i odpisał jak najdokładniej gratulacje, jakie jego pan złożył pewnej damie w Europie z okazji jej zamażpójścia. Tak sporządzoną kopję wsuwał do różowej koperty, zaadresował do swej rodzicielki i wrzucił do skrzynki pocztowej. Jakież było zdumienie ma-



Boy od zwierząt domowych.



Boy od butów.



Dom Europejczyka — na werandzie boy.



Ekspedycja w głąb kraju. Na czele misjonarz. Za nim tragarze—na końcu boye.

musi, gdy ten miły liścik odczytał jej nauczyciel misyjny. Obydwoje nie mogli pojąć, czego sobie właściwie życzy poczciwy Jędrus. Sprawa oparła się o księdza misjonarza, który wyjaśnił znaczenie groteskowej korespondencji.

Boy zwykle jest bardzo przywiązany do swego pana. U wejścia do domu Europejczyka zawsze go można spotkać na schodach, albo na werandzie. „Jour mister live?“ — Jest pan w domu? — „Yes, live far house.“ — Tak — jest w domu, — brzmi odpowiedź.

Chłopak zawsze jest w dobrym humorze, przez cały dzień wałęsa się po domu, a w nocy śpi na werandzie, albo gdzieś w jakimkolwiek kąciku. Gdy pan jego wybiera się w drogę, albo w gościnę — niesie za nim drugie ubranie, które, z powodu upałów w Afryce, zawsze mieć trzeba w pogotowiu, albo inne rzeczy, a już koniecznie latarkę i zapalki, aby w razie potrzeby, przyświecać panu, gdy on, czasem chwiejnym krokiem, wraca w progi domowe. W Afryce wieczorne odwiedziny przewlekają się często do późnej nocy. Wtenczas boy układa się przed wejściem do domu na ziemi, albo na schodach z latarką i zapalkami w ręku, zawsze gotów do pełnienia swego urzędu. Jeżeli się zbierze liczniejsze towarzystwo, wtedy na placu przed domem tworzy się cały obóz boyów z latarniami, którzy oczekują na swych panów.

Kapitan Z. miał bardzo poczciwego boya. Gdy zbyt długo przedłużał swój pobyt w gościnie, boy jego kładł się na schodach werandy — głowa spoczywała na piątym schodzie, rozpostarte ręce zagradzały drogę, a nogi trzymały latarkę — spał smacznie, tylko głośne chrapanie zdradzało jego obecność.

Z czasów złotej epoki dziejów kameruńskich zachowała się pamięć bardzo przemyślnego boya. Pan jego — wysłużony oficer, a później geometra — był wielkim zwolennikiem konjaku. Podczas pomiarów, które, jak wiadomo, wymagają przenoszenia się z miejsca na miejsce, musiał bie-

dny boy co chwila otwierać walizę i wyjmować butelkę, aby odwilżyć zaschłe gardło pana. Tego było mu za wiele. Postanowił więc tak się urządzić, aby wilk był syty i owca cała, aby pan miał zawsze koniak pod ręką, a on nie męczył się związywaniem i rozwiązywaniem tłumoków. Oto pewnego dnia patrzy inżynier, aż tu boy idzie przed nim z flaszką umieszczoną na głowie tak sprawnie, iż wszelkie niebezpieczeństwo utraty cennego nektaru było zupełnie wykluczone. Zachwycony inżynier pomysłowością dzielnego boya, natychmiast zastosował jego wynalazek do swych życiowych potrzeb i to na wojskowy sposób. Ile razy przyszła mu ochota na kieliszek, gromkim okrzykiem „stój“ zatrzymywał boya, poczem szła dalsza komenda: „flaszkę zdjąć!“ „Nalewać!“ Po pokrzepieniu sił ruszano w dalszą drogę.

Stosunek boya do jego chlebobawcy staje się nieraz bardzo zażyły i serdeczny. Boy kłamie wprawdzie jak najęty, kradnie jak kruk, atoli inne przymioty, jakimi się odznacza, mianowicie zręczność w pracy, psia wierność i przywiązanie do pana, wartością swą przewyższając stanowczo jego wady, bez których zresztą trudno wyobrazić sobie prawdziwego murzyna.

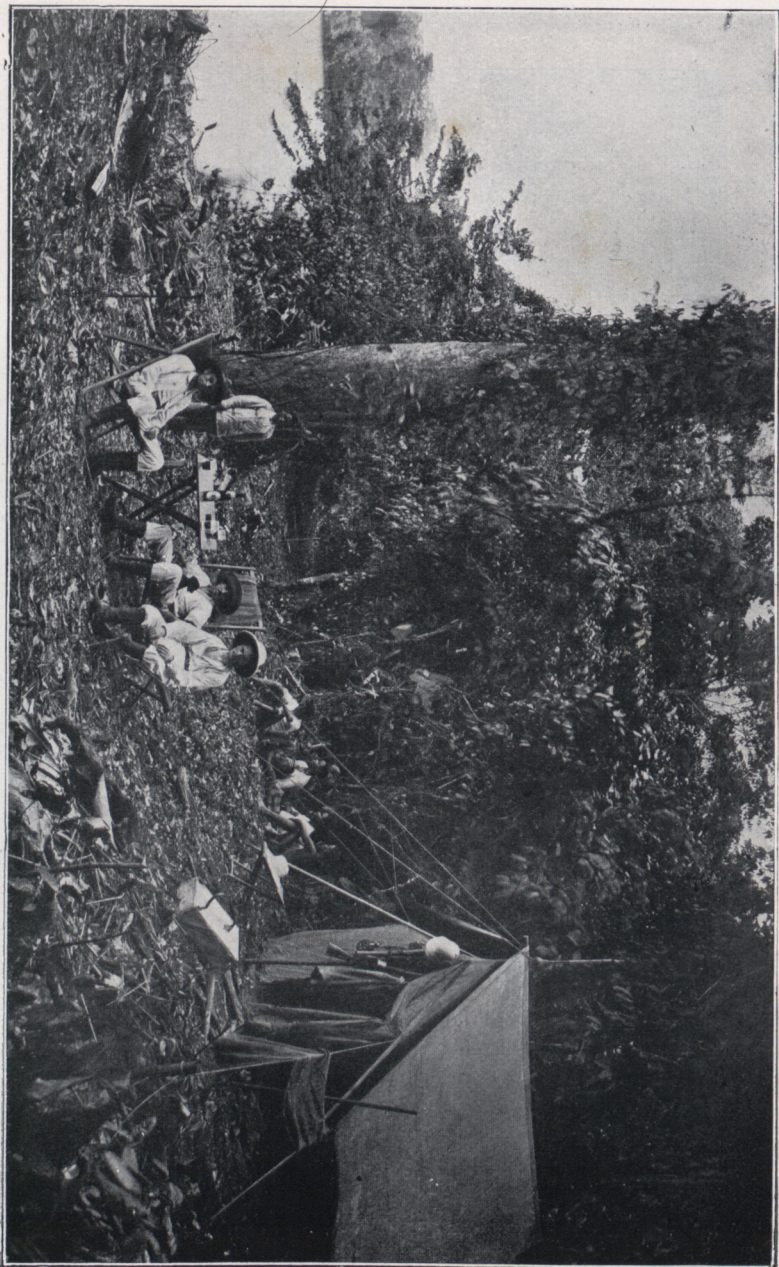
Co za pomysły rodzą się nieraz pod kędzierzawą czupryną czarnego lokajczyka! Doprawdy, niewiadomo co więcej podziwiać, czy jego dziecięcą naiwność czy też bezdenną głupotę.

Boy starosty powiatu Kribj zaczął nagle zaniedbywać się w służbie. Zamiast pilnować obowiązków, chodził codziennie nad brzeg morza i godzinami wpatrywał się w dal, jakby kogo oczekiwał. Trwało to czas dłuższy. Nie pomogły groźby, ani kary. Dopiero po przybyciu do portu pasażerskiego parowca hamburskiego, wyjaśniła się tajemnica. Zawiedziony w swych nadziejach boy przyznał się do wszystkiego. Sprawa tak się przedstawiała:

Firma May i Edlich z Lipska przysyłała staroście co pewien czas wielki katalog z wzorami panującej mody. Mie-



Pan z boyem wśród plant i makabów.



Wyrczenie w podróży.

dzy innemi znajdowały się tam ilustracje damskich kapeluszy na uśmiechniętych główkach kobiecych. Pod ilustracją umieszczano nazwy kapelusza i jego cenę. A więc jeden kapelusz nazywał się Anna, inny Luiza i t. d. Boy umiał czytać i wzięwszy katalog do ręki, dowiedział się ze zdumieniem, iż taka wesoła Anna kosztuje w Lipsku zaledwie 10 zł. Za tę cenę nigdyby tak pięknej, a co ważniejsza, białej kobiety nie dostał w kraju. Eko, jego najbliższy sąsiad, żądał za swą córkę, Njangei, istną pokrakę, 1000 zł. A Ekaj tabako za uroczą Jangę aż 2000 zł. i jeszcze kozę. Należy korzystać z oferty, bo taki interes nie nadarzy się chyba tak prędko. Posyła więc list do Lipska, załącza 10 zł. i prosi o bezzwłoczne przysłanie Anny. Na tę właśnie wybraną towarzyszkę życia, która miała przybyć parowcem z Hamburga, wyczekiwał całym dniami w porcie. Niestety Anna nie przybyła, a boy z złamanem sercem powrócił do swych obowiązków i dalej nosił odzież i latarkę.

Nierzadko zdarzają się przykłady prawdziwie heroicznego poświęcenia się boya dla swego pana. Pewnego razu wybrałem się w kilkutygodniową podróż w głąb kraju w towarzystwie dwóch chłopców. Droga prowadziła przez wezbraną rzekę, na skutek silnej ulewy nocnej. Nie namyślając się długo wjechałem do wody. Tymczasem silny prąd nanościł tyle gałęzi i krzaków, iż koń zaplątał się w nich zupełnie. Widząc jego bezradność, skoczyłem do rzeki, aby mu ulżyć. Chłopcy nie zrozumieli mego manewru, a sądząc iż tonę, natychmiast, nie zdjąwszy nawet z siebie plecaków z prowiantami, rzucili się w wodę, aby mi przyjść z pomocą.

A nie są to rzadkie wypadki, że boy gotów jest oddać nawet życie dla swego pana. Oficerowie opowiadają o wprost bohaterskich czynach swoich czarnych towarzyszy. Gdy w niebezpieczeństwie tylko jeden im pozostał wierny — ich czarny mały boy.

Do wszystkiego boy się przyzwyczai, i z wszystkim jakoś się pogodzi, tylko nie z domowemi zwierzętami. Psów

i kotów nienawidzi z całej duszy, jako groźnych konkurentów w najżywotniejszych sprawach swego żołądka. Boy widzi, jak smaczne kęsy zjada pies — że go pan lubi, pieści — więcej wogóle dba o niego, niż o boya. Stąd jego zazdrość, nienawiść, złość. Koniec tego niemiłego pożycia bywa zazwyczaj bardzo tragiczny. Pies, papuga, małpa giną nieraz nagłą śmiercią na skutek trucizny, której im boy w skrytości użył. Gospodarz przeprowadza śledztwo, a boy wędruje na miesiąc, albo na kilka miesięcy do kozy.

II.

Kucharz—prac. (kook—washman).

Kameruńscy kucharze i kuchciki.—Bezczelność murzyńska. — Metoda prania. — Czarny artysta.

Murzyn, którego ambicje sięgają wyżej, wybiera sobie zawód kucharza.

W Afryce tropikalnej nie potrzeba nato wielkich zdolności, bo większa część potraw przychodzi gotowa z Europy w blaszanych puszkach albo w słoikach. Trzeba tylko zagrzzać zawartość puszek, przyprawić świeżemi jarzynami i podać je na stół.

Nie brakło też w Kamerunie kucharzy zawodowych, którzy potrafili pracować samodzielnie i przyrządzać potrawy po europejsku. Przybywali oni z angielskiej kolonji Lagos, albo z wybrzeża złotego i otrzymywali miesięcznie 50, 70 mr., oprócz mieszkania i utrzymania dla siebie i dla swojej rodziny. Na taki zbytek mogli sobie jednak tylko bogaci ludzie pozwolić.

W zwykłych warunkach trzeba było zadowolić się kameruńskim kucharzem, który niemal zawsze rozpoczynał swoją karierę od boya.

Boy, z własnej już praktyki, nabywa cokolwiek wiadomości z zakresu sztuki kulinarnej. Aby tę wiedzę uzupełnić i rozszerzyć, zgłasza się do prawdziwego kucharza i rozpoczyna naukę jako kooks-maid, — po naszymu kuchcik. Takiego kuchcika ma każdy kucharz. On musi wszystko robić, co ubliża godności mistrza: drzewo rąbać, nosić wodę, rozpalać w piecu, zamiatać kuchnię, czyścić naczynia i t. d.

W wolnym czasie przypatruje się pracy swego pryncypała, zagląda do garnków i uczy się powoli, jak otwierać i przygotowywać konserwy, jak smażyć, solić, pieprzyć, jak chleb piec, przyprawiać sałatę.

Niestety kooks-maid długo w kuchni nie usiedzi i rzadko kończy naukę. Do tego brak murzynowi wytrwałości. Natomiast posiada dużo bezczelności. Gdy się trochę poduczyl, zgłasza się już jako kuchmistrz do Europejczyka. Przezornie wybiera sobie takiego pana, który dopiero co przyjechał z Europy i nie zna miejscowych stosunków.

Murzyn próbuje i ryzykuje. Raz idzie mu wszystko bardzo pomyślnie, innym razem jest bezradny. Zdarza się, że pan jego już na drugi lub trzeci dzień wyrzuca go z kuchni i z domu. To go jednak nie odstrasza i nie wyprowadza z równowagi. Niedoszły kucharz szuka innego pana. Nie raz powtarza się ta sama historia po kilka razy, aż kandydat na kuchmistrza nabędzie tyle praktyki i doświadczenia, że zdoła sprostać skromnym wymaganiom kuchni afrykańskiej.

Innem, szlachetniejszym wedle pojęcia murzynów zajęciem — jest pranie bielizny.

Każdy Europejczyk w Kamerunie musi zmieniać po kilka razy dziennie, nietylko bieliznę, ale też i odzież sporządzaną zazwyczaj z mocnego białego płótna. Gorąco tak dopieka, a pot, przy najmniejszym wysiłku, tak jest obfity, że bielizna i ubranie w jednej chwili są mokre. Stąd potrzeba prania jest bardzo wielka. Jedno np. pontyfikalne nabożeństwo, gdzie kilku księży asystuje, daje praczowi zajęcie na parę dni, bo wszystko jest potem zlane, jakby z wody wyjęte: bielizna, rewerendy, alby i ornaty.

Metoda prania jest dość prosta. Europejska gospodyni ze strachem patrzyłaby na to, co się dzieje z bielizną: Nieco większy płaski kamień w rzece, lub nad brzegiem morza zastępuje pralnię. Na nim obrabia pracz zmoczoną i namydloną bieliznę tak długo palikami, albo palcami, aż pot i brud znikną. Ale razem z brudem znika też niestety po części



Kucharze zawodowi z Lagos.



Kuźnia murzyńska — po prawej stronie murzyn rozdmuchuje miechami ogień.



Kucharz misyjny z rodziną

i bielizna. Po roku takich gwałtownych operacji połowy jej już nie ma. Prasowanie odbywa się pod cienistym drzewem. Washman staje się wtedy artystą. Wszyscy go podziwiają, a najwięcej on sam jest przejęty ważnością swej sprawy i swoją godnością.

Sam też nie odnosi swego towaru, niesie go za nim towarzyszący mu washman-boy, za którym on postępuje z powagą gentelmana.

III.

TŁUMACZ — URZĘDNIK — WOJSKOWY ETC.

Kwiat murzyńskiego społeczeństwa. — Czarny personel urzędniczy. — Pan Membile. — Nauczyciele misyjni. — „Czarna kawa“. — Zachcianki pańskie.

Czarna inteligencja, to kwiat murzyńskiego społeczeństwa. Kto pragnie ją widzieć, niechaj wstąpi w dzień niedzielny do kościoła. W pierwszych ławkach siedzą czarni dygnitarze przybrani w odzież najnowszej mody, sprowadzonej za drogi pieniądź z Hamburga, czy z Lipska — zapięci szczerlnie na ostatni guzik. Ten założył sobie na nos ćwikier z złotym łańcuszkiem, przeciągniętym przez ucho w nadobnych skrętach, tamten znowu wcisnął pod powiekę monokl, i rozglądając się od czasu do czasu po kościele bada czy jego elegancja wywołuje wśród obecnych należyte wrażenie.

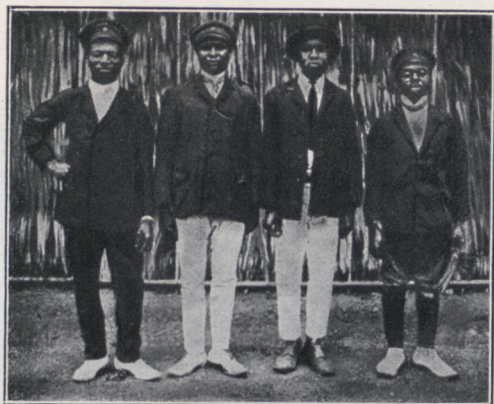
Kościół wypełniony po brzegi, czarni panowie gniotą się w ścisku i pocą. Ale cóż to znaczy? Moda i tu odgrywa wielką rolę i tu „usus est tyrannus” — moda to tyran. Ta napuszystość, to małpie naśladowanie białych czyni z nich istoty śmieszne. Niepodobna im wytłumaczyć, ile tracą z tego powodu na swojej godności.

Wolno Europejczykowi — wolno i mnie — oto logika murzyna.

Jeśli w kościele zachowują się, jak marjonetki, to cóż dopiero w biurze. Tam już bez żadnego ograniczenia popisują się znajomością dobrego wychowania, które jest tylko nędzną parodią europejskich form towarzyskich.



Tłumacz wojskowy z rodziną.



Czarni sanitarjusze.



Sekretarz starosty.



Czarni przy telefonie.

Pan R., objąwszy obowiązki starosty w Kribi, polecił aby przed rozpoczęciem czynności biurowych, przedstawił mu się cały personel urzędniczy. Wchodzi do kancelarii w oznaczonym czasie i cóż widzi? Z urzędników ani śladu, ale zato na stole leżą ich bilety wizytowe z wyszczególnieniem zajmowanego stanowiska: Pan Sungo umieścił tak napis: „Sungo kancelista i tłumacz przy staroście w Kribi” Na drugim czytamy: „Gabriel Ndonga, osobisty sekretarz i doradca starosty”, a na trzecim pan woźny skromne swe zajęcie ozdobił następującym dodatkiem: „Józef Mukenga, zaprzysiężony woźny starostwa”.

Trzeba ich widzieć rano w biurze przed rozpoczęciem pracy, z jakimi ceremonjami witają się wzajemnie. Oto wchodzi pan Membile. Z eleganckim ukłonem podaje swemu koledze rękę: „Dzień dobry panu”, „jak pan spał?” — bada troskliwie. Poczem, stwierdziwszy wielki upał i parne powietrze, chłodzi się chusteczką, wyciągniętą z bocznej kieszeni żakietu i, spoglądając w zwierciadło, poprawia wdzięcznym ruchem dłoni fryzurę swej czarnej czupryny. Niebawem zjawia się pan Ntonga, niski, barczysty, czarny człowieczek. Chód jego niezgrabny, bo jeszcze niedostosował nowych, ciasnych bucików do szerokiej stopy. Składa obecnym głęboki ukłon. Gdy wszyscy witają go i z należytą powagą wypytują o zdrowie, on tymczasem wyjmuje złoty, dopiero co z Lipska sprowadzony zegarek za 360 m., przypatruje mu się długo, zauważa, iż o 5 minut przybył za wcześnie, a szkoda, bo miał w domu bardzo ważne sprawy do załatwienia.

I nasi misyjni nauczyciele nie mogli oprzeć się wpływom mody. Wszelkie usiłowania w celu nakłonienia ich do skromności i prostoty, do pozostania przy swych pięknych rodzimych strojach, okazały się daremne. W obecności naszej przestrzegali jeszcze prostoty, atoli poza naszymi plecami natychmiast małpowali na swój sposób wielkopańskie życie europejskie.

Pewnego razu udałem się do szkoły w Buambe. Niepostrzeżenie wszedłem do domku, który nam służył za pomieszkowanie podczas chwilowego pobytu w tej miejscowości. Zmęczony drogą zasnąłem. Obudziwszy się spostrzegłem przez otwór przymkniętych okiennic naszego nauczyciela Epelani, który gościł w ogrodzie dwóch swych kolegów z Batanga i z Kribi. Czarni panowie siedzieli pod drzewem przy stole, nakrytym obrusem i zastawionym serwisem. Dwóch chłopców stało poza gospodarzem domu, gotowych na każde jego skinienie. Podawano afrykańskie potrawy: kasadę, ryby, raki, a na końcu kawę. Chłopcy, przy podawaniu półmisek, kłaniali się gościowi, a on odwzajemniwszy ukłon, z powagą nakładał potrawy na talerz. Po kawie zasiedli wszyscy wygodnie na trzciniowych krzesłach, zapalali cygara i raczyli się likierem. Żałuję mocno, że nie mogłem rozumieć ich rozmowy, poznałem tylko, że konwersacja toczyła się w języku obcym.

W głównych stacjach mieliśmy zawsze kilku zdolniejszych chłopców, którzy i nam i nauczycielom pomagali w nauce szkolnej i w ten sposób przysposabiali się do zawodu nauczycielskiego. Już tacy chłopcy mieli różne pańskie zachcianki. Jeden z nich posiadał swą własną pieczęć z wiele mówiącym napisem: „Jan Mbolimbumbo, nauczyciel-pomocnik przy wyższej szkole misyjnej w Kribi”. W zeszycie Ludwika Enongi znalazłem list napisany do niego przez niejakiego Franciszka Metimy. Oto jego wierna kopja:

Wielmożny Pan Enonga

nauczyciel-pomocnik w Kribi

(Misje katolickie)

Szanowny Panie!

Pozwalam sobie wyrazić Panu moje najserdeczniejsze podziękowanie za przesłane mi pióra. Usilnem mem staraniem będzie złożyć Mu dzisiaj po południu raz jeszcze osobście podziękowanie i zamienić z Nim uścisk dłoni.

z pełnym szacunkiem **Metima.**

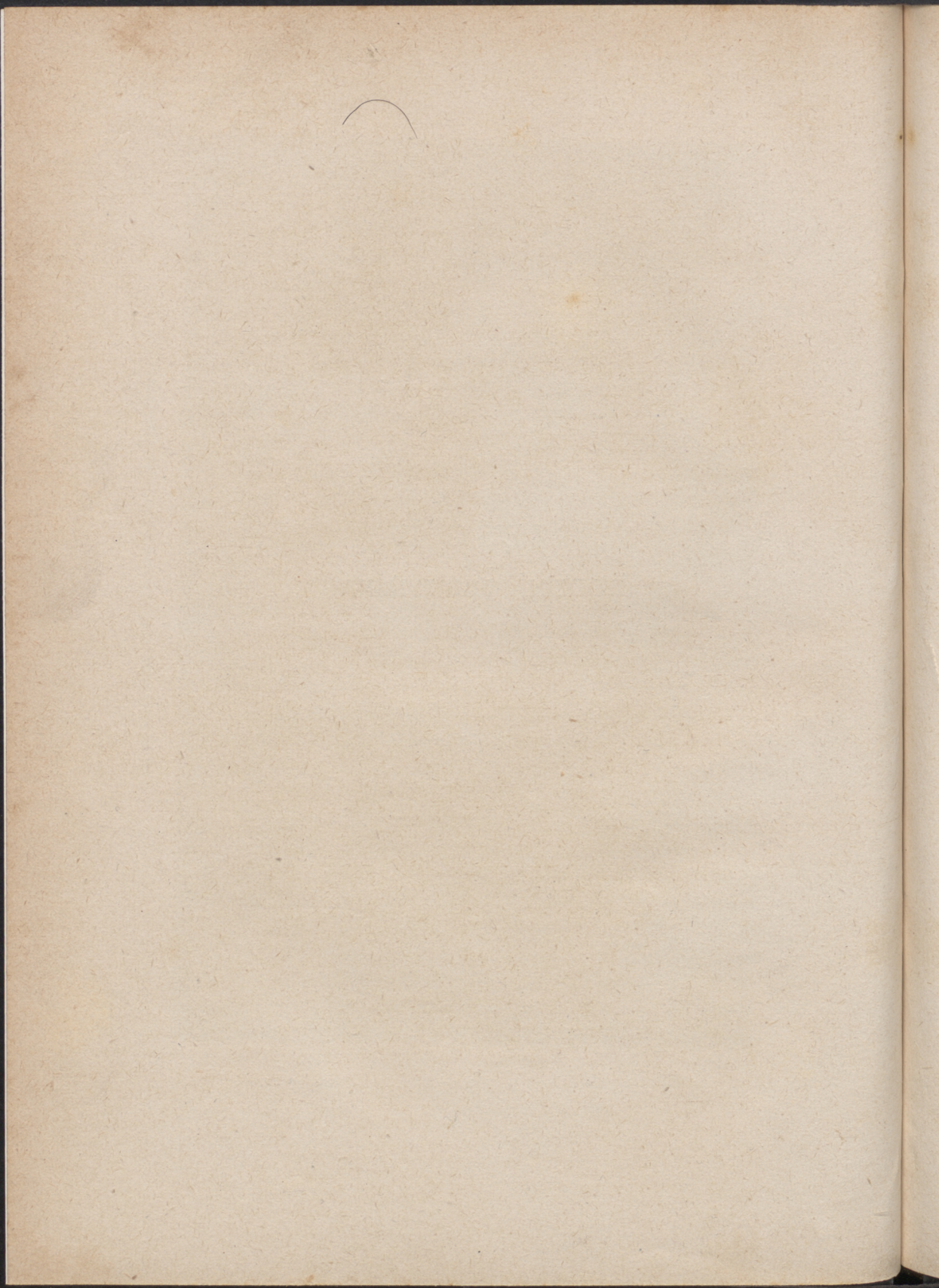


Grono nauczycieli misyjnych.



Uczniowie misyjnego seminarjum nauczycielskiego.

CZĘŚĆ IV.
RODZINA MURZYŃSKA.



I.

W POSZUKIWANIU ŻONY.

Czarni kawalerowie. — Murzyńskie zwyczaje. — Czarny teść i jego przyszły zięć. — Sposób nabywania żony.

Ilekcroć wybrałem się w dzień sobotni lub niedzielny w drogę do powierzonych mej pieczy duszpasterskiej wiosek, prawie zawsze spotykałem młodych murzynów, objuczonych najrozmaitszemą rzeczami. Jeden dźwigał na głowie blaszany kuferek, drugi stos talerzy, inny ciągnął upartą kozę, tamten znów niósł na karku owieczkę. Wszyscy kroczyli z pośpiechem, pokryci obfitym potem i pyłem.

Kto to są ci młodzieńcy?

Są to kawalerzy, kandydaci do stanu małżeńskiego, ubiegający się o rączkę czarnej piękności. Pośpiech ich łatwo można sobie wytłumaczyć tęsknotą do wybranej, lecz co mają z miłością wspólnego te toboły, które ciężarem swym chylą ich smukłe postaci aż ku ziemi? Zagadkę tę może tylko rozwiązać znajomość murzyńskich zwyczajów.

Afrykański kawaler musi poddać się innym praktykom aniżeli jego europejski kolega. W Europie starający się o rękę panny, wie zgóry, iż otrzyma za nią posag, zależnie od majątkowych stosunków jej rodziców. W Afryce sprawa przedstawia się wprost przeciwnie. Tutaj kawaler musi za swą przyszłą małżonkę zapłacić teściowi i nie wprawdzie wprowadzi ją do swego domu, dopóki nie uści ostatniego szelązka. A rzecz to nie tak łatwa, jakby się wydawało, bo należytość, czy to w postaci towarów, czy w postaci gotówki, jest wcale wysoka, zwłaszcza gdy dziewczyna pocho-

dzi z lepszej rodziny, z czarnej arystokracji, która i w Afryce tylko pod warunkiem sowitego wynagrodzenia, gotowa jest odstąpić od tradycji rodowych i zawrzeć mezaljans. Bulo-
wie płacą za żonę 30 do 50 kóz, Batangowie 500 do 600 zł., a córka naczelnika kosztuje 3000 zł., a nieraz i więcej.

Proszę sobie teraz wyobrazić jak ta suma wygląda w towarach, albo w inwentarzu żywym. To nieraz formalne stopy najrozmaitszych rzeczy. Jeśli kawaler pochodzi z odległych stron, ileż musi ponieść trudu, aby cały ten kram przewieźć do miejsca pobytu swej narzeczonej.

Oto rejestr rzeczy, jakich zazwyczaj średniej zamożności młodzieniec musi dostarczyć teściowi za swą przyszłą połowicę:

2 owce po 15 zł.	30 zł.	1 długi surdut	8 zł.
2 krzesła 6 "	12 "	1 ubranie	20 "
2 dzbanki 4 "	8 "	1 patelnia i garnek	8 "
4 but. wódki 3 "	12 "	1 bania nafty	9 "
2 koszule 2 "	4 "	2 fuzje	40 "
1 wielka skrzynia	8 "	2 kapelusze	4 "
2 koty	10 "	4 kawałki płótna	20 "
1 pies	6 "		

Powyższe pozycje wykazują 200 zł., rachunek jednak idzie znacznie wyżej, dopóki nie dorówna wysokości umówionej sumy.

Podziwiać należy niezwykłą pamięć, jaką odznaczają się murzyni, o ile chodzi o stwierdzenie dokładności w wypełnieniu zobowiązań ze strony zięcia. Starzec, który zapomnia dzisiaj o czym wczoraj mówił, na mózgu swym, niby na płycie gramofonowej, tak dokładnie wrył każdy szczegół umowy, iż przy odbiorze darów spostrzeże brak choćby drobnej szpilki.

Wesele następuje z reguły po załatwieniu kwestji finansowej. Pod tym względem nikt nie ma współczucia dla czarnego młodzieńca, a już najmniej teść, który wiedząc z doświadczenia, że po ślubie nie bardzo może liczyć na sumienność zięcia, kuje żelazo, póki gorące, twardo stojąc



Czarna mama z dziećmi.



Trzy czarne piękności.



Murzyńskie rodzeństwo.



Fryzury kobiet czarnych.

przy zawartej umowie. Nawet czarna narzeczona nie bierze w obronę swego oblubieńca, bo wysoka cena wyraźnie świadczy o jej wartości. Dlatego prędzejby się zgodziła na jej podwyższenie, aniżeli na małe bodaj ustępstwo, któreby ją poniżyło wobec droższych rówieśniczek. Posag składany przez narzeczonego jest nadto miarą miłości, z jaką odniesie się do niego oblubienica w pożyciu małżeńskim. Im wyższy posag tem gorętsza miłość.

Tak więc w rzeczywistości murzyni sprzedają swoje córki. Brzmi to wprawdzie dla naszych uszu dziwnie i twardo, a jednak zwyczaj ten bądź co bądź w świecie murzyńskim ma swoje uzasadnienie. Rodzice wychowali dziecko, łożyli na jego utrzymanie przez długie lata, a kiedy dziewczyna wyrosła, kiedyby mogli właśnie liczyć na jej pomoc w gospodarstwie, zabiera ją kto inny i kto inny odnosi z niej korzyść. Murzyni bynajmniej nie myślą rozstawać się z swem dzieckiem, u nas zaś odnosi się wrażenie, że rodzice darząc swą córkę posagiem, pragną jak najprędzej pozbyć się jej z domu... Gdy czarny kawaler szuka wyłącznie żony, to nasi kawalerowie dla miłości posagu wybaczą niejedną, nieraz bardzo smutną wadę swej narzeczonej.

Ujemną stroną małżeństw murzyńskich jest nieposzanowanie woli i uczuć kobiety. Bogaty może sobie nakupić żon wedle upodobania. Czy on jest młody, czy stary, czy uczciwy, czy despota, czy się dziewczynie podoba, o to nikt się nie pyta i takie względy nie wchodzą wcale w rachubę. Zapłacił dobrze za towar i ofiarował nawet więcej aniżeli jego rywal, więc teraz należy do niego i na tem koniec. Co gorsza handel taki odbywa się nieraz w czasie, kiedy dziewczę nie wyrosło jeszcze z lat dziecięctwa. Sprawę tę omawiałem już na innem miejscu, nie będę więc ponownie nad nią się rozwodził.

Kościół nie potępia zwyczaju nabywania żony za pomocą kupna i toleruje go jako w zasadzie słuszny, nie pozosta-

jący w niezgodzie z celem małżeństwa. Natomiast stanowczo wymaga, aby małżonkowie nie pobierali się bez obopólnej zgody i bez miłości. Szczególniejszą opieką otacza kobietę, jako stronę słabszą i zdaną na samowolę silniejszego mężczyzny. Obydwoje tak żona jak i mąż muszą jeszcze przed złożeniem ślubów małżeńskich dać zapewnienie, iż nie dopuszczą się bigamji, lecz będą żyć razem aż do śmierci.

Powyższy sposób nabywania żony, praktykowany przez czarnych ma nawet pewne dodatnie strony. Żonie pochlebia trud i wydatek jaki mąż dla niej poniósł i kocha go więcej, mąż zaś ceni żonę jako kosztowny mebel i nie tak łatwo z nią się rozłącza.

Murzynki same między sobą oceniają swą wyższość wysokością złożonego za nie posagu. „Ty nie jesteś warta ze mną rozmawiać” — woła jedna do drugiej w sąsiedzkiej kłótni. „Patrzcie, jaka mi pani — sixpence (50 groszówka). A cóż twój mąż za ciebie zapłacił? Za mnie dał 1000 zł. Ja jestem 2000 razy lepsza od ciebie”.

Należy podnieść, jeszcze, że kupno żony zmusza murzyna do pracy i do zebrania pewnego kapitału, inaczej stałby się jako stary kawaler przedmiotem pośmiewiska. Stosunki europejskie, zapewniające kandydatowi do stanu małżeńskiego żonę wraz z posagiem, byłyby dla murzyna prawdziwym nieszczęściem.

II.

MURZYŃSKIE WESELE.

Sprowadzenie narzeczonej. — Uczuciowość murzynów. — Orszak weselny. — Muzykanci weselni. — Tańce. — Uczta. — Prozaiczny koniec wesela. — Kłopoty weselne czarnego Macieja.

Obrzęd weselny rozpoczyna się sprowadzeniem narzeczonej do miejsca pobytu narzeczonego. Jak ongiś biblijny Eleazar przywiózł Rebekę z odległych krain do ojczyzny Izaaka, tak na polecenie czarnego nowożeńca jeden z starszych murzynów, zazwyczaj któryś z krewnych, wyrusza po oblubienicę. Niemasz w jego orszaku stada wielbłądów, objuczonych bogatemi darami w złocie i w srebrze, natomiast otacza go kilku młodzieńców, którzy przynoszą z sobą resztę należnego posagu dla rodziców panny młodej, a obecnością swoją przyczyniają się do podniesienia uroczystego nastroju chwili.

W domu narzeczonej ruch wielki. Licznemu gronu gości przewodniczy naczelnik wioski, jako patriarcha szczerpu. Do niego należy ścisły nadzór nad zachowaniem się dziewcząt, on przestrzega pilnie, aby narzeczeni nie pozostawali z sobą sam na sam. On ustanawia cenę kupna żony, wyznacza dzień ślubu, on żegna oblubienicę w imieniu rodziców i składa jej życzenia szczęśliwego z małżonkiem pożycia.

Murzyni są bardzo uczuciowi. Podobni do dzieci, jak one przywiązują się do siebie i boleśnie odczuwają rozłąkę. To też rozstaniu się panny młodej z rodzicami i krewnymi

towarzyszą bez końca takie jęki, płacze, narzekania, jakby ją mieli prowadzić na ścieście. Zbyt długo trwającym żalom kładzie kres zastępca nowożeńca. Na dany przez niego znak zabiera się młodzież do pakowania należących do narzeczonej rzeczy. Znoszą więc jej odzież, stroje, motyki w kształcie haków do kopania i uprawy roli a przedewszystkiem stępu do tłuczenia kasady i drewniany młynek do jej czyszczenia. Wszystko układają w blaszanych kuferkach, które lokują na głowach, poczem cały orszak wyrusza w drogę.

Narzeczonej towarzyszy starsza kobieta z krewnych, a także jej siostry i rówieśniczki. W miarę oddalania się od wioski ustępuje żaloszny nastrój ogólnej wesołości. Rozwiązują się języki i rozbrzmiewają wspólne piosenki o jednej i tej samej melodji. Jeden z murzynów improwizuje na temat zalet i cnót panny młodej, a pozostali potwierdzają prawdziwość jego pochwał nieodmiennym refrenem: „A-a-a, dobre serce ma panna młoda” — śpiewa przewodnik. „Ech-ech-ech. Tak to prawda, ech-ech-ech” odpowiada reszta. „A-a-a, pracowite ręce ma”. „Ech-ech-ech, tak to prawda i t. d. przyczem podskakują, klaskają w ręce i tak powoli zbliżają się do domostwa narzeczonego.

Tutaj dopiero rozpoczyna się właściwe wesele, w którym biorą udział wszyscy mieszkańcy wioski i starzy i młodzi, a nawet dzieci. Z tej właśnie przyczyny koszta zabawy, trwającej nieraz przez kilka dni, dochodzą do wcale poważnej sumy, zwłaszcza, że obfity stół, wedle pojęć murzynów, stanowi najważniejszą część każdej zabawy. Wprawdzie bogatsi krewni przynoszą nowożeńcowi w darze pewne artykuły żywności, lecz to wszystko jest drobnostką wobec zapasów, o jakie sam musi się postarać. A rzecz to dla niego nie tak łatwa: wszak niedawno wydał ostatni grosz na kupno żony. Wobec tego musi nieraz na parę miesięcy odłożyć akt weselny, aby się nieco zapomóc. Wiedząc, że zaostrome długiem czekaniem apetyty jego gości nie będą



Młode małżeństwo.



Czarni muzykanci.



Orkiestra wiejska.

zartować, gromadzi nieborak co może, pożycza, kradnie, poluje, aby tylko należycie wywiązać się z swego obowiązku.

Tymczasem kobiety pracują od rana do wieczora nad przyrządzaniem potraw, wnoszą się całe stosy kasady, bananów, makaby, ryżu, ryb, a u bogatszych można się spotkać z wędzonym, lub surowem mięsem. Nie brak też niestety, wprowadzonych przez Europejczyków delikatesów: jak tytoniu, wódki i innych trunków.

W cieniu rozłożystego drzewa zasiadają muzykanci. Gdy jedni z nich biją pałeczką, lub dłonią w potężne z pnia sporządzone bębny, ustawione na kozłach, to drudzy kładą przed sobą wydrążone kawałki drzewa, zaopatrzone stosownie do brzmienia, jakie powinny wydawać, w szersze, lub węższe otwory, po których zręcznie operując pałeczkami w takt melodji, czy tańca, wywołują mniej więcej chromatyczne gamy, oraz wściekle akordy. Główna rzecz, aby wzniecić jak największy harmider i hałas, to też blaszana puszka lub blaszany kuferek, gdy się przypadkiem znajdzie, jest bardzo pożądanym instrumentem w zespole murzyńskiej orkiestry.

Tańce rozpoczynają się wieczorem i trwają tak długo, jak długo świeci księżyc. Po pewnym czasie następuje wielce pożądana przez wszystkich przerwa, przeznaczona na poczęstunek gości. Przy pomocy kilku młodych przyjaciół pan młody osobiście wynosi z chaty przygotowane zapasy na środek placu, a starsze kobiety rozdzielają je sumiennie pomiędzy poszczególne rodziny. Wprost z niewiarogodną szybkością giną niezmierne ilości potraw w bezdennych zda się żołądkach. Zaiste murzyn ma dobre zęby, atoli z wszystkich organów, jakie posiada, jego organ trawienia odznacza się niedoścignioną dzielnością i wytrzymałością w pracy. Potrawy są tak mocno przyprawione pieprzem afrykańskim, daleko silniejszym od pieprzu, używanego w Europie, iż zaraz po obiedzie biegnie wszystka wiara do pobliskiej rzeki, aby

ugasić pragnienie. Wódkę otrzymują tylko ludzie znaczni urzędem lub wiekiem.

Po skończonej uczcie i po półgodzinnym odpoczynku, sprzyjającym należytemu trawieniu, znowu rozpoczyna się ochocza zabawa. Murzyn, o ile ma co jeść, hasałby w nie-skończoność, dlatego nieraz sam gospodarz domu, albo też jego przyjaciele, muszą używać fortelów, aby się pozbyć wesołych i beztroskich gości. Na drugi lub trzeci dzień nagle rozchodzi się bardzo smutna wieść, że zapasy wyczerpały się zupełnie.

Goście nie chcą wierzyć, a więc występują na widownię kobiety, jako najkompetentniejsze świadki. Według ich zapewnień wszystkiego było wbród, ale któż mógł się spodziewać, że znajdą się wśród biesiadników tacy, co będą jeść za dwóch, a nawet za trzech? Wobec takich argumentów jeden za drugim opuszcza miłe towarzystwo i wraca z żalem w sercu do domu. Tylko starsi długo jeszcze radzą i raczą się najsmaczniejszemi kąskami, które przeczornie ukryli przed gawiedzią.

Murzyn poganin, o ile bierze drugą lub trzecią żonę, za każdym razem musi wyprawić sute wesele. To też niejednen ze strachu przed wielkimi wydatkami, zadawała się mimo-woli tylko jedną połowicą.

Nawróceni murzyni zawierają śluby małżeńskie wedle chrześcijańskich zasad i zwyczajów. Narzeczoney bardzo na to uważa, aby pojął żonę bogobojną i cnotliwą.

Oblubienica, podobnie jak u nas, zakłada biały welon z wiankiem mirtowym, lub cytrynowym na głowę, oblubieniec zaś, o ile należy do lepszej sfery, zjawia się w wykwin-nej europejskiej odzieży.

Pamiętam jeszcze dzisiaj naszego misyjnego czarnego kucharza, Macieja, który wstępując w związek małżeński, sprowadził sobie z Lipska cały garnitur wraz w wszystkiemi akcesorjami. Nie zapomniał nawet o skarpetkach i to go właśnie zgubiło. W kościele już znajduje się przyszła jego

małżonka, drużki, goście weselni, nawet ksiądz i zakrystjan czekają przy ołtarzu a Macieja jak niema, tak niema. Zaniepokojeni uczestnicy obrzędu weselnego udają się na poszukiwania zaginionego i znajdują go w szpizarni, gdzie daremnie trzymał się nad wciągnięciem zbyt ciasnych skarpetek na szerokie stopy. Udało mi się przekonać go, że i bez skarpetek ślub będzie ważny. Cały obłany potem na skutek pośpiechu i emocji stanął przy boku uszczęśliwionej oblubienicy, ale bez skarpetek.

III.

NOWE GNIAZDO.

Sielanka Afrykańska.—Czarni budowniczy.—Nieudolność umysłowa murzynów.—Chata murzyńska.—Wpływ europejskiej kultury.

Podróże, jakie u nas po ślubie odbywają młodzi małżonkowie, nietylko są nieznanne murzynom, ale wprost zbytuczne, zwłaszcza dla nowożeńca, który dość się nabiegał i napodróżował, zanim połączył się węzłem dozgonnym z wybraną oblubienicą. Teraz słusznie należy mu się wypoczynek. To też siedzi w domu i cieszy się z dzieła dokonanego niemałym nakładem trudu i wydatków.

Murzyn też nie zakłada zaraz po ślubie własnego gniazda rodzinnego. Pod tym względem urządza się bardzo wygodnie. Podobnie jak kukułka, korzystając z uprzejmości innych ptaszków, umieszcza swe potomstwo w ich gniazdach, tak i czarny nowożeniec nie wprowadza małżonki do swego domu, bo go nie posiada, lecz do domu swych rodziców, którzy nader życzliwie przyjmują swą synową, otaczają ją opieką i miłością, jakby swe rodzone dziecko. Wtedy dla młodych nastają prawdziwie miodowe miesiące, nie znają żadnych kłopotów ani braków, bo o wszystko stara się dla nich mamusia. Od czasu do czasu wychodzi synowa z koszykiem i łopatą wraz z świekrą do pracy w polu, a zresztą gospodaruje z nią w domu, jak to czyniła pod okiem własnej macierzy.

Okolo pół roku trwa taka sielanka, aż wreszcie kończy

się to miłe dolce far niente i młody musi zabrać się do budowy własnego domu.

Dla murzyna jest to zadanie ponad siły — „ehado enene” — ciężka praca — jak sam powiada. A więc szuka sobie wśród życzliwych przyjaciół pomocników, którzy mu będą służyć czynem i radą. Ale wobec braku pojęcia o wartości czasu, wobec wrodzonego lenistwa, jakie cechuje czarnych mieszkańców Afryki, upływają nieraz nietylko miesiące, ale czasem nawet i lata, zanim nowożeniec osiedzi na własnym gospodarstwie.

Przedewszystkiem trzeba znaleźć odpowiednie miejsce pod budowę chaty. Chociaż ziemi niezajętej jest pod dostatkiem, to jednak naradom niema końca. Plac trzeba oczyścić, wyrównać, wysypać piaskiem, trzeba pójść do lasu po materiały budowlane. Wśród tych zajęć tak pracodawca jak i jego towarzysze raz po raz odpoczywają i pokrzepiają się wódką, bo bez tego budowa nie posunęłaby się o krok naprzód. Wódka umacnia odwagę obydwu stron i zyskuje przychylność przyjaciół.

Pomimo to zdarzają się nieraz długie przerwy. To jeden z pomocników zachoruje, to drugi musi odwiedzić swych krewnych, tamten znowu ma nadzwyczaj pilny interes do załatwienia w sąsiedniej wiosce. Największą jednak przeszkodą w postępie budowy jest nieudolność umysłowa czarnych. Murzyn nigdy nie obliczy naprzód ile będzie musiał zużyć materiału na budowę swego domostwa. Idzie do lasu, tnie drzewo za drzewem i wyrabia z niego bez żadnego rachunku słupy i belki. Dopiero przy zestawieniu części spostrzega poważne braki. Spieszy więc znowu do lasu, znowu rąbie i znosi po to, aby na miejscu się przekonać, iż tę samą pracę będzie musiał wykonać po raz trzeci, a nieraz i po raz czwarty.

Bywa, że dom jest niemal gotowy. Ale cóż, budowniczy zapomniiał o pnączach, któremi się wiąże rusztowanie dachu. Budowa przerwana na czas dłuższy, bo pnącze trzeba

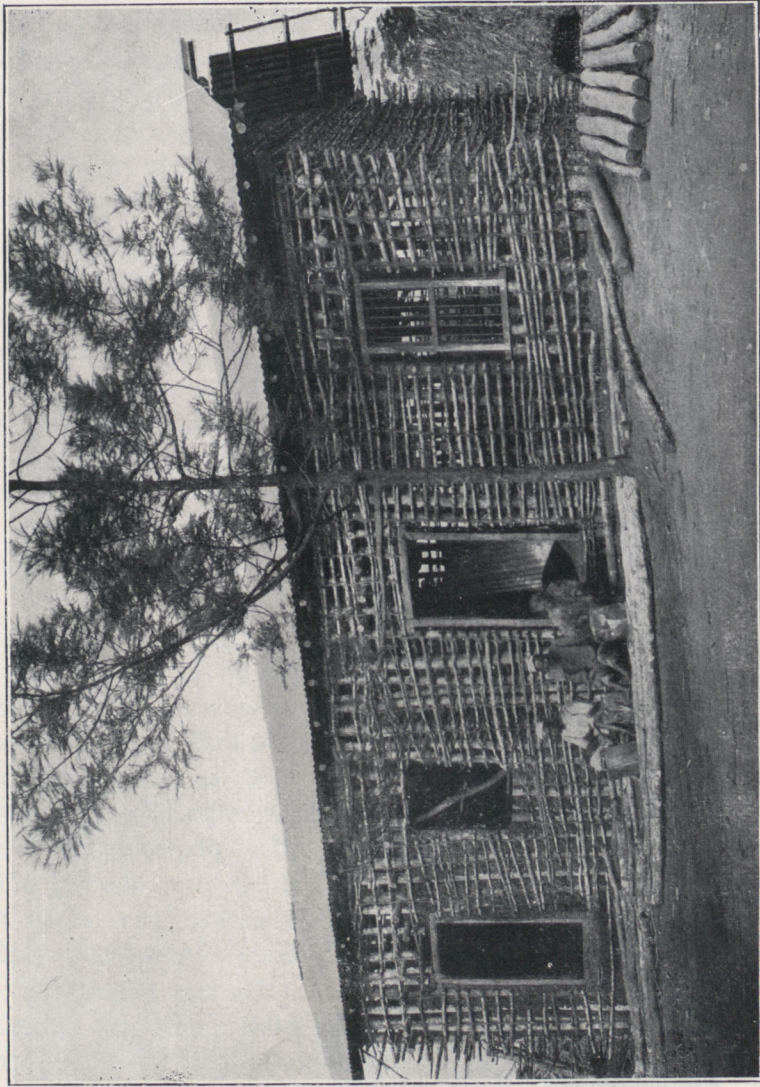
nieraz po kilka razy przynosić. Tomasz Mukenge, kowal z zawodu, jeden z najzdolniejszych w swem rzemiośle na całym wybrzeżu, postanowił pobudować dla siebie dom na sposób europejski. Po długich namysłach przystąpił wreszcie do dzieła. Murarze wyprowadzili już mury pod dach, stolarze zaopatrzyli je w drzwi i okna. Mukenge dopiero wtedy zauważył, iż jego kasa świeci pustką. Oczywiście robota stanęła w miejscu. Niebawem rozpoczęła się pora deszczowa, krzaki i trawy pięknie pokryły plac budowlany, cegła kruszyła się z powodu wilgoci, a żarłoczne mrówki toczyły w najlepsze wyroby ciesielskie i stolarskie.

Przez cały rok składał Mukenge grosz do grosza, a gdy przystąpił do dalszej budowy, spostrzegł z przerażeniem, iż zebrane fundusze starczą zaledwie na poprawę zniszczonych ścian, belek i okien. Znowu budowę odłożył na rok drugi. Opuszczał Kamerun, a Mukenge jeszcze budował i kto wie, czy do dnia dzisiejszego zdołał wprowadzić się do upragnionej willi.

Na nic się nie zda zachęcać czarnych do rozumnego mierzenia sił na zamiary. Na wszystkie przedstawienia mają jedną stereotypową odpowiedź: „Wam łatwo budować, bo posługujecie się książkami, w których znajdujecie potrzebne wskazówki — my tego nie mamy.

Przejętna chata murzyńska przedstawia się nieźle. Chociaż pod względem wysokości wiele pozostawia do życzenia, to jednak jej wnętrze jest dość obszerne, bo nie posiada oddzielnych ubikacji, ani sufitu, lecz całe wolne jest aż do dachu. Tylko zamożniejsi dzielą chatę na dwa lub trzy pokoiki odgródzone ścianami sporządzonymi z kory drzewnej lub trzciny bambusowej.

Nasi misjonarze w początkach swej działalności mieszkali także w takich chatach, a i teraz, ilekroć im wypadnie dłuższa wycieczka duszpasterska, w nich szukają schronienia i noclegu. Chaty murzyńskie posiadają przedewszystkiem tę zaletę, iż są suche, co więcej, zaopatrzone w dach



Budowa lepszej chaty murzyńskiej.



Dom głównego naczelnika szczeplu Jaunde.

utkany z liści palmowych, użyczają daleko więcej chłodu niż domy europejskie pokryte blachą lub dachówką. Do tego przyczynia się w niemałej mierze brak okien a mimo to mieszkańcy nie siedzą w ciemnościach, bo światło dzienne, przedzierając się przez szpary w ścianach, dostatecznie oświeca wnętrze.

Z biegiem czasu murzyni coraz więcej budują się na sposób europejski. W takich domach obszerna sień przedziela cały dom na dwie części, a po jej obydwóch stronach znajdują się pokoje, zaopatrzone w okna i sprzęty domowe: jak stoły, krzesła, łóżka, a nawet lustra. Katolickie rodziny zawieszają na ścianach krzyż i obrazy świętych. Do dobrego tonu należy umieszczanie fotografii członków rodziny i znajomych. W tym celu fotograf z Lagos objeżdża co roku całe pobraże i zdejmuje podobizny swych ziomków w najrozmaitszych pozach, oczywiście za dobrą opłatą.

Niemałą dumą napętnia murzyna piękne pomieszkanie, przechwala się z niego i chętnie pokazuje obcym. Naczelnicy szczepów nie żałują olbrzymich, jak na tamtejsze stosunki sum na budowę wygodnych obszernych domów. Naprzykład czarny King Bell posiada w Duala pałac, którego wartość szacowano na 300 tysięcy zł., w wielkiej Batandze naczelnik Bobala zajmował bogato i gustownie na wzór europejski, umeblowaną willę. Kobiety posiadają osobno dla siebie pobudowane chaty. Im więcej murzyn posiada żon, tem więcej chat otacza wieńcem jego pomieszkanie. Pogańscy naczelnicy plemion wnoszą z nich całe wioski.

Urządzenie pierwotnych chat murzyńskich przedstawia się nader skromnie. Kilka pryczy przysuniętych do ściany, spoczywających na bambusowych 30 cm. wysokich palikach, kilka klocków drzewa lub skrzyni, zastępujących stół i krzesła, stępa do tłuczenia kasady, oto całe umeblowanie. Inne sprzęty, jak szafy, stoły i stołki, o ile znajdują się w chacie murzyńskiej, wprowadzono niedawno pod wpływem europejskiej kultury.

IV.

CZARNA GOSPODYNI.

*Anormalne stosunki.—Dwużeństwo.—Spory małżeńskie.
Gościnność murzyńska. — Pracowitość i sumiennosc
czarnej gospodyni.*

Gdy młodzi małżonkowie spodziewają się potomka, żona opuszcza męża i udaje się do własnych rodziców. Tam nowy obywatel ogląda po raz pierwszy światło dzienne, a „wielka matka” jak nazywają murzyni babkę — rodzoną matkę nazywają „małą matką” — opiekuje się dziećciem w pierwszym okresie jego życia.

Łatwo zrozumieć, że taka rozłąka pozbawia gospodarstwo właściwego kierownictwa, rozluźnia, a nawet nieraz zupełnie rozrywa węzeł małżeński. Żona bowiem pozostaje u rodziców dopóki karmi dziecko.

Przyczynę tych anormalnych stosunków należy przypisać trudności pielęgnowania niemowlęcia. U murzynów wyżywienie dziecka zupełnie zawisło od matki, bo dziecko nie zna innego pożywienia poza macierzyńską piersią. Matka karmi w ten sposób niemowlę przez dwa lata, a gdy jest słabe, to nawet i dłużej. Stąd pochodzi zwyczaj, że żona opuszcza męża na tak długo, dopóki jej pociecha nie stanie się zdolna do przyjmowania solidniejszej strawy. Tymczasem mąż bierze sobie drugą żonę. Gdy się jednak murzynowi wytłumaczy, że dziecko może się odżywiać innem mlekiem, chętnie porzuca pogański zwyczaj i zadowala się jedną żoną.

W tym celu zaczęliśmy dostarczać rodzicom murzyńskim kondensowane mleko w puszkach, przystąpiliśmy też, z rozwojem rolnego gospodarstwa do aklimatyzacji europejskich zwierząt domowych, sprowadzaliśmy krowy, a hodowlę kóz, jedynych zwierząt, jakie w skromnej liczbie utrzymują tubylcy, otoczyliśmy racjonalną opieką.

Powoli przekonano się o dobrych wynikach tego sposobu odżywiania; zwyczaj opuszczania męża przez żonę coraz bardziej zanikał, umacniała się spójność rodziny, a z biegiem czasu wypadki dwużeństwa ustąpiły z domów chrześcijańskich.

W pożyciu wspólnem są murzyni dziećmi, drobne nieporozumienia, jakie zresztą zdarzają się wszędzie, likwiduje ich prostoduszne usposobienie, sprawy zaś ważniejsze bywają wytaczane przed forum misjonarza. Z owych sporów małżeńskich przynajmniej dwie trzecie wywołał oczywiście mąż. Aby tego dowieść miesza się do sporu nieraz teściowa, a gdy zauważą obie: i żona i teściowa, iż ksiądz z niedowierzaniem słucha ich żalów, przyprowadzają na pomoc nowe posiłki w postaci kobiet z najbliższego pokrewieństwa. Rzecz dziwna — mąż traci w takich chwilach pewność siebie i nie znajduje nawet kilku słów na swą obronę. Zato niewiasta trzepie językiem jak pytlem i umie przedstawić w najczarniejszych barwach przewinienia męża. Pogaństwo odmawiało kobiecie wszelkich praw. Teraz, gdy przyjęcie wiary chrześcijańskiej zrównało ją z mężem, ona stara się powetować swe dawniejsze upośledzenie i z zadziwiającą zręcznością opanowuje pole walki.

Najlepiej wysłuchać obydwie strony cierpliwie, nie przerywając wylewu ich żalów. Mąż pierwszy zabiera głos, po nim przemawia żona. Po wydaniu wyroku, od którego nie ma odwołania, obydwójce wracają do domu w najlepszej komitywie.

Murzyni odznaczają się gościnnością i przychylnością zwłaszcza dla osób należących do tego samego szczepu. To

też nikt nie troszczy się w podróży, gdzie będzie nocował, lub co będzie jadł, bo wszyscy są między sobą braćmi. Wędrowiec wstępuje bez ceremonji do pierwszej lepszej chaty napotkanej, wraz z domownikami spożywa dary Boże, poczem uклада się do snu albo na deskach, albo na ziemi, w pobliżu ognia.

Głęboko zakorzeniona miłość rodzinna w sercu murzyna nie pozwala mu też długo pozostawać poza domem. Rzadko przebywa on dłużej niż rok u obcych, a przez ten krótki czas pozostaje z swoimi w ciągłym kontakcie. Tęsknota za rodzinną strzechą rychło sprowadza go do ojczyznoego kraju, bo musi, jak powiada, ujrzeć swoją town (wioskę) i zobaczyć się z swoimi braćmi. Ilekroć któryś z misjonarzy udawał się do Europy celem poratowania zdrowia, wystarczyło powiedzieć czarnym, że i on chce zobaczyć własną town, aby najzupełniej zrozumieli konieczność jego wyjazdu.

Są osoby, które w bliższem pożyciu wiele tracą z swego uroku. Kobieta murzyńska natomiast zyskuje bardzo w naszych oczach, gdy się z nią lepiej zapoznamy, bo murzynka wypełnia swe obowiązki z niezwykłą sumiennością. Przyzwyczajona od młodości do pracy, krząta się przez cały dzień bez wytchnienia. Obarczona dzieckiem spieszy równo z wschodem słońca z kotlesem do oddalonej nieraz aż godzinę drogi fermy. Tam piele, sady, gromadzi drzewo na opał, wykopuje podobne do naszych ziemniaków bulwy z pod olbrzymich krzewów kasady i czyści je. Dopiero około południa powraca do domu obładowana ciężkimi tobołami, gdzie natychmiast przystępuje do przygotowania obiadu. A musi się spieszyć, boć posiłek to najważniejsza rzecz w życiu murzyna. Wszelką niedokładność pod tym względem musi nieraz ciężko odpokutować. Pewnego razu murzynka, nazwiskiem Dibna, przyszła do mnie z skargą na swego dziesięcioletniego syna Maruna, ucznia szkoły misyjnej, który na spółkę z tatusiem znieważył ją czynnie. Chłopiec oczywiście został odpowiednio ukarany, przyczem okazało



Czarne gosposie.



Wiktuały na targu murzyńskim.



Krzewy makabowe.

się iż właściwą, a dla murzynów zupełnie zrozumiałą i dostateczną przyczyną pobicia matki, był w niewłaściwym czasie przyrządzony obiad.

Tak to trzodzi się czarna kobieta. Do niej należy jeszcze karmienie i wychowanie dzieci, utrzymanie porządku w chacie, rozpalanie i utrzymywanie ognia, gotowanie, łatanie i szycie. Chociaż niewiele pozostaje jej wolnego czasu, mimo to zawsze jest dobrej myśli, zawsze wesół, zawsze życzliwym uśmiechem odpowie na pozdrowienie. Im bliżej poznałem murzyńskie niewiasty, tem z większym odnosiłem się do nich szacunkiem i nie rozumiem, dlaczego niektórzy podróżnicy afrykańscy w pismach swych tak nieraz niepochlebnie o nich się wyrażają.

Jakże inaczej urządzają sobie życie mężczyźni. Ci ludzie są prawdziwymi trutniami. W Europie wymaga się od młodzieńca, wstępującego w związki małżeńskie, takiego stanowiska, lub majątku, iżby z dochodów swych utrzymał na odpowiedniej stopie rodzinę. W Afryce stosunki pod tym względem przedstawiają się zupełnie odwrotnie. Tam nie mąż, ale żona utrzymuje cały dom, wyrównując w ten sposób tę nędzną sumę pieniędzy, za jaką sprzedali ją rodzice. Im więcej murzyn posiada kobiet, tem lepiej zabezpiecza sobie pewność słodkiego próżnowania. To też ta żona doznaje największej miłości od męża, która najlepiej koło niego chodzi. Naczelnik w Wielkiej Batandze posiadał pięć żon, które po kolei zmieniając się codziennie, gotowały mu potrawy i usługiwały.

V.

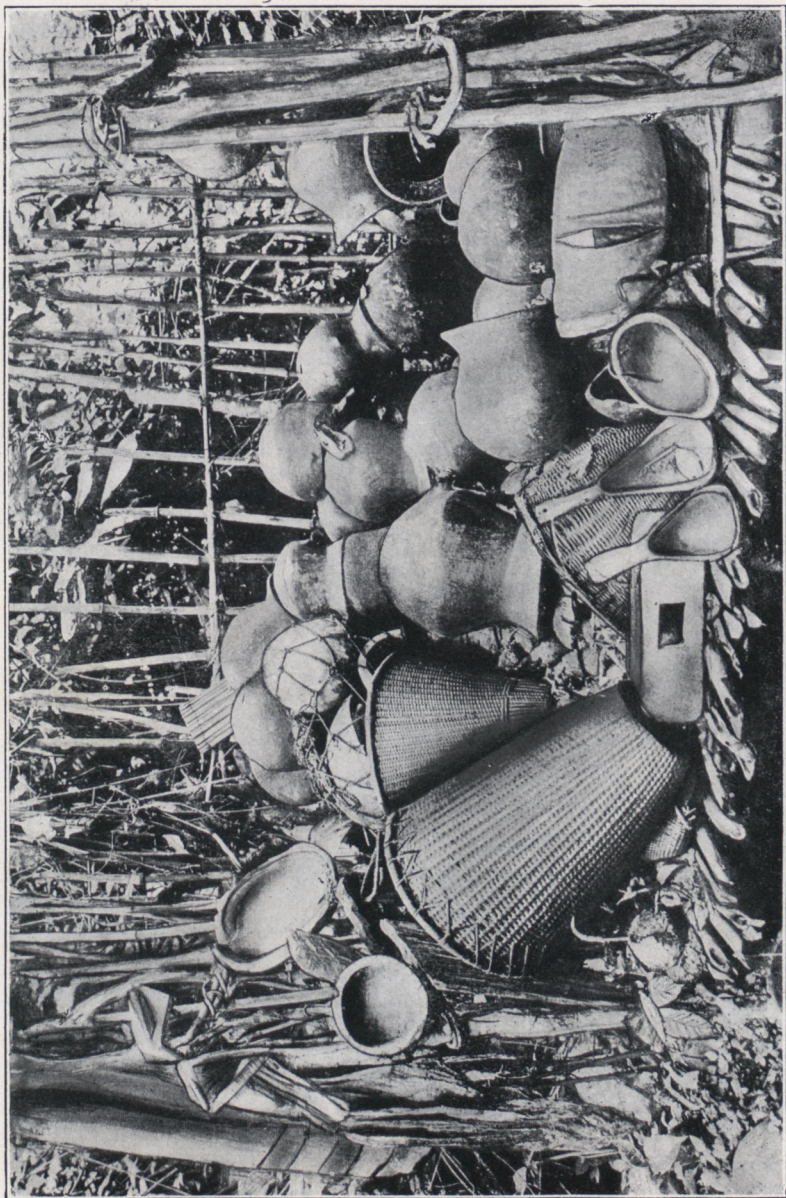
KUCHNIA MURZYŃSKA.

Złożenie wizyty kominem. — Kielbaski kasadowe. — Smażone ryby. — Afrykańskie ziemniaki. — Różne delikatesy.

Kuchnia murzyńska to nie sanktuarjum europejskiej gospodi, do którego nie wolno zaglądnąć nawet samemu panu domu bez narażenia się na bolesne nieraz niespodzianki — kuchnia murzyńska dostępna jest dla każdego. Trzeba tylko wybrać odpowiednią porę, bo czarne niewiasty urzędują zaledwie dwa razy w tygodniu. W tym czasie muszą przysposobić tyle potraw, aby ich starczyło na kilka dni dla całego domu. Właśnie dzisiejszy dzień sobotni, jako dzień generalnych zabiegów kulinarnych, zgromadził wszystkie pracownice około ogniska.

Proszę tedy szanownych czytelników, a przedewszystkiem szanowne czytelniczki, aby, korzystając z sposobności, zwiedziły wraz ze mną pierwszą lepszą chatę celem zaznajomienia się z potrawami murzyńskimi i ze sposobami ich przyrządzenia.

Z góry przepraszam za pewne przykrości, jakie nas przy tem spotkają, nie z powodu niegościnności mieszkańców, lecz z powodu uciążliwego dostępu do wnętrza chaty. Nie znajdziemy tam ani murowanej, ani żelaznej kuchni, ognisko płonie na ziemi, a dym dla braku komina ściele się po izbie i uchodzi drzwiami, bo murzyni nie znają nawet okien. Pamiętajmy, iż znajdujemy się w Afryce, to też nie ma innej rady, jak zastosować się do tutejszych warunków życiowych i zwyczajów. Wstrzymajmy więc oddech, przym-



Naczynia kuchenne.



Podział mięsa upolowanego hipopotama.

knijmy powieki i rzućmy się odważnie w tę ciemną, imitującą drzwi, czeluść, z której buchają kłęby gryzącego dymu. Raz! Dwa! Trzy! I oto w jednej chwili jesteśmy u celu.

Liczne palawry, jakie odbywałem z czarnymi gospościami, pouczyły mnie gdzie i jak szukać najodpowiedniejszego miejsca. Należy pochylić się dobrze i przybliżyć się do ogniska. Bije wprawdzie od niego nieznośne gorąco, lecz za to dym unosi się nad nami, niby czarny baldachim i nie wyciska łez z oczu i nie zmusza do kaszlu. Tu stoi skrzynia, a obok sterczy pień. Siadajmy.

W miarę, jak wzrok przyzwyczaja się do panującego mroku, rozróżniamy ubogie i nieliczne przybory kuchenne, widzimy pełzające po ziemi większe i mniejsze murzyniątko i rozpoznajemy w krzątających się niewiastach dawne nasze znajome panią domu, Njangelę (córkę djabła) i jej synową Niopinę (cytrynę). Obydwie zgodnie i z zapalem pracują około przyrządzenia potraw.

Główną potrawą czarnych, niejako chlebem powszednim, jest kasada, inaczej manjok. Krzew kasady o bulwiastych korzeniach urasta do dwóch metrów wysokości. Nie-dojrzałe bulwy mają smak słodkawy i mdły, dojrzałe zaś wydzielają mleczny, gorzki sok, który należy usunąć, aby się stały zdolne do użytku. W tym celu moczy się je przez dłuższy czas w wodzie, albo zakopuje do bagnistej ziemi. Nieprzyjemny zapach, wywołany fermentacją owoców kasady, jest tak silny, iż dech zapiera. Tak spreparowane bulwy dają się z łatwością obrać z łupiny i dopiero wtedy mogą służyć za pokarm. Czarne gospoście przyrządzają je w różny sposób, albo krają w plasterki i zaprawiają olejem palmowym, albo roztarte na miazgę przerabiają na ciasto, zawijają w świeże nieco nad ogniem przysuszone liście bananowe na kształt kielbasek, które obwiązują nitką i długo gotują, aby je uwolnić od nieprzyjemnej woni. Mimo tych zabiegów kasada nie traci zupełnie wstrętnego zapachu, a kielbaski kasadowe są twarde i łykowate. Murzyni zjadają je wprawdzie z apetytem, nawet małe murzyniątko

potrafią spożyć kilka na raz, bez żadnej szkody dla zdrowia, natomiast u Europejczyka potrawa ta wywołuje zazwyczaj ciężką niestrawność.

Oprócz kasady spożywają jeszcze murzyni plantę czyli banany i makabo. Owoce bananów, z którymi spotykamy się na rynkach europejskich, wydaje roślina podobna do kukurydzy, tylko że liście posiada większe i czarne. Murzyni sadzą ją około chat w równych odstępach. Banan plonuje tylko raz, dlatego też jego łodygi po zbiorze owoców zcinają i usuwają z pola.

Makabo przypomina nasze pocziwe buraki albo brukiew. Czarni krają ją na kawałki, gotują i zaprawiają afrykańskim pieprzem. Makabo usmażona w maśle zastępuje wcale dobrze ziemniaki.

Murzyni spożywają dary Boże zwykle dwa razy na dzień, rano i około 4-ej godziny po południu. Ponieważ każdy czarny obywatel, czy obywatelka sumienne wypełnienie żołądka uważa za najświętszy obowiązek, możemy sobie wyobrazić, jak skrzętna Njangel i Niopina muszą pracować, aby dla całej, nieraz bardzo licznej, rodziny przysposobić na kilka dni pożywienie.

Czarni spożywają posiłek zazwyczaj w drzwiach chaty. Kobiety przynoszą na liściach makabo i układają na ziemi. Obok stawiają naczynie z zupą z palmowego oleju, a przy nim kilka tuzinów kielbasek kasady. Wkrótce zjawiają się wszyscy domownicy, zasiadają wokoło i powoli z powagą, jaka przystoi ludziom, rozumiejącym doniosłość chwili, spożywają dary Boże. Lewą ręką biorą makabo, prawą kasadę, maczają w zupie i pakują na raz do ust. Noże, widelce, łyżki i wszystkie inne przybory, należące do całości zastawy stołowej, są tutaj zupełnie nieznanne. Na cóż ma murzyn ręce uzbrojone w pięć palców, czy nie na to, aby nimi posługiwał się przy jedzeniu?

W zamożniejszych rodzinach spotykamy większą obfitość i różnorodność potraw. Poza kasadą i makabo używają ryb, wyłowionych w pobliskiej rzece lub w morzu, a w świę-

ta można zobaczyć u nich ryż i srokisza, specjały nabyte w sklepie europejskiego kupca.

Ale na tem nie kończy się menu afrykańskiej kuchni. Żołądek murzyna znosi pożywki, które dla organizmu białych byłyby wprost zabójcze. Wprawdzie więcej oświecona ludność wybrzeża uważa na pewną przyzwoitość w doborze potraw, atoli w głębi lądu, co pod ręką, to nieprzyjaciel. A więc robaki, gąsienice, jaszczurki, węże, myszy, szczury, koty ugotowane w kotle stanowią bardzo pożądane obiady. Dzicy z małymi wyjątkami jedzą wszystko, co lata w powietrzu, co pływa w wodzie, co pełza po ziemi.

Mięso słonia lub hipopotama, chociaż twarde i łykowane, uważane jest za najlepszy przysmak, to też wielką radość wywołuje pośród czarnych ubicie tych zwierząt. Myśliwy, który dokonał tego dzieła, doznaje od swych ziomeków głębokiego szacunku i staje się, podobnie jak Herakles u Greków, postacią legendarną. Biały o ile podarował czarnym mięso upolowanego słonia, zyskuje sobie serca całego szczepu.

VI.

CZARNY OBYWATEL.

Murzyński palawer.—Czarny orator.—Wymowa murzyńska.—Palawry prywatne i urzędowe.—Dyskusja czarnych radców.—Kwestja żółdkowa.

W godzinach popołudniowych, gdy słońce już dobrze nachyliło się ku zachodowi, widywałem często po wioskach murzyńskich w cieniu rozłożystych drzew większe lub mniejsze grupy mężczyzn. Podobni do posążków, wykutych z czarnego marmuru, siedzieli w gajku palmowym albo na brzegu morza na piętach z wysuniętymi kolanami pod brodę przez kilka godzin bez żadnego oparcia. Był to dziwny i śmieszny widok przypominający nieme obrady polarnych pingwinów. Zadawałem sobie nieraz pytanie, co oni tam robią? Czy zachwycają się pięknnością oceanu, czy przypatrują się igraszkom ryb, a może obserwują żaby, wychylające raz po raz głowy z trzęsawiska? Jakże krzywdziłem tych ludzi, posądzając ich o tak małostkowe upodobania! Rozgrywały się tam daleko ważniejsze sprawy, jak mnie objaśnił nasz czarny sługa misyjny. — „Minisse” — rzekł — „the-by newspaper”, — to gazeta codzienna. Tam, jak się dowiedziałem, omawiają najważniejsze zagadnienia z zakresu polityki i ekonomji społecznej całego świata, tam zastanawiają się nad dobrem publicznem wioski, tam wreszcie rozstrzygają sprawy sporne między mieszkańcami, wydają wyroki i nakładają na winowajców kary. Krótko mówiąc jest to murzyński palawer, zgromadzenie, wiec, coś na kształt grec-

kich „agora pletuza“ albo rzyskich „forum“, tylko rzeczywiście w skromniejszych ramach.

Pierwotnie palawer opierał się na ustroju tak głęboko demokratycznym, iż każdy mieszkaniec wioski płci męskiej brał czynny udział w obradach. Później z nastaniem rządów europejskich liczba członków znacznie się zmniejszyła. Urzędnicy państwowi widząc tłumy próżnujących rajców bez względu na ich zdolności prawnicze czy administracyjne, zaprzęgali jednego po drugim do robót publicznych lub do posług domowych. Obecny palawer jest instytucją czysto plutokratyczną. Członkowie jego muszą posiadać własną chatę i żonę. Od wysokości majątku zależy też większe lub mniejsze znaczenie w radzie.

O czym ci ludzie rozprawiają? Przedmiot obrad jest wprost niewyczerpany. Najwięcej materiału dostarczają oczywiście kobiety. — „Ewery time wooman palawer“ — wzdycha naczelnik wioski. Jedna z nich porzuciła samowolnie prawowitego małżonka, aby uszczęśliwić innego, który nie zapłacił za nią nawet jednej kury, inna nie przyrzadziła na czas objadu, tamta lekceważy sobie rozkazy męża, te zaś pobiły się tak szczerze, iż do tej pory nie mogą bez odrazy patrzeć na siebie. Spraw takich nie można traktować powierzchownie, tego domaga się opinia publiczna no i sprawiedliwość. Pozatem palawerują o kozach, o psach, o nożach, o chustkach, o mimbo, o wódce, o padlinie słonia przyniesionej prądem rzeki, do której roszczą sobie prawo wszyscy mieszkańcy nadbrzeżnych osad. Jedni dlatego, iż przepłynęła przez ich rejon, inni, iż ją pierwsi zauważyli, a inni znów, iż ją z mozołem wyciągnęli z wody. Palawerują całą godzinami dotąd, dopóki żołądek nie pocznie upominać się o swoje prawa.

Pozatem sprawują sądownictwo w mniej ważnych sprawach publicznej natury, które im rząd kolonialny, licząc się z pierwotnymi zwyczajami prawnymi, przydzielił. Czarni tak pilnie i z taką drobiazgowością wykonywują poruczone

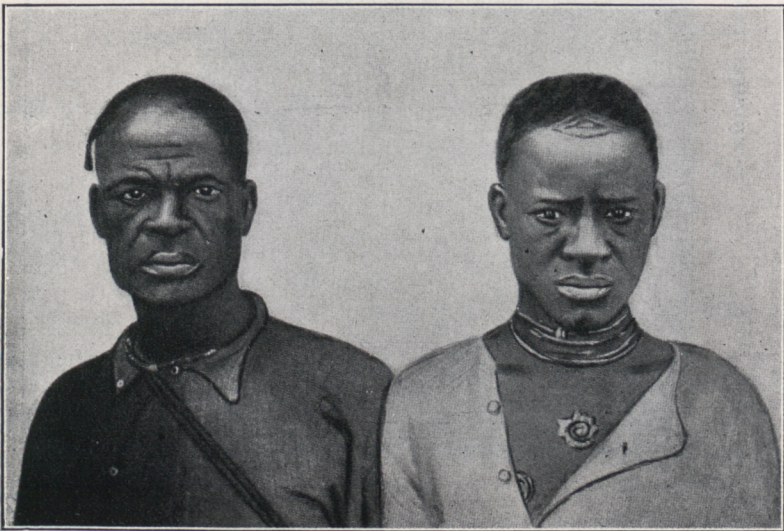
im obowiązki, iż naczelnik i jego doradcy mają zaledwie kilka dni wolnych w roku.

Gdy dla Europejczyka palawer przedstawia się jako nudna i czcza gadanina, to dla czarnych stanowi pożądaną sposobność popisania się przed audytorjum oratorskimi zdolnościami. Nje nadarmo sama natura uwydatniła grubemi, mięsistemi wargami ich usta. Murzyn potrafi nietylko jeść, ale i przemawiać w czem niemałe usługi oddaje mu niezwykła pamięć.

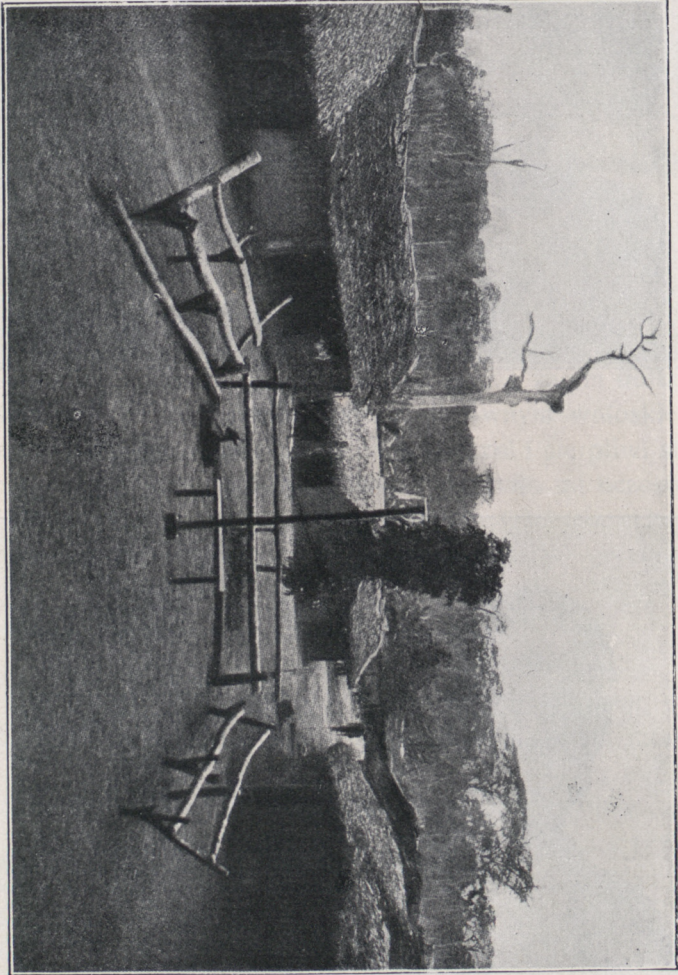
Czarny orator trzyma się ściśle klasycznych zasad retoryki. Przemowę zaopatruje wstępem, w którym podnosi zazwyczaj zalety swych przodków i daje przytem lekko do zrozumienia, że on ich o całe niebo pod każdym względem przewyższa. Czasami mówi godzinę i dłużej, zanim dotknie właściwego tematu. Rzecz kończy stosownym wnioskiem. Każde niemal jego zdanie aprobują wdzięczni i cierpliwi słuchacze żywym potakiwaniem. Ilekroć przyszło mi uczestniczyć w obradach, tyle razy błagałem szanownych rajców, aby myśli swe wypowiedali treściwie i krótko. Wszyscy przyznawali mi rację, a na znak zgody kiwali przychylnie głowami.

Palawer otwarty.

Powstaje jeden z uczestników, najstarszy wiekiem, obciera pot z czoła i rozpoczyna mówić. Ach jak on mówi! Raz wyrzuca słowa jakby od niechcienia, to znowu nadaje im formę uroczystą, raz głos zniża aż do szeptu, to znowu podnosi go do potęgi trąby sądu ostatecznego. To artysta-orator. Przedewszystkiem zaznacza, iż stoi na tem samym stanowisku, co misjonarz, który poza palawerem ma jeszcze wiele innych spraw do załatwiania. On dobrze zna obowiązki misjonarza, liczne modlitwy, wertowanie książek (zapewnie ma na myśli odmawianie brewjarza), nauczanie dzieci, nabożeństwa, kazania, wycieczki misyjne. Dlatego też związłem przedstawieniem sprawy da obecnym wzór jak na palawerze należy przemawiać, aby nie zabierać misjona-



Czarni obywatele.



Plac dla publicznych palawrów.

rzowi drogiego czasu. Ten sam wzgląd skłania go do wyznaczenia zgóry mówców za i przeciw. Oprócz niego będą tylko przemawiać jego brat, potem naczelnik wioski, no i brat naczelnika, z przeciwnej strony dwóch poważnych obywateli, których z całym szacunkiem wymienia po nazwisku.

Tutaj zmienia orator sposób przemówienia i przedstawia słuchaczom swe myśli w formie pytania, na które oni jednogłośnie odpowiadają — „ech nata”, co znaczy, tak jest rzeczywiście.

— „Znaliście wszyscy mego pradziada?”

— „Tak znaliśmy go” — rozlega się ze zdrowych piersi potężna jak grzmot odpowiedź.

— „On miał ośm żon”.

— „Ech nata”.

— „Za wszystkie zapłacił gotówką. Oprócz tego dał za nie wiele towarów, owiec, kóz, broni, prochu”.

— „Ech nata”.

— Przypomnijcie sobie jeszcze mego dziada. Wszak to on walczył na wojnie jak lew. To nie kto inny, lecz on zabił pięciu wrogów”.

— „Ech nata”.

— Czy on nie posiadał również wiele żon? Więcej niż którykolwiek z was, a za wszystkie uiścił należytość co do grosza.

— „Tak jest, to prawda”.

Podobnie jak pradziad i dziad tak i ojciec mój cieszył się wielką liczbą żon, nabytych za dobrą zapłatę.

— „A czy wiecie ile ja mam żon?” — zapytuje obecnych i nie czekając na odpowiedź, ciągnie dalej.

— „Mógłbym ich mieć dwadzieścia i więcej, gdybym tylko chciał. Moc towarów leży w mym domu, żelazo, kość słoniowa, materje, bydło. Kto z was policzył moje kozy, moje kury i kaczki? Mimo to jednak posiadam tylko trzy żony. Dlaczego? Nie dla braku kapitału, ale dla miłości minisse (misjonarza), który mając me własne dobro na oku odradził

mi obarczać się większą ilością niewiast. To niezdrowo. Epitę kupiłem za 600 marek, wyplaconych kozami, za Nganę dałem dwa karabiny, beczkę prochu, dwieście kawalków żelaza, dwadzieścia owiec. Eputa kosztowała mnie tyle towarów, że nawet dzisiaj już nie potrafię zliczyć”.

Pośród obecnych żywe oznaki podziwu i zachwytu.

— „I dobrze zrobiłem, iż poszedłem za zdaniem ministra” — mówiąc to zwraca się ku mnie i składa głęboki ukłon — „O bo misionarz, to nie ktobądź! On ma więcej rozumu w jednym palcu, aniżeli którykolwiek z was w całym ciele. I ten człowiek jest mym najlepszym przyjacielem. Ile razy przybył do naszej wioski, zawsze wstępował do mej chaty, nawet siedział na mojem krześle”.

W ten sposób mówi kwadrans, ba, już pół godziny, a jeszcze nie przystąpił do rzeczy. Wreszcie znudzony słuchaniem, zapytuje, czy rychło skończy. — „Zaraz, zaraz” — odpowiada z miłym uśmiechem i mówi dalej. Dopiero niespełna w godzinę dowiaduję się, o co mu właściwie chodzi. Pewien młody człowiek pragnie połączyć się dozgonnym węzłem małżeńskim z jego córką pod warunkiem, iż teraz złoży pewną część posagu, a resztę uiszczy po ślubie. Mówca przystałby ostatecznie na tego rodzaju interes, gdyby miał pewność, iż narzeczony dotrzyma słowa. Odetchnąłem swobodniej w nadziei bliskiego zakończenia sporu. Jakże się pomyliłem! Przecież i inni chcą się wypowiedzieć. Mówią więc za i przeciw. Narzeczony wychwala kozy, które już dał swemu przyszłemu teściowi na konto ożenku, gdy jego antagoniści, przerywając mu co chwila, twierdzą, iż towar nie wart złamanego szeląga, jedna z kóz już nawet zdechła.

— „Zdechła” — broni się z zjadliwym uśmiechem młodzieniec — „powiedzcie raczej, iż musiała zdechnąć, gdyście jej nożem poderżnęli gardło i już dawno zjedli z apetytem!” Zresztą zamożność jego i jego przodków jest powszechnie znana, a on nie jest oszustem, lecz uczciwym

człowiekiem, który zawsze dotrzymuje słowa. Wprawdzie przeciwnicy mocno obniżają jego wartość moralną, atoli jest przekonany, iż obecny tu minisse, nie tylko potwierdzi czystość jego zamiarów, ale nadto zaręczy, iż dotrzyma najdokładniej zobowiązania.

Ostatecznie zgodziłbym się na żyro niebardzo pewnego zapewnienia rozmówanego młodzieńca, aby tylko jak najprędzej doprowadzić do jakiegoś porozumienia. Daremne jednak moje wysiłki, aby przyjść do słowa. Nagle nie tylko wyznaczeni sztandarowi oratorzy, lecz każdy z obecnych rozpoczyna mówić na swoją rękę, łamiąc w ten sposób z góry określony porządek obrad. Miej cierpliwość biały słuchacz! Na ziemi kończy się wszystko. — Adam i Ewa pomarli, upadło imperjum Babilonu, runęła potęga rzeczypospolitej rzymskiej, to z pewnością i ten palawer murzyński dobiegnie końca, jeśli nie dzisiaj, to jutro, a choćby nieco później.

Tak to załatwiają się na palawerach sprawy natury prywatnej, chociaż i palawery zwoływane z polecenia rządu bynajmniej nie ustępują pierwszym w rozwlekłości i w humorystyce obrad.

Ebongolo, naczelnik szczepu Bakoko, rezydujący w miejscowości Muo-ekoe, otrzymał od tamtejszego starosty rozkaz przesiedlenia pewnej części ludności, osiadłej w bagnistych lasach, nad piękne i zdrowe brzegi rzeki Sanagi. W tym celu zapowiada przy odgłosie bębna palawer z tem, iż obrady rozpoczną się nazajutrz wczesnym rankiem. Ranek przeszedł już dawno i zbliżało się południe, kiedy dopiero zaczęli zrzadka jawić się rajcowie. Około godziny pierwszej po południu nadchodzi sam Ebongolo i wita obecnych uściskiem dłoni. Gdy uczestnicy zebrania sadowią się na czem mogą, jedni na przyniesionych z sobą stołeczkach, inni na pniach, na pustych orzechach kokosowych, lub na rozścielonych matach, to Ebongolo zasiada z powagą na krześle, sporządzonem wcale udatnie z jednego kawałka

drzewa. Jedna z jego żon, imieniem Ellen, co znaczy jaszczurka, przynosi mu fajkę, nabitą tytoniem, na którym tli się małeńki węgielek. Ebongolo rozgląda się wokoło, a zauważywszy brak kilku wybitniejszych członków palaweru, zwraca się do bliżej siedzącego senatora i pyta:

— „Wangisi” — (Chustko) — gdzie jest twój kuzyn Tango „(Podeszwa)?”

— „Podeszwy“ nie widziałem dzisiaj — odpowiada „Chustka“.

— A czemuż nie przyszedł Etanda „Owad?” Ten zawsze się spóźnia. Jak można sobie tak lekceważyć rozkazy naczelnika? Cóż to? Toć również niema Mbu „Koguta”, Ujembele „Kaleki”, Sono „Mrówki”, Hema „Obzartucha”. Nie widzę też Tainse „Niezadowolonego”, Itaba „Dusiciela”. Powiedzno mi Eseru „Antylopo” czy Minninga „Lufa karabinowa” jeszcze choruje. A ty „Mba „Psie”, biegnij mi natychmiast i przywołaj mi Ngeke „Ślimaka”.

Gdy tak biada naczelnik i troszczy się o komplet zgromadzenia, nadchodzi Gin „Wódka”, „Paskuda”, „Nóż” i Popalony z Dymem. Za nimi zdążają Welon i Półmisek.

Przybycie „Worka” wzbudza powszechną radość, bo za nim idzie jego żona „Bolesna” i niesie butelkę wina palmowego mimbo.

Słońce już dobrze nachyliło się ku zachodowi, gdy Ebongolo, przybrawszy odpowiednią postawę, zagaił posiedzenie. Słowa jego brzmią z początku spokojnie, jak szmer strumyka, płyną lekko jak tchnienie wiatru, atoli przy ogłaszaniu woli wysokiego rządu głos potężnieje, aby w końcu osiągnąć najwyższą siłę niby grzmot piorunu.

Dyskusja otwarta.

Powstaje „Trup”, pod pachą dzierży sakwę, sporządzoną ze skóry antylopy, podczas przemówienia gestykuluje żywo i drobnymi kroczkami przebiega tam i napowrót przed nosem zgromadzonych.

Po nim podnosi się z trudnością na słoniowatych nogach

„Beczka”. Mówi wysokim falsetem, pochylając się nakształt wahadła to w tę, to w drugą stronę. Złośliwi opowiadają, iż Beczka wypija codziennie siedm do ośmiu litrów mimbo, on jednak nie poczuwa się do winy, a otyłość swą przypisuje dobremu duchom, które go więcej miłują, aniżeli innych.

Trzeci z rzędu „Grób” wypowiada się wyjątkowo zwięźle i dosadnie głębokim, jakby z pod ziemi wychodzącym basem.

Tak ożywione obrady przerywa przybycie „Gąsienicy”. Rajcy okazują mu pomrukiem swe niezadowolenie, a naczelnik przeszywając go surowym wzrokiem, żąda, aby się natychmiast wytłumaczył z lekkomyślnego spóźnienia.

— „Niechaj się tłumaczą moje żony” — odpowiada oburzony „Gąsienica” — „Bwala „Leniwa”, Ekwali „Gadaliwa” i Igo „Śpiąca”, dlaczego nie zgotowały mi na czas obiadu?”

Okazało się jednak, że lekkomyślność „Gąsienicy” nie jest znowu tak karygodna, bo „Strzała” i „Błyskawica” przyszli jeszcze później. Obydwaj natychmiast wzięli udział w dyskusji głosem, który zupełnie usprawiedliwia ich nazwę.

Przemawiali nadto „Jedzenie”, „Nadewszystko”, i „Serce”, który miał rzeczywiście wiele na sercu. „Usta” i „Język” chcieli koniecznie sprostować błędne zapatrywania swych preopinantów i kto wie, czyby nie odnieśli zwycięstwa nad opozycją, gdyby naczelnik nie był otrzymał od swej żony „Wargi” za pośrednictwem drugiej żony „Oko” miłej wieści, iż czeka na niego wieczera w postaci woniejącego palmowego sosu. Takiej pokusie nie oprze się żaden, nawet najtwardszego charakteru murzyn. Cóż więc dziwnego, iż Ebongolo, — z powagą, jaka przystoi naczelnikowi, podniósł się z krzesła, ogłosił zamknięcie obrad i skierował swe kroki ku domowi, zapominając zupełnie o wyznaczeniu terminu następnego posiedzenia.

Wkrótce plac rozpraw zupełnie opustoszał. Za przykładem naczelnika pospieszyli wszyscy obywatele senatorzy dla

załatwienia najważniejszej ze wszystkich kwestji — kwestji żołądka.

Takie to ofiary z swej pracy i z czasu składa murzyn na ołtarzu dobra publicznego, a obcokrajowcy śmia posądzać go o gadatliwość i o lenistwo. On sam oczywiście jest najmocniej przekonany o swej użyteczności.

VII.

CZWARTE PRZYKAZANIE WYRYTE GŁĘBOKO W SERCACH MURZYNÓW.

Miłość czarnych dzieci ku rodzicom. — Córka i jej matka umierająca. — Ślepy starzec. — Wpływ matki w rodzinie murzyńskiej. — Wizyta u czarnej babuni. — Nauka o czwartym przykazaniu.

Murzyni otaczają swoich rodziców szczerą miłością, boleśnie odczuwają każdą zniewagę im wyrządzoną, a już więcej ich boli, gdy kto znieważa matkę. Słowa: „Oby ci matka umarła!” uważają za największą obelgę — wprost nie do darowania. Stąd rodzą się gniewy i powstają bójkki, które nieraz kończą się bardzo tragicznie.

Śmierć ojca, czy matki napętnia cały dom na czas dłuższy boleścią i smutkiem. Z płaczem chodzi dziecko po całej wiosce i z niekłamany żalem skarży się na swe sieroctwo. Tak dalece posuwają się dzieci w swej miłości ku rodzicom, że ciała ich grzebią tuż obok chaty, aby się z nimi nawet po ich śmierci nie rozłączać.

Razu pewnego zawezwano mnie do ciężko chorej poganki. Natychmiast wybrałem się w drogę i wkrótce stanąłem u celu. Przecisnąwszy się przez wąski otwór, imitujący drzwi chaty, znalazłem się w mrocznej, zadymionej izbie. Gdy wzrok mój przyzwyczał się do ciemności, oczom mym przedstawił się przykry, ale zarazem wzruszający widok. Oto zobaczyłem młodszą murzynkę o twarzy zeszpeconej wstrętną chorobą raka, która trzymała w objęciach nieprzytomną staruszkę i z bolesną tkliwością śledziła każdy objaw

ulatującego życia. Była to córka i jej umierająca matka. Przypuszczając, iż konająca pragnęła rzeczywiście przyjąć Chrztu św., postanowiłem ochrzcić ją warunkowo. Włóżywszy na się stulę, przystąpiłem bliżej, aby dopełnić przepisanych ceremonij, lecz córka, przyciskając jeszcze silniej do siebie swą matkę, jakby chciała ochronić ją przed grożącym niebezpieczeństwem, stanowczo temu się sprzeciwiła.

„Kochasz swą matkę” rzekłem, „to dlaczego odmawiasz jej tego, co jej zapewni szczęśliwość wieczną? Czy nie widzisz, iż ona za chwilę umrze?” „Mnie nie o chrzt idzie”, odpowiedziała, „lecz o to, iż po chrzcie wyniesiecie ją na swój cmentarz. Miłowałam matkę za życia, pielęgnowałam ją podczas choroby, to też nie rozłączę się z nią i po jej śmierci. Tutaj, przed chatą będzie spoczywać, abym ją miała w pobliżu i codziennie nad jej grobem mogła zapłakać”.

„Bądź przekonana”, zapewniłem ją, „iż ciała twej matki nie zabiorę na cmentarz katolicki, pogrzebiesz ją wedle swej woli, ale nie pozbawiaj jej łaski Bożej, bobyś okazała iż jej prawdziwie nie kochasz”.

To poskutkowało. Udzieliłem więc konającej Chrztu św., poczem wkrótce zakończyła życie. Tuż obok chaty wykopano grób, gdzie złożono jej zwłoki. Córka, jak nakazuje zwyczaj, włożyła na się żałobę, t. j. pomazała się białą gliną, okryła palmowemi liśćmi, a stanąwszy nad świeżą mogiłą, tak żałowała wraz z innemi kobietami zmarłej, iż płacze ich i lamenty słyhać było na całą wioskę.

Zwłaszcza w starości cieszą się czarni rodzice wielkim szacunkiem i czują opieką swych dzieci.

W wiosce, o dwie mile odległej od głównej stacji misyjnej, zakończyłem katechizację i poszedłem odwiedzić tamtejszego naczelnika. Przyjęli mnie jego synowie, oświadczając zaraz na wstępie, iż ojciec ich niezadługo nadejdzie, aby mnie powitać... Jakoż za chwilę wsunął się do izby wysoki, wyschnięty, ślepy na jedno oko starzec i z uniżonym ukłonem ofiarował mi kilka owoców, za co podarowałem mu

nóż ozdobny. Z uszanowaniem podali mu synowie wygodne, z gałązek palmowych sporządzone, krzesło. Po wymianie obowiązkowych grzeczności i po wypaleniu fajki, starzec, czując się zmęczonym, odszedł, a wtedy synowie opowiedzieli mi o przyczynie jego kalectwa. Ojciec ich pokłócił się z jakimś Europejczykiem, który, uniesiony gniewem, silnym razem laski zadał mu głęboką ranę w okolicy oka. Rana dłuższy czas nie goiła się, wkońcu okazało się, że starzec utracił wzrok na zawsze.

„Możesz sobie wyobrazić”, mówił jeden z nich, „jak nas ten niecny postępek oburzył. Gdyby mnie był uderzył, chętnieby mu przebaczył, lecz zniewagi sędziwego ojca nie przebaczę mu nigdy. Tylko obawa odpowiedzialności przed sądem wstrzymała nas od wymierzenia sobie na miejscu takiej sprawiedliwości, na jaką sobie ten brutal zasłużył”.

Wielki wpływ, jaki posiada matka w rodzinie murzyńskiej, opiera się właśnie na tym serdecznym stosunku dzieci do rodziców. Wola matki jest dla syna święta. Poddaje jej się chętnie, wiedząc iż matka nie może źle życzyć swemu dziecku. Celem pomyślnego załatwienia sprawy przez nauczelnika szczepu, udają się murzyni do jego matki. Kto sobie ją zjedna, może być pewny wygranej. Matka jest nauczycielką dla swej synowej w wychowaniu wnucząt, które również otaczają ją szacunkiem i miłością. Do niej, jako do wyroczni, udają się domownicy, gdy chodzi o przygotowanie wykwinnych potraw dla zaproszonych gości.

Podczas objazdżki misyjnej zaprosił mnie jeden z uczniów do siebie na śniadanie. „A niech się ojciec nie obawia”, zapewniał mnie, „potrawy będą wyborowe, bo je przyrządzi sama babunia. Gdy wychodziłem z domu, rzekła do mnie: „A o przyjęcie nauczyciela nie potrzebujesz się troszczyć, już ja przygotuję dla niego coś takiego, że będzie palce oblizywać”.

Któżby się oparł tak ponętnemu zaproszeniu, zwłaszcza, że głód poczał w mych kiszkiach wygrywać smętne marsze!

Zasiadam tedy do stołu i czekam. A oto wchodzi babunia i z wdzięcznym uśmiechem kładzie przedemną gorący, biały, apetyczny pudying, zawinięty starannie w liść bananowy. Wiedziałem, że takie specjały sporządzają murzyni z roz-tartych na mąkę ziarn pewnego gatunku dyni i że dla lep-szego smaku dodają, w miejsce naszych rodzynków garść soczystych gąsienic. Ponieważ była to pora, w której się te pożyteczne zwierzątka nie zjawiały, sądziłem, że będę mógł korzystać z gościnności młodego gospodarza. Jednak dla ostrożności zwróciłem się ku niemu z zapytaniem, czy przypadkiem podany pudying nie zawiera w sobie tej miłej przyprawy.

„Ach skądże?” odpowiedział oburzony mem podejrze-niem, „przecież ojciec wie, że teraz nikt nie znajdzie gąsie-nicy, choćby jej szukał z latarnią”.

„Chwała Bogu!” pomyślałem i z ochotą wziąłem się do jedzenia. Nagle język mój odczuł silną gorycz. Wypluwam kąsek i z obrzydzeniem spostrzegam przeciętą własnymi zębami grubą na palec tłusciutką gąsieniczkę, niedoszlą matkę jakiegoś podzwrotnikowego motylka.

„Babuniu, babuniu!” wołam, „chodźno tutaj do mnie! Zepsułaś pudying, patrzaj jaka gąsienica!”

„Co?” zawołała zgorszona — „to ja przez kilka tygodni umyślnie przechowywałam dla ciebie parę gąsieniczek, aby cię przyjąć należycie, a ty jeszcze okazujesz niezadowolenie?”

Babunia rozgniewała się na dobre. Cóż robić? Trzeba było ją przeprosić. Garść tytoniu, którą jej wręczyłem, wywołała niekłamaną radość na jej pomarszczonej twarzy i zaprowadziła zupełną między nami zgodę.

Z wszystkich nauk katechizmowych nauka o czwartem przykazaniu jest dla murzyna najprzystępniejsza, bo się zgadza z jego własnym pojęciem o obowiązkach względem rodziców. Wiara w niczem nie narusza jego stosunku do ojca lub matki, lecz owszem uszlachetnia go i uświęca. Z jednej strony uznając rodziców za zastępców Boga na

ziemi podnosi ich autorytet w oczach dzieci, z drugiej zaś, zwalniając dzieci z bezwzględnego posłuszeństwa, o ile rozkazy rodziców sprzeciwiają się woli Bożej, zabezpiecza je przed tyranją ojcowską i chroni od zepsucia.

VIII.

MURZYN PODCZAS CHOROBY.

Dwa rodzaje chorób. — Amputacja nogi. — Pielęgnacja chorych. — Zabiegi czarownika. — Posiadacz „ewu”. — Rogowa grzechotka. — U łoża konającego. — Kapłan z Wiatykiem u czarnych.

Murzyni wszystkie ułomności fizyczne i wszystkie niedomagania pod względem zdrowia określają dwoma rodzajami chorób: albo bólem głowy „sic for-heat”, albo bólem brzucha: „sic for-bell”. W chorobach radzą sobie skutecznie, bo znają wiele właściwych lekarstw roślinnych, wypróbowanych doświadczeniem pokoleń, czy to w postaci wysuszonych ziół, czyto w postaci wyciśniętej z nich esencji. Jednak, o ile nadarza się sposobność, z całym zaufaniem zwracają się do europejskich lekarzów z prośbą o pomoc. Nasi Bracia i Siostry musieli nieraz całe godziny spędzać na posłudze zgłaszających się chorych.

Niezrozumiałe dla nich zabiegi umiejętnej sztuki lekarskiej tłumaczą sobie na swój sposób. Pewnemu murzynowi amputowano w szpitalu nogę. Operacja udała się szczęśliwie. Obecni przy tem ziomkowie pacjenta zapewniali, iż widzieli najdokładniej jak chirurg wyjął z niego duszę, zamknął ją w szklannym słoju, a po skończonej amputacji, wpuściwszy ją choremu do ust, przywołał go napowrót do życia.

Murzyn, o ile zachoruje na obcem terytorjum, natychmiast wraca do domu. W wypadku zupełnej niemocy, dzwigiąją go w hamaku krewni, nieraz dziesiątki mil, a jeżeli

umrze w drodze, to bodaj ciało jego przynoszą do rodzinnej wioski, aby obok ojców i dziadów spoczęło w grobie.

Pielęgnacja chorych, pomimo widocznej troskliwości, współczucia i miłości ze strony domowników, jest nadzwyczaj niedołączna. Dopóki pacjent przyjmuje podawane mu potrawy, wszyscy są dobrej myśli, brak apetytu uważany jest za niechybną oznakę zbliżającej się śmierci, a jeśli murzyn powie: — „matka moja już nie je kasady” — to znaczy, że umarła.

Ponieważ barwa skóry umierającego murzyna nie zmienia się tak widocznie jak u białych, to też Europejczyk z trudnością rozeznaje bliski koniec jego życia, natomiast czarni orjentują się pod tym względem znakomicie po składzie ust i wyrazie oczu.

Poganie, zwłaszcza ci, co zamieszkują kraje w głębi lądu, posługują się przy leczeniu chorych najdziwaczniejszemi gusłami, a, gdy to nie pomaga, wzywają czarownika. Trzeba wiedzieć, iż, według ogólnego mniemania czarnych, źródłem wszelkich słabości są albo duchy, które w ten sposób karzą murzyna za jakiś występki, albo też niezyczliwi ludzie, którzy, korzystając z posiadania „ewu”, rzucili na niego chorobę. „Ewu” to jakaś tajemnicza siła, ściśle związana z pewnym anormalnym układem wnętrza. Osobnik, posiadający „ewu”, jeśli tylko zechce, może nawet wejrzeniem zaszkodzić swemu bliźniemu. Gdy podejrzany o taką właściwość umrze, murzyni nieraz rozcinają mu brzuch, aby się przekonać, czy rzeczywiście rozporządzał niesamowitem „ewu”.

Zadaniem czarownika jest wykryć właściwą przyczynę choroby. W tym celu bada troskliwie pacjenta, a ustaliwszy diagnozę, aplikuje stosowne lekarstwo. Chory wyznaje z skruchą ciężką winę wobec własnej żony. W przystępie gniewu postanowił sobie nie brać do ust pokarmów sporządzonych jej ręką. Ale cóż, głód jest złym doradcą, a gdzie djabeł nie może, tam posle babę. Gdy mu więc kiszki po-

częły wygrywać miarowe marsze, a żona pokazywać zdala kiełbaskę kasady i mile się uśmiechać, dał się nieszczęśnik skusić i zjadł nie jedną, ale całą stertę kiełbasek.

— „Cóż dziwnego, że chorujesz” — mówi z przekonaniem czarownik — „tak haniebny czyn nie mógł pozostać bez pomsty z strony złych duchów. Teraz trzeba pokutować za lekkomyślne złamanie przyrzeczenia”.

Inny znowu wyjawia wśród głębokich westchnień i głośnych jęków, iż słyszał wyraźnie, jak coś przez kilka z rzędu nocy pukało wytrwale po dachu jego chaty. Nadaremnie zatykał sobie uszy, odgłos stukania wwiercał mu się w mózg i tak go przeraził, że już nie usnął do samego rana.

— „No, naturalnie” — mówi bez zająknięcia czarownik. — „Domyślałem się tego zgóry. Rzecz jasna jak słońce, to ewu tak pięknie cię urządził”.

Po ustaleniu przyczyny, nie trudno już czarownikowi przyrządzić odpowiednie lekarstwo. Zależnie od stosunków majątkowych pacjenta poleca zabić koguta albo kozę. Mięso z ubitej zwierzyny w większej części zabiera dla siebie, a krwią pomieszaną z wodą i z wywarem ziół obmywa lub skrapia chorego. Jeśli mimoto choroba nie ustępuje to znak, że chory nie wyjawiał całej swej winy, że coś ważnego zataił.

Tak więc z powodu lekkomyślności pacjenta zdrowie jego coraz bardziej podupada. Chory już nie może powstać o własnych siłach. Smutek ogarnia całą rodzinę. Wszyscy starają się przynieść mu pewną ulgę. Jedni podtrzymują go na zmianę na rękach, inni obcierają mu pot z czoła, a inni znowu dostarczają wszystkiego, czego tylko zażąda, choćby nawet trucizny. Wreszcie biedny murzyn przychodzi po rozum do głowy i oświadcza gotowość wyjawienia tej tajemnej, przez niego zatajonej przyczyny swego nieszczęścia. Po raz drugi przychodzi czarownik, a wysłuchawszy cierpliwie urojonych win chorego, potrząsa rogową grzechotką, napełnioną ziarnkami jakichś owoców, przykłada ją raz po

raz do ucha i z szelestu ziarenek miarkuje, czy chory przyjdzie do zdrowia. Domownicy z natężeniem oczekują wyroczni. Niestety odpowiedź czarownika jest tak bałamutna i dwuznaczna, że właściwie nikt nie wie, czego należy się spodziewać, czy wesela, czy smutku.

Gdy przepowiednie czarownika najczęściej zawodzą, to przecucie chorego zbliżającej się śmierci zawsze się sprawdza. Jeśli murzyn w swej słabości oświadczy, iż umrze, to można być pewnym, że słowa dotrzyma. Opowiadał mi jeden z naszych starszych misjonarzy, iż z kilkuset zaopatrzonych przez niego ŚŚ. Sakramentami czarnych, tylko jeden, co sobie obiecywał długie jeszcze życie pomylił się i umarł, wszyscy inni jak najdokładniej wypełnili daną obietnicę.

O należytem zachowaniu się wobec powagi śmierci nie mają murzyni żadnego pojęcia. W ciemnej, zakopconej, zadymionej chacie pełno ludzi to znajomych, to krewnych. Jedni palą fajki, inni rozmawiają głośno, przechadzają się i t. d., a przy łożu konającego siedzi jego żona i zawodzi rozdzierającym uszy głosem: — „nie opuszczaj mnie! Nie umieraj! Co ja będę bez ciebie robiła! Jak sobie dam radę!” — Tymczasem chory wskutek braku powietrza co chwila omdlewa. Na ten widok obecni poczynają wołać — „O patrzajcie, patrzajcie, już go duchy wzięły w swą opiekę, już go ciągną”. — Około chaty tworzy się nieraz zbiegowisko złożone co najmniej z trzystu osób, a wszyscy cisną się do wnętrza.

Można sobie wyobrazić z jakimi trudnościami musi walczyć kapłan wezwany z Wiatykiem, aby w tych warunkach zapewnić należną cześć Najśw. Tajemnicy, a choremu ułatwić swobodną spowiedź. Z wysiłkiem udaje mu się przepchać przez zbity tłum. W chacie ciemno, powietrze wprost zabójcze. Chory leży na niskiej pryczy obok ogniska, a nieraz i na gołej ziemi. Gdy kapłan klęka i pochyla się głęboko nad chorym, aby zrozumieć, co mówi, to Przenaj-

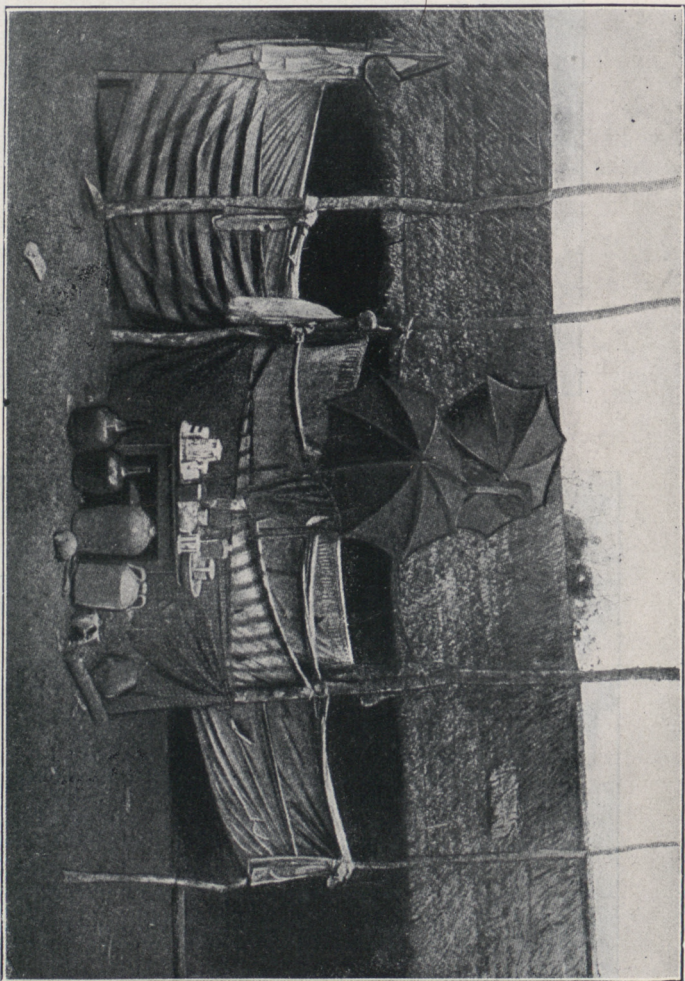
świętszy Sakrament spoczywa przy bladym świetle latarki na pnju lub na skrzyni. Tutaj dopiero w Afryce poznaje się tę bezgraniczną miłość Boga, którą go skłania do niepojętego poniżenia się wobec Swych biednych stworzeń.



Przeniesienie zwłok.



Spuścizna zmarłego.



Nienaruszalna własność zmarłego.

IX.

ŚMIERĆ I POGRZEB.

Ogłoszenie pośmiertne.—Znaki żałoby.—Groby czarnych. Wystawienie zwłok.—Zabobony pogańskie.—Obrzędy pogrzebowe.—Dziwne praktyki.—Zjadacze dusz.—Straszne egzekucje.—Relacje O. Czimermana.

Na nic przydały się gusła, na nic kuglarskie sztuczki czarownika. Nieustępliwa śmierć zawitała do murzyńskiej chaty: Obecność jej ogłasza głęboki bas bębna, któremu prawie równocześnie odpowiadają bębny w sąsiednich wioskach. W ten sposób w krótkim czasie dowiaduje się cała okolica, iż któryś z mieszkańców przeniósł się do wieczności.

W domu zmarłego gromadzą się niewiasty, umazane białą gliną i przybrane w pęki bambusowych włókien na znak żałoby. Wśród płaczu i lamentów obwiązują zwłoki chustkami i zawijają je w korę drzewną lub w bananową matę. Ustawicznie rozbrzmiewają bolesne skargi i zawodzenia. — „O mój mężu! O mój bracie! Czemu mnie opuściłeś? W jaką stronę, w jaką udałeś się krainę? Już mi teraz nie żyć bez ciebie na świecie”. — Tymczasem mężczyźni kopią grób, albo w samej chacie, albo też w jej najbliższym sąsiedztwie, i wykładają grób matami, aby się ciało nie stykało bezpośrednio z ziemią. Murzyni, należący do szczepu Jaunde wsuwają zwłoki przez otwór wykopany w bocznej ścianie grobu, poczem zakrywają go korą drzewną i zasypują ziemią. Pewną część rzeczy, które służyły do wyłącznego użytku zmarłego, kładą krewni do trumny, resztę zawieszają na żerdziach lub zostawiają na grobie. Przed-

mioty zaś przedstawiające jeszcze pewną wartość, ulegają zniszczeniu, aby się nikt na nie nie złakomił. Zależnie od stanowiska, jakie zmarły zajmował za życia, żałoba po nim trwa przez całe miesiące a nawet i lata. Ciszę nocy przerywa raz po raz odgłos bębna. To krewni wywołują ducha nieboszczyka, aby się dowiedzieć o jego powodzeniu na drugim świecie.

Gorący klimat Afryki, powodując szybki rozkład ciała, nie pozwala na odkładanie pogrzebu do czterdziestu godzin, jak to się praktykuje w Europie. Jeśli murzyn umarł o godzinie dziewiątej rano, to już o drugiej po południu spoczywa w grobie.

Przed pogrzebem wystawiają zwłoki na widok publiczny. Wtedy obok zwłok, umieszczonych na podwyższeniu, zasiadają w długich rzędach po jednej stronie mężczyźni, a po drugiej kobiety. Krewni i przyjaciele obowiązani są wyrażać swą boleść głośnymi jękami. Murzyni lubują się w pompie pogrzebowej i na ten cel nie żałują wydatków, aby tylko wystąpić jak najokazalej. N. p. dla pewnego bogatego kupca, który zmarł za mego pobytu w Kribi, wystawiono tuż obok jego domu piękny obszerny namiot. Rusztowanie namiotu, sporządzone z bambusowych żerdzi, obciągnięto czerwoną materją. Wewnątrz na podjum umieszczono trumnę a nad nią zawieszono wspaniały baldachim. Zamożny murzyn nie mieszka już w chacie, w której zmarł ktoś z jego rodziny, opuszcza ją i pozostawia bez żadnej opieki. Często można spotkać po wioskach tu i ówdzie na pół lub zupełnie rozwalone rudery domów murzyńskich. Jest to niezawodny znak, iż tam zaszedł wypadek śmierci.

Jednym z najzłośliwszych zabobonów pogańskich murzynów jest przekonanie, iż śmierć sprowadzają duchy albo też ludzie, którzy zjadają duszę człowieka i w ten sposób odbierają mu życie. Kto zawinił, rozstrzyga czarownik. Jest to dla niego njeraz znakomita okazja do załatwienia osobistych porachunków z osobami, które uważa za swych wro-

gów. Kogo czarownik uzna za winowajcę, ten ginie niechybnie. To też niejeden, przeczuwając jego zemstę, zawczasu opuszcza rodzinną wioskę i udaje się w inne strony, chociaż i tam nie jest pewny życia.

O ile czarownik nie spełnia osobiście tych piekielnych obrzędów pogrzebowych, zastępuje go jeden z najstarszych przyjaciół zmarłego. On to żegna nieboszczyka i rozpoznaje sprawcę jego śmierci. W przemowie, którą wygłasza, podnosi prawdziwe czy urojone zasługi zmarłego. Murzyni mają prawdziwy talent do komponowania takich panegiryków. Zdania płyną im równo jak woda, a chwalić umieją. O błędach nieboszczyka, o jego pijaństwie, o kradzieżach i innych występkach niema oczywiście najmniejszej wzmianki. Mówca chwyta następnie krzew kaktusa, odrywa jego korzeń i odrzuca precz od siebie. Gest ten ma oznaczać człowieka, wyrwanego gwałtownie z pośród żyjących. Potem zwraca się do zmarłego i zapytuje głośno czy naprawdę umarł, czy też śpi. Trup oczywiście milczy, lecz obecni murzyni z takim przejęciem nadstawiają uszów, jakby w rzeczywistości mieli usłyszeć odpowiedź. Po stwierdzeniu faktu śmierci rozpoczyna się komedia poszukiwania winowajcy. Wina spada zazwyczaj albo na żony, albo na niewolników zmarłego.

Proces badania nie przedstawia żadnych trudności. Zawsze znajdzie się świadek, który swemi zeznaniami ułatwi śledztwo. Oto powstaje z pośród obecnych rosły murzyn i oświadcza, iż zmarły uniósł się gniewem na swoje żony. Jedna z nich nie ugotowała mu na czas obiadu, druga źle przyrządziła potrawy, trzecia ociągała się z nałożeniem tytoniu do fajki. Przestępstwa tych kobiet, jasne jak afrykańskie słońce, nie mogą pozostać bez stosownej kary. Na dany znak występują z tłumu dwaj młodzieńcy, uzbrojeni w pręty, którymi ćwiczą rzekome winowajczynię. Rozlegają się nieludzkie wrzaski. Lecz śledztwo jeszcze nie skończone. Podnoszą się nowe skargi. Znowu spadają razy na plecy

Bogu winnych ofiar. I trwa ten śmieszny a zarazem smutny obrzęd pogrzebowy nieraz całymi godzinami, co chwila drze się w niebogłósy inna serja winowajców, a nikt z obecnych nie zdobędzie się choćby na jedno słowo oburzenia czy protestu.

Czasami odbywają się też jakieś dziwne praktyki, których znaczenie pozostało dla mnie tajemnicą, bo murzyni ukrywają takie rzeczy przed obcymi i nie chcą zgoła o nich mówić.

Razu pewnego zawezwano mnie z Wiatykiem do chorego, który wkrótce po zaopatrzeniu zakończył życie. Natychmiast po zgonie posadzono zmarłego na podwyższeniu, nakryto mnóstwem chustek, a przedziurawiwszy mu ostrem narzędziem małżowiny uszne, wetknięto w nacięcia zioła, przypominające zapachem naszą miętę. Niektórzy z obecnych pozostawali z tak przybranym trupem przez dłuższy czas sam na sam w chacie. Podobno zwierzali się przed nim z swych trosk i prosili, aby na drugim święcie opowiedział wszystko ich krewnym w tym celu aby im udzielili stosownej rady i otoczyli skuteczniejszą niż dotąd opieką.

Gdy zmarłych chrześcijan grzebie się według przepisów Kościoła, to u pogan panują pod tym względem śmieszne, a nieraz bardzo bolesne i grozą przejmujące obrzędy. Niektóre szczepy umieszczają na trumnie zarżnięte kozy, już to aby zapewnić zmarłemu potrzebną żywność, już to, aby mu wynagrodzić to, co byłby zjadł, gdyby śmierć nie była przecięcia pasma jego życia.

Gdzieindziej znowu przywiązują do drzewa kozę, którą jeden z uczestników pogrzebu przebija włócznią, oświadczając równocześnie, iż taki sam los czeka tego, co zjadł duszę nieboszczyka. Za zmarłym naczelnikiem plemienia idą do grobu wszystkie jego żony. Surowe kary, jakimi prawodawstwo kolonialne ścigało tego rodzaju zbrodnie, wykorzystały ten okrutny zwyczaj na wybrzeżach morskich, natomiast

dzikie szczepy w głębi lądu zachowują go nadal, podobnie jak wstrętne ludożerstwo.

Przytaczam niektóre tylko fakty stwierdzone świadectwem mężów, których wiarygodność nie ulega żadnej wątpliwości.

Tak n. p. O. Koller z Landany, prowincji centralnej Afryki pisze: — „Dowiedziawszy się, iż naczelnik pobliskiej wioski leży od kilku dni chory, postanowiłem go odwiedzić, atoli mimo usilnych starań nie pozwolono mi do niego przystąpić. Gdy chory zakończył życie, zebrała się starszyzna na naradę celem wykrycia tego, co zjadł jego duszę. Podejrzanie padło na dziesięciu mężczyzn i jedną z żon zmarłego. Dwóch z nich zdołało uciec, resztę poddano próbie trucizny, zwanej kasque. Próba polega na tem, że kto zwróci w wymiotach truciznę, zostaje uznany za niewinnego, w przeciwnym wypadku czeka go niechybna śmierć. Tym razem ani jeden z podsądnych nie uszedł smutnego losu. Przy egzekucji, która odbyła się w nocy, obecni byli wszyscy mieszkańcy wioski. Skazańców przyprowadzono na obszerny plac przy odgłosie bębnów. Temu rozpruto brzuch, innemu obcięto ręce i nogi, tamtych przybito do drzewa, kobietę zaś zakopano żywcem. Jęki mordowanych zagłuszają wrzaski rozbestwionej tłuszczy. Niemasz dla nieszczęsnych ofiar żadnej litości. Umierają obrzuceni przekleństwami jako najwięksi złodnierze, nawet ich chaty i plony na polach ulegają zupełnemu zniszczeniu.

Ciekawe są relacje O. Czimmermana, T. J. misjonarza z Borowy, miejscowości, położonej w Afryce południowej, o zwyczajach pogrzebowych tamtejszej ludności. Są to wprawdzie inne szczepy, aniżeli w prowincjach centralnej Afryki, atoli różnica między nimi jest nieznaczna, polegająca na zewnętrznych formach, bo istotne cechy duszy murzyńskiej są wszędzie jednakowe.

Natychmiast po zgonie pogańskiego murzyna gromadzą się około jego zwłok krewni, przyjaciele i sąsiedzi i rozpoczy-

nają przygotowania do pogrzebu. Najpierw wykręcają ze stawów ręce i nogi trupa, poczem obmywszy go i przyozdobwszy różnemi świecidełkami, układają w trumnie sporządzonej z sitowia. Z chwilą pogrzebu jawią się tragarze, tak zwani „matica” hieny. Oni to na swych ramionach przeniosą ciało do grobu, wykopanego gdzieś w trudno dostępnej puszczy leśnej. Pochód pogrzebowy otwierają dwie niewiasty. Jedna z nich rozsiewa po drodze mąkę, a druga niesie upieczoną kurę, którą zostawi na usypanej mogile. Po złożeniu zwłok w miejscu spoczynku, zasypują je ziemią, zmieszaną z wodą, przyniesioną przez kobiety postępujące za trumną. Grób udeptują mocno, aby dzikie zwierzęta, szukające nocą zdobyczy, nie wygrzebały ciała. Tragarze po skończonej czynności odprawują ceremoniał oczyszczenia. Kąpią się, nacierają ziołami i wymawiają pewne zaklęcia. W ten sposób nabywają napowrót prawa obcowania z ludźmi, które stracili przez zetknięcie się z trupem.

Na tem kończy się pogrzeb ubogich, bo dla bogatszych istnieją jeszcze obrzędy popogrzebowe, mające na celu sprowadzenie ducha zmarłego „musimu” do panteonu zmarłych przodków. Znowu gromadzą się krewni i znajomi, a każdy przynosi nieco mapiry¹⁾, z której sporządzają napój „pombe“, podobny smakiem do naszego piwa. Napój ten niesie w garnku na grób niezamężna siostra, lub krewna zmarłego. Ostatecznie może tę czynność spełnić i zamężna kobieta, byleby tylko zachowała wstrzemięźliwość do dnia pogrzebu. Wogóle wszyscy krewni są w tym czasie obowiązani tak samo do wstrzemięźliwości. Po przybyciu na miejsce ustawiają garnek na grobie, wybiwszy w nim przedtem otwór, aby wódek płyn wsiąknął w ziemię. Następnie zabijają kozę, wycinają z niej z różnych części po kawałku mięsa, które gotują i pożywają, zapijając pombem. Resztę kozy zabierają dla siebie tragarze.

¹⁾ Mapira — pewien gatunek zboża uprawianego przez Kafrów.

Po skończonej uczcie przystępują do przenosin „musimu”. Jeden z obecnych zbliża się do grobu i szybkim ruchem chwyta jakiś przedmiot, najczęściej kamyczek, w którym właśnie ma przebywać „musimu”. Murzyn dzierżący tę cenną relikwię staje się przedmiotem powszechnej owacji ze strony otoczenia. Kobiety zawijają go w płótno i niosą na plecach, zmieniając się co chwila. Choć uginają się pod niemałym ciężarem, to jednak chętnie spełniają tę czynność, bo wszyscy, tak ten, co trzyma w ręce „musimu” jak i one mają przywilej raczenia się piwem dowoli przez cały czas drogi. Gdy orszak zbliżył się do chaty, składają „musimu” na macie rozścielonej obok ściany domu i poją go również piwem, które spływa cienkim strumykiem po ziemi. Korzystają z tego ubodzy murzyni i żłopią je wraz z błotem. Tymczasem muzykanci wybijają na bębenkach w szalonym tempie hałaśliwie, dla czarnych tylko zrozumiałe melodie.

Sprowadzony „musimu” pragnie gorąco połączyć się z duchami, dawniej pomarłych krewnych, które przebywają w osobnej chacie w koszyku pod pieczołowitą opieką murzynki, zwanej muraura. Spełnienie jego pragnień wtedy dopiero może przyjść do skutku, gdy ktoś z domowników zachoruje. Ale i na to nie czeka długo. Choroba zjawia się na zawołanie. Wezwana „mutambisse” lekarka i wróżka zarazem oświadcza, iż jedynym lekarstwem dla chorego jest schwytnie „musimu” i złożenie go do koszyka. Rozpoczynają się łąwy. Obydwie niewiasty „muraura” i „mutambisse” skaczą jak opętane, przyczem raz po raz wyciągają ręce to w tę to w inną stronę, szukając niewidzialnego ducha. Nagle mutambisse zaciska pięść i radosnym okrzykiem zawiadamia obecnych, iż „musimu” znajduje się w jej posiadaniu. Wszyscy cieszą się z powodu szczęśliwego połowu i podążają za mutambisse, która wpada do chaty duchów. Muraura otwiera koszyk, a mutambisse wrzuca doń stęsknionego za towarzystwem swych przodków „musimu”.

X.

KULT ZMARŁYCH.

Cześć oddawana zmarłym. — Podziemne państwo zmarłych. — Obcowanie zmarłych z żywymi. — Biesiady na pamiątkę zmarłych.

Każda rodzina murzyńska oddaje cześć swym zmarłym. Jeśli murzyn zapomina o swych zmarłych ojcach, jeśli ich obraża, wówczas może być pewny ich gniewu i pomsty, w przeciwnym razie doznaje od nich życzliwej opieki. Idąc przez uprawne pola, znalazłem raz na drodze zastawiony umyślnie cały obiad. Potrawy były jeszcze gorące. To jeden z naszych neofitów raczył w ten sposób swą zmarłą babkę, która niewiadomo z jakiej przyczyny znieawidziła go i prześladowała na każdym kroku. Biedny wnuczek przeproszał ją obiadem.

Dla zapewnienia sobie względów zmarłych krewnych, grzebią murzyni ich ciała w własnych chatach, a wtedy dusze ich pozostają wśród rodziny, obierając sobie różne sprzęty na mieszkanie.

Murzyni wierzą nietylko w nieśmiertelność duszy, ale także w jej przechodzenie w inne przedmioty. Dopóki dusza zmarłego nie znalazła sobie stosownego mieszkania, spędza wraz z ciałem wakacje w podziemnym państwie umarłych. Zmarli żyją tam podobnie jak na ziemi, tworzą wioski wprost pod rodzinną wioską, nie cierpią, nie chorują, lecz wolność ich jest skrępowana o tyle, że tylko w własnej wiosce otrzymują bezpłatnie, czego potrzebują do utrzymania swego pozagrobowego życia; gdyby zaś wybrali się w odwiedzin do



Grób naczelnika wioski.



Kości i rzeczy zmarłego na rusztowaniu.

401



Ofiara za zmarłych.

sąsiedniej wioski, muszą za wszystko płacić moy'ami. „Jesteś obcym” — mówią do niego niegościnni sąsiedzi, „nie masz prawa do korzystania z naszego dobra; jeśli chcesz między nami pozostać, płac moy'a”. W te moy'e, które stanowią monetę obiegową w państwie umarłych, zaostrzają nieboszczyka jego krewni. W tym celu wypalają zmarłym okrągłe, wielkości dziesięciu groszy piętna na rękach, poczynawszy od ramienia aż do dłoni, w kilka rzędów, aby im nie zabrakło funduszków na drugim świecie. Brak moy'ów wprawia w kłopot nie tylko zmarłego, krępując jego wolność w państwie umarłych, ale także i żywych, którzy muszą za swego krewnego wyrównywać długi.

Umarli, wedle wierzeń murzynów, obcuja z żywymi w śnie. Najczęściej upominają się o należną im pamięć, grożąc zemstą na wypadek zapomnienia. — „Czemu mnie opuściłeś?” — strofuje ojciec syna — „nic już od ciebie nie otrzymuję. „Jeśli życzysz sobie mej opieki i pragniesz powodzenia, daj mi jeść”. — Po takiej admonicji murzyn gotuje czempredzej obiad, wnosi go cichaczem nad ranem, gdy jeszcze ciemno, poza chatę. Uderza trzy razy kamieniem w ziemię, wymawia jakiś niezrozumiały wyraz, gwizdże i woła: „Oto, ojczy, strawa, której żądałeś. Nie gniewaj się. Ochraniaj mnie i moich krewnych, strzeż mego domu, dopomagaj mi w łowach, bo nic nie mogę upolować — jestem bardzo biedny”. — Poczem pożywa nieco z przyniesionych potraw, a resztę składa na liściach do użytku głodnego ojca. Sypie także tabakę i polewa ją rumem.

Przy rąbaniu drzewa bardzo dotkliwie skaleczył się murzyn. Idzie do ngambi'ego po radę i pyta o przyczynę tego nieszczęścia. — „Ty się jeszcze pytasz? Zapomniałeś o swej zmarłej matce, ona to skierowała siekierę do twej nogi. A pamiętaj, że czekają cię jeszcze gorsze rzeczy, jeśli jej nie przejednasz”.

— „Co mam czynić? — woła przerażony murzyn.

— „Daj jej jeść”.

Gdy w nocy odzywają się w zaroślach pewnego gatunku ptaki, strach ogarnia mieszkańców, bo są przekonani, że to umarli wydają tak żałosne głosy.

W pewnych dniach urządzą murzyni na pamiątkę zmarłych już to więcej, już to mniej uroczyste biesiady, zależnie od stanowiska, jakie nieboszczyk zajmował za życia. Biesiady takie, polegające na jedzeniu i picciu, trwają nieraz cztery dni i odbywają się na koszt krewnych.

SPIS RZECZY.

<i>Słowo wstępne</i>	Strona 3
--------------------------------	--------------------

Część I.

RASY I WIERZENIA MURZYŃÓW.

<i>I. Szczepy. — Rasy. — Język murzynów</i> . . .	7
Odrębność szczepowa. — Legenda o ciemnej barwie ciała. — Przygody murzynka. — Albinosi. — Czarne fryzjerki. — I murzyn jest przystępny. — Narodowy strój murzynów. — Narzecza murzyńskie. — Czarni tłumacze.	
<i>II. Religijne wierzenia murzyńskie.</i>	17
Njetuze. — Niambe. — Talizmany. — Guślarze i czarowniki. — Obrzędy czarodziejskie. — Niewolnicza bojaźń przed duchami. — Tajne związki. — Ślady wspólnej tradycji narodów. — Chrześcijańskie pierwiastki.	
<i>III. Cyganie afrykańscy</i>	29
Szczep Bagielli. — Karły Afrykańskie. — Ich odwaga i zręczność. — Badania ks. Zywert. — Tańce i popisy gimnastyczne czarnych cyganów. — Zwolennicy teorii Darwina. — Poważanie 7-go przykazania. — Wierzenia religijne. — Zwyczaje. — Narzecze Bagielli.	
<i>IV. Baśnie murzyńskie.</i>	38
Dlaczego ludzie umierają — Jak mieszkańcy obłoków stali się mieszkańcami drzew. — Abobo i jego żony. — Rodzinie należy się miłość.	
<i>V. Złe duchy. Ngil</i>	45
Pojęcie djabła. — Krew djabelska. — Stosunek djabła do murzynów. — Konfident djabła. — Ngile czarownicy, wróżbiarze. — Związek ngilów. — Parobcy szatana. — Piekielna biesiada — Szatańska nienawiść ngila do wiary katolickiej.	

	<i>Strona</i>
VI. Ludożerstwo	53
Ohydne uczy.—Trup upieczony.—Naoczni świadkowie ludożerstwa —Opowiadania misjonarzy —Przyczyny ludożerstwa. — Miasto krwi —Mordy rytualne.	

Część II.

WIEK DZIECINNY MURZYNA

I. <i>Dokoła urodzin dziecka</i>	63
Dowody rodzicielskiej troskliwości. — Nadanie imienia —Uroczystości domowe, zwane seble. — Zlewanie dziecka wodą — Wybór opiekuna.	
II. <i>Lata dziecięce</i>	67
Od przybytku głowa nie boli — Chłopiec więcej uprzywilejowany, niż dziewczynka. — Przywiązanie dziadków do wnucząt — Kołysanka murzyńska.	
III. <i>Zabawy murzyńskich dzieci</i>	70
Łowienie ryb i raków. — Polowanie na pta-zki, myszy, szczury, ślimaki etc.—Śpiewy i tańce. Pływanie na łódce — Stosunek czarnych dzieci do misjonarza.	
IV. <i>W szkole</i>	76
Żywy temperament mieszkańców południa. — Nauki katechizmowe. — Spowiedź małego Ewee. — Owoce pierwszej Komunji św.	
V. <i>Niedole i uciechy czarnych uczniów</i>	79
Palawry szkolne.—Egzekucja.—Logika murzyńska. — Wycieczki z muzyką.—Wielkie zabawy.—Bogle play.— Wyprawa czarnych argonautów. — Rozum Wielkiego Pana.—Ile może pomieścić czarny brzuszek. — Popisy szkolne.—Zawody wiosłarskie.	
VI. <i>Czarna poczta</i>	85
Kalaty.—Oferty europejskie.—Poszukiwania adresów. Czarny wisus.	
VII. <i>Ze szkoły do nieba</i>	88
Ludwik Epajne. — Budująca śmierć. — Pożegnanie zmarłego.	

	<i>Strona</i>
VIII. Co sobie dzieci murzyńskie opowiadają . . .	91
O zółwiu Kulu.— Co myślał lampart.— Jak sobie ra- dził hipopotam.— O wężu.— Bocian i żaby.	

Część III.

MURZYN W SŁUŻBIE EUROPEJSKIEJ.

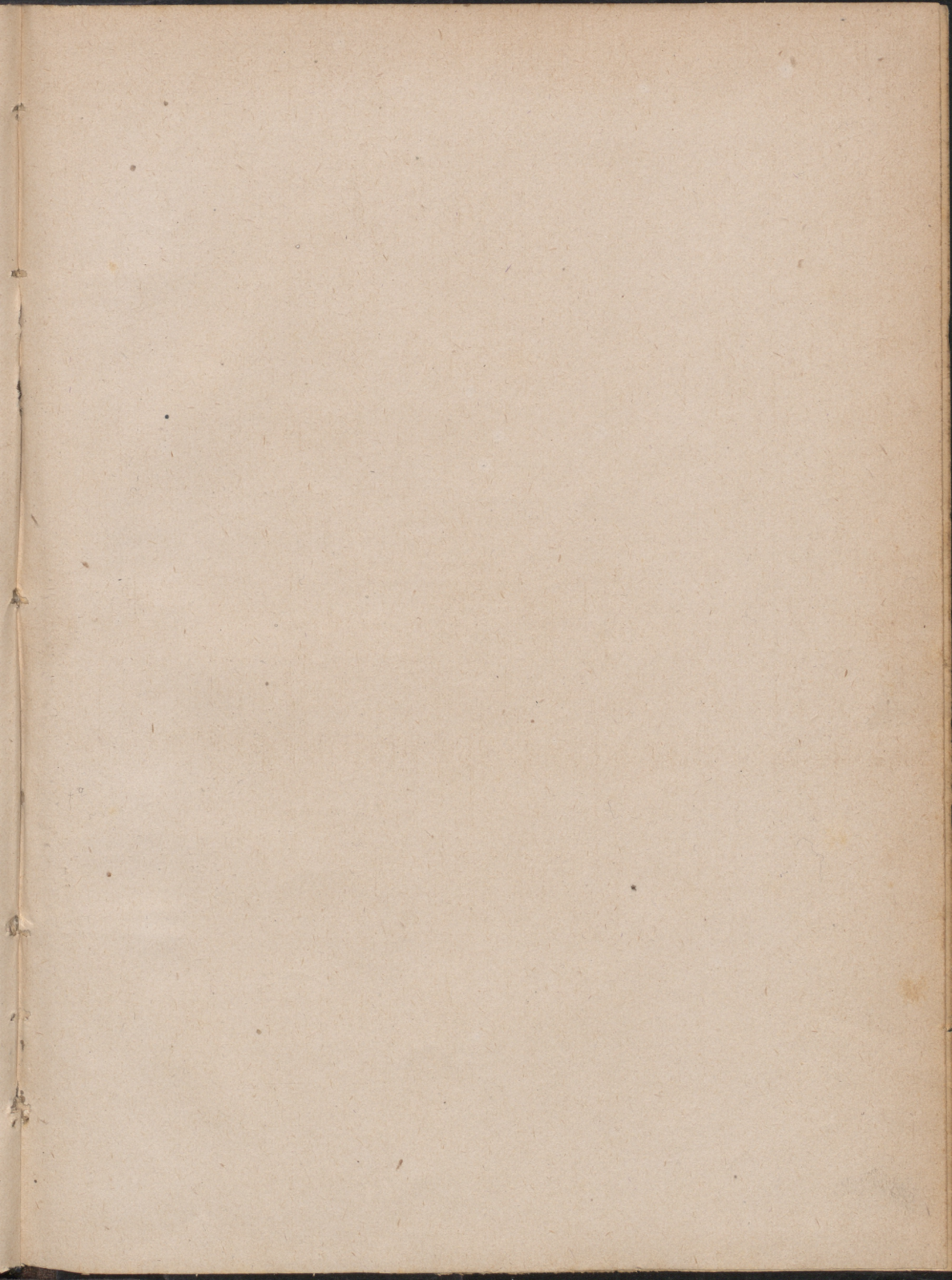
I.	Boy	99
Boy od domu, od kur, od małą etc.— Jędrus Ekan- di.— Przemysłny boy.— Boy starosty.— Heroiczne poświęcenie.— Zazdrość boya.		
II.	Kucharz-pracz (Kook-Washman)	105
Kameruńscy kucharze i kuchciki.— Bezczelność mu- rzyńska.— Metoda prania.— Czarny artysta.		
III.	Tłumacz.— Urzędnik.— Wojskowy etc.	108
Kwiat murzyńskiego społeczeństwa.— Czarny perso- nel urzędniczy.— Pan Membile.— Nauczyciele misyj- ni.— „Czarna kawa“. — Zachcianki pańskie.		

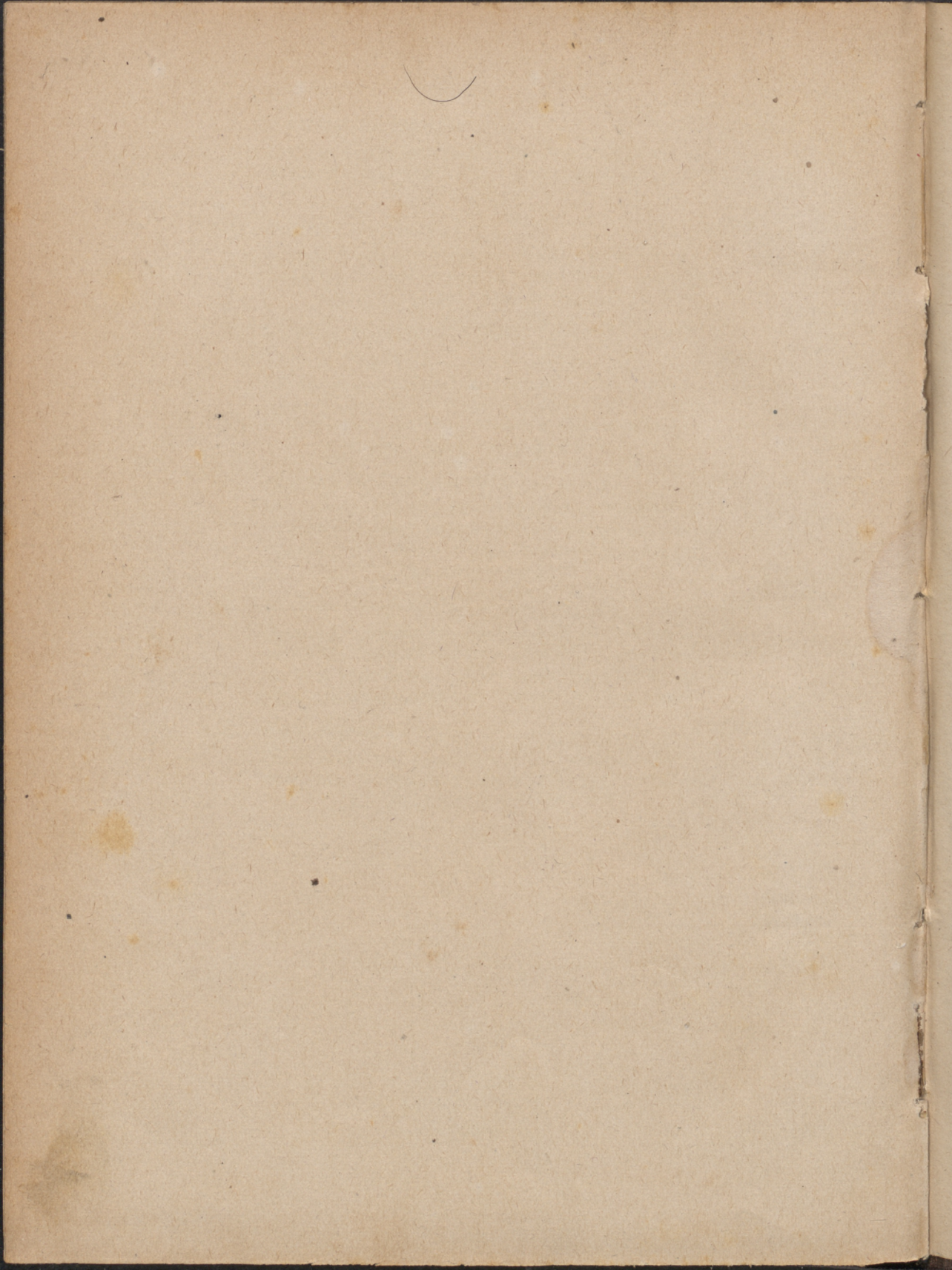
Część IV.

RODZINA MURZYŃSKA.

I.	W poszukiwaniu żony	113
Czarni kawalerowie.—Murzyńskie zwyczaje.—Czarny teść i jego przyszły zięć.— Sposób nabywania żony.		
II.	Murzyńskie wesele	117
Sprowadzenie narzeczonej.— Uczuciowość murzy- nów.—Orszak weselny.— Muzykanci weselni.—Tańce. Uczta.—Prozaiczny koniec wesela.— Kłopoty weselne czarnego Macieja.		
III.	Nowe gniazdo	122
Stelanka afrykańska.—Czarni budowniczy.—Nieudol- ność umysłowa murzynów.— Chata murzyńska.— Wpływ europejskiej kultury.		
IV.	Czarna gospodyni	126
Anormalne stosunki.— Dwużeństwo.— Spory małżeń- skie.—Gościnność murzyńska.—Pracowitość i sumien- ność czarnej gospodyni.		

	<i>Strona</i>
V. <i>Kuchnia murzyńska</i>	130
Złożenie wizyty kominem. — Kiełbaski kasadowe. — Smażone ryby. — Afrykańskie ziemniaki. — Różne de- likatesy.	
VI. <i>Czarny obywatel</i>	134
Murzyński palawer. — Czarny orator. — Wymowa mu- rzyńska. — Palawry prywatne i urzędowe. — Dyskusja czarnych radców. — Kwestja żołądkowa.	
VII. <i>Czwarte przykazanie wyryte głęboko w ser- sach murzynów</i>	143
Miłość czarnych dzieci ku rodzicom. — Córka i je- matka umierająca. — Ślepy starzec. — Wpływ matki w rodzinie murzyńskiej. — Wizyta u czarnej babuni. — Nauka o czwartym przykazaniu.	
VIII. <i>Murzyn podczas choroby</i>	148
Dwa rodzaje chorób. — Amputacja nogi. — Pielęgnacja chorych. — Zabiegi czarownika. — Posiadacz „ewu.“ — Rogowa grzechotka. — U łoża konającego. — Kapłan z Wiatykiem u czarnych.	
IX. <i>Śmierć i pogrzeb</i>	153
Ogłoszenie pośmiertne. — Znaki żałoby. — Groby czar- nych. — Wystawienie zwłok. — Zabobony pogańskie. — Obrzędy pogrzebowe. — Dziwne praktyki. — Zjadacze dusz. — Straszne egzekucje. — Relacje O. Czimermana.	
X. <i>Kult zmarłych</i>	160
Cześć oddawana zmarłym. — Podziemne państwo zmarłych. — Obcowanie zmarłych z żywymi. — Biesiady na pamiątkę zmarłych.	





Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1211667

Biblioteka Główna UMK



300048624985